

JUSTIN SOMPER

DEMONY OCEANU

Przełożył Piotr W. Cholewa

*Mojemu ojcu, Johnowi Dennisowi Somperowi,
z miłością i wdzięcznością za to, że chronił mnie
przed sztormem*

Prolog

Sztorm, szanta i statek

Gdy pierwszy trzask gromu rozdarł nocną ciszę nad Zatoką Księżycową, Grace Tempest otworzyła oczy. Światło błyskawicy zapłonęło za zasłoną. Drżąc, odrzuciła na bok kołdrę i podeszła do okna sypialni. Szeroko otwarte, kołysało się w wichurze jak szklane skrzydło.

Chwyciła okno ręką, by je przyciągnąć do siebie. Wymagało to sporego wysiłku, a przy okazji przemoczył ją deszcz, ale w końcu się udało. Zabezpieczyła okno, zostawiając je lekko uchylone - nie chciała całkiem odgradzać się od sztormu. Miał w sobie dziwną, pierwotną muzykę, ze zbyt często grzmiącymi werblami i brzękiem talerzy. Co chwilę serce biło jej szybciej, poruszane mieszaniną podniecenia i lęku. Ściekający po twarzy i szyi deszcz był lodowato zimny, aż mrowiła skóra.

Po drugiej stronie pokoju Connor spał mocno - z otwartymi ustami i ręką zwisającą przez krawędź łóżka. Jak mógł spać w takim hałasie? Widocznie jej brat bliźniak był całkiem wykończony po popołudniowej grze w piłkę.

Za oknem latarni morskiej rozciągała się pusta zatoka. Ta noc nie nadawała się do żeglugi. Promień światła z latarni omiatał powierzchnię oceanu, oświetlając wzburzone fale. Grace uśmiechnęła się na myśl o ojcu, który siedzi na górze w pokoju lamp, czuwając nad portem i zapewniając statkom bezpieczeństwo.

Za oknem zajaśniała i zgasła następna błyskawica. Grace zrobiła krok w tył, potknęła się i wylądowała na łóżku Connora. Jej brat wykrzywił się i otworzył oczy, patrząc na nią z mieszaniną zdziwienia i irytacji. Spojrzała w jego jasnozielone oczy. Miały ten sam odcień co jej - jakby dwóch połówek rozciętego szmaragdu. Oczy ojca były piwne, więc Grace zawsze uważała, że swoje odziedziczyli po matce. Czasami w snach jakaś kobieta stawała w drzwiach latarni, uśmiechając się i spoglądając na Grace tak samo przecież przenikliwymi, zielonymi oczami.

- Co się stało? Jesteś cała mokra!

Dziewczynka uświadomiła sobie, że woda spływająca z jej włosów kapie na Connora.

- Jest sztorm. Chodź, popatrz!

Chwyła go za rękę, wyciągnęła spod kołdry i poprowadziła do okna. Stał tam, przecierając oczy, gdy na niebie zatańczyła kolejna elektryzująca linia błyskawicy.

- Niezwykłe, prawda?

Connor przytaknął, milcząc. Chociaż całe życie mieszkał w latarni morskiej, nigdy nie przyzwyczał się do pierwotnej potęgi oceanu, do tego, że w jednej chwili woda potrafi przemienić się ze spokojnej sadzawki w szalejący żywioł.

- Chodź, zobaczymy, co ciekawego robi tato - zaproponował.

- Dobry pomysł.

Grace porwała wiszący na drzwiach sypialni szlafrok i otuliła się nim. Connor wciągnął na koszulkę bluzę z kapturem. Razem wybiegli z pokoju i ruszyli spiralnymi schodami w górę, do pomieszczenia lampowego.

Kiedy wspinali się coraz wyżej, huk sztormu stawał się jeszcze głośniejszy. Connorowi wcale się to nie podobało, jednak nie miał zamiaru zwierzać się Grace z tego uczucia. Jego siostra nie znała strachu. To dziwne - Grace była chuda i koścista jak patyk, ale twarda jak stary rzemień. Connor był silny fizycznie, jednak to siostra posiadała niewzruszoną siłę charakteru, którą on miał dopiero zdobyć. A może nigdy mu się to nie uda?

- O, witam - zawołał ich ojciec, niespodziewanie stając w drzwiach. - Sztorm was obudził, co?

- Nie. Grace mnie obudziła - odparł Connor.

- A byłem w samym środku naprawdę niezłego snu! Właśnie miałem zaliczyć hat tricka.

- Nie rozumiem, jak ktokolwiek może spać podczas takiej burzy - oświadczyła Grace. - Jest zbyt głośna... i zbyt piękna.

- Dziwaczka z ciebie - mruknął Connor.

Grace zmarszczyła brwi i wyduła wargi. Choć byli bliźniakami, czasem miała wrażenie, że stanowią swoje przeciwieństwo.

Ojciec wypił łyk gorącej herbaty i gestem przywołał ich do siebie.

- Grace, może ty siądziesz bliżej okna, żeby lepiej widzieć. Ty, Connor, usiądź tu, przy mnie.

Spełnili polecenie, siadając na podłodze po obu stronach ojca. Grace była zafascynowana mogąc z najwyższego punktu obserwacyjnego wpatrywać się w rozszalałą zatokę. Connor poczuł zawrót głowy, ale ojciec zaraz uspokajająco ścisnął go za ramię i fale spokoju popłynęły przez jego ciało.

Ojciec znów łyknął herbaty.

- Kto chce posłuchać szanty? - zapytał.

- Ja! - zawołali niemal równocześnie Connor i Grace.

Wiedzieli, co im zaśpiewa. Śpiewał tę szantę, odkąd pamiętali, od czasu, kiedy byli małymi dziećmi, leżącymi w identycznych łóżeczkach obok siebie, i nawet nie rozumieli słów.

- Oto - oznajmił z namaszczeniem, jakby nie robił tego już tysiąc razy - szanta śpiewana zanim jeszcze nadszedł drugi potop, po którym świat stał się taki mokry. To szanta o statku płynącym wśród nocy, przez wieczność. Ten statek niesie załogę dusz potępionych, demonów oceanu. Statek, który żegluje od początków czasu i będzie żeglował do samego końca świata...

Connor drżał z rozkosznej niecierpliwości. Grace uśmiechała się od ucha do ucha. Ich ojciec, latarnik, zaczął śpiewać.

*Opowiem ci o wampiratach - wieść stara,
lecz prawdziwa - tak,
w tej historii statkiem starym straszna załoga pływa.*

*O tak, zaśpiewam o statku starym,
Co pruje bezmiar fal, budząc paniczny strach.*

Gdy ojciec śpiewał, Grace spoglądała przez okno na zatokę w dole. Sztorm ciągle szalał, ale tutaj, w górze, czuła się zupełnie bezpieczna.

Podarte żagle tego statku są niby skrzydła ptaków, a sam kapitan twarz swą zakrył, żeby nie mnożyć strachu.

Śmiertelnie bladą skórą, martwym wyrazem oczu, zębami jak u diabła.

*O tak, kapitan twarz swą zakrył
I nie ogląda światła.*

Connor przyglądał się, jak ojciec ruchem dłoni imituje zasłonę. Zadygotał na samą myśl o strasznym obliczu kapitana.

*Oj, lepiej dobry bądź i prawy, nie żałuj na to sił,
bo cię zamienię w wampirata i w dal odpłyniesz w mig.*

Tak, lepiej dobry bądź i prawy, bo - spójrz!

Czy widzisz to: jest czarny statek w porcie dziś,

ma w pustym luku miejsca dość (Dla ciebie miejsca dość!).

Rodzeństwo spojrzęło na redę, spodziewając się niemal, że zobaczą tam czekający czarny statek. Czekający, by zabrać ich daleko od ojca i od domu. Ale zatoka była pusta.

Skoro piraci są tak podli, a gorsze od nich wampiry, po kres mych dni wciąż się modłę, by mimo mej szanty o wampiratach,

nie spotkać ich na swej drodze.

O tak, okrutni są piraci,

Wampiry znaczą śmierć.

Modłę się co dzień, chcę, byś wiedział,

żebyś nie ujrzał wampirata, by nie dosięgła cię ich ręka...

Latarnik wyciągnął ręce, by dotknąć lekko ramion dzieci.

...by nie dosięgła cię ich ręka.

Grace i Connor wiedzieli, co nastąpi, ale i tak podskoczyli, zanim wybuchnęli śmiechem. Ojciec objął ich mocno.

- Kto teraz jest gotów do łóżka? - zapytał.

- Ja - odparł Connor.

Grace mogłaby do rana podziwiać sztorm, jednak nie zdołała powstrzymać ziewnięcia.

- Zejdę przykryć was do snu - obiecał ojciec.

- Nie powinienes siedzieć tutaj i obserwować zatoki? - zaniepokoiła się Grace.

- To potrwa tylko chwilę - uśmiechnął się latarnik. - Lampa się pali. Poza tym, Grace, zatoka jest dzisiaj pusta jak grób. Nie ma tam ani jednego statku. Nawet tego z wampiratami.

Mrugnął do dzieci, odstawił kubek z herbatą i poszedł za nimi na dół. Okrył oboje kołdrą i czule ucałował na dobranoc najpierw Grace, potem Connora.

Kiedy zgasił światło w sypialni, dziewczynka leżała w łóżku zmęczona, ale zbyt podniecona, by zasnąć. Popatrzyła na Connora, który znowu wyciągnął się jak długi, być może w objęciach swego przerwane go snu.

Nie mogła się oprzeć, by raz jeszcze nie spojrzeć na zatokę. Wyszła z łóżka i poczłapała do okna. Sztorm zelżał nieco, a kiedy promień światła latarni przesunął się po falach, przekonała się, że nie są już tak wzburzone.

I wtedy zobaczyła statek.

Przed chwilą jeszcze go tam nie było, ale teraz nie miała wątpliwości. Jeden samotny statek pośrodku zatoki... Unosił się na wodzie, jakby nieczuły na szalejący wokół sztorm - żeglował po najspokojniejszych wodach. Grace objęła wzrokiem jego sylwetkę. Przywodziła na myśl ten starożytny statek z szanty ojca. Statek demonów. Zadrżała na samą myśl o tym, wyobrażając sobie, jak kapitan poprzez mrok nocy spogląda na nią spod zasłony na twarzy. A statek rzeczywiście unosił się, jak gdyby zwisał z księżyca na niewidzialnej nici i sprawiał wrażenie, że czegoś pilnuje, czeka na coś... Na coś, albo... na kogoś...

W górze, w pomieszczeniu lamp, latarnik zobaczył ten sam statek na wzburzonych wodach zatoki. Rozpoznał znajomy kształt i nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Wypił łyk herbaty. A potem uniósł rękę i pomachał.

Rozdział 1

Pogrzeb

Na pogrzebie latarnika stawiała się cała Zatoka Księżycowa. Tego dnia w Centrum Odzieżowym Zatoki Księżycowej ani jedno czarne ubranie nie pozostało niesprzedane. W kwiaciarni „Wesoły Liść” nie uchwalił się ani jeden kwiat - wszystkie spleciono w wieńce i wiązanki. Najokazalszą stanowiła wieża czerwonych i białych gardenii, otoczona falowanym morzem eukaliptusa.

Dexter Tempest był dobrym człowiekiem. Jako latarnik pełnił ważną funkcję, zapewniając bezpieczeństwo zatoce. Wielu z tych, którzy stali teraz wokół jego grobu, wystawiając ku popołudniowemu słońcu pochylone karki, zawdzięczało życie ostremu wzrokowi i jeszcze ostrzejszemu poczuciu obowiązku Dextera. Inni właśnie jemu wdzięczni byli za bezpieczną podróż krewnych i przyjaciół, uratowanych z niebezpiecznych wód poza granicami zatoki - wód rojących się od rekinów, piratów i... jeszcze gorszych rzeczy.

Zatoka Księżycowa była malutkim miasteczkiem i każdy z jej mieszkańców czuł się powiązany z innymi tak ciasno, jak oczka w robótce na drutach. Mocne więzy niekoniecznie ułatwiały życie. Plotki płynęły tu szybciej niż nurt w Księżycowym Potoku. W tej chwili, na przykład, wszystkie dotyczyły tylko jednej kwestii: co się stanie z bliźniętami Tempesta? Oboje stali z pochylonymi głowami nad grobem ojca. Czternastoletni. Już nie dzieci, jeszcze nie dorośli - dziewczyna wysoka i szczupła, obdarzona niezwykłą inteligencją, chłopak już teraz pobłogosławiony ciałem atlety. Ale w rzeczywistości niewiele mieli powodów, by odczuwać wdzięczność wobec losu - nie teraz, kiedy stali się sierotami i na całym świecie mieli już tylko siebie nawzajem.

Nikt nad zatoką nie widział nigdy ich matki - żony Dextera. Niektórzy powątpiewali, czy w ogóle była żoną latarnika. Wiedzieli tylko, że pewnego dnia Dexter Tempest wyjechał z Zatoki Księżycowej z szalonym zamiarem zobaczenia szerokiego świata. I w końcu - mniej więcej rok

później - wrócił z ciężkim sercem i dwoma opatulonymi szczelnie tobołkami, które okazały się jego dziećmi, Grace i Connorem.

Polly Pagett, właścicielka sierocińca w Zatoce Księżycowej, zmrużyła oczy w promieniach słońca, by lepiej przyjrzeć się chłopcu i dziewczynie. Zdawało się, że mierzy ich wzrokiem jak malarz, nim zacznie szkicować. Już teraz zastanawiała się, które posłania przydzielić nowym nabytkom. Owszem, nie było jeszcze mowy o żadnych dalszych rozwiązaniach, ale przecież sierociniec to chyba jedyna możliwość, jaka pozostała tej dwójce. Chłopak wydawał się bardzo silny - można będzie go posłać do pracy w porcie. A dziewczyna, choć lżejszej budowy, była bystra jak strumień. Z pewnością potrafi dobrze rozplanować wciąż kurczący się budżet sierocińca.

Wąskie, blade wargi Polly rozciągnęły się w mimowolnym uśmiechu.

Lachlan Busby, dyrektor banku, odwrócił wzrok od pięknej wiązanki, zamówionej przez jego żonę (z całą pewnością najwspanialszej na całym cmentarzu) i także przyjrzał się Grace i Connorowi. Jakże marnie ojciec zadbał o ich przyszłość... Gdyby tylko zechciał raz na jakiś czas przejrzeć bankowe rachunki, zamiast całą swą uwagę poświęcać statkom w zatoce. Istniało wprawdzie takie zjawisko jak przesadna hojność. Ale tego błędu Lachlan Busby nie miał zamiaru popełniać.

Busby miał swoje plany. Jutro przekaze bliźniętom wiadomość - spokojnie i delikatnie, ma się rozumieć - że nie mają już niczego. Że majątek Dextera: jego łódź, a nawet sama latarnia, już do nich nie należą. Ojciec nic im nie zostawił.

Zerknął z ukosa na stojącą przy nim żonę. Kochana, słodka Loretta! Zauważył, że nie potrafi oderwać wzroku od bliźniąt. Strasznym ciosem dla ich małżeństwa było to, że nie mogą mieć dzieci. Teraz wydawało się jednak, że może znajdzie się na to lekarstwo... Ścisnął ją za rękę.

Grace i Connor wiedzieli, że ludzie im się przyglądają. To nic nowego. Przez całe życie stanowili temat plotek. Nikt nie zapomniał ich dramatycznego przybycia do Zatoki Księżycowej. A potem, w następnych latach, para szmaragdowych bliźniąt wciąż była obiektem pogłosek i domysłów. W takich małych miasteczkach kwitnie często zawiść, a ludzie zazdrościli niezwykleму rodzeństwu, utalentowanemu bardziej niż inne dzieci.

Trudno było zrozumieć, dlaczego syn latarnika tak doskonale radzi sobie w sporcie. Czy grał w piłkę nożną, koszykówkę czy krykieta, zdawało się, że biega szybciej i uderza mocniej od

pozostałych, nawet jeśli całymi tygodniami nie zjawia się na treningach. Dziewczyna równie często wzbudzała podejrzenia wśród nauczycieli i kolegów swą nietypowo rozległą wiedzą i dziwnymi opiniami o sprawach wykraczających poza jej wiek i pozycję.

Dexter Tempest, jak głosiła plotka, był dla obojga niezwykle ojcem i napelniał im głowy dziwnymi opowieściami. Niektórzy posuwali się jeszcze dalej, sugerując, że powrócił do Zatoki Księżycowej nie tylko ze złamanym sercem, ale i ze skrzywionym umysłem.

Grace i Connor stali w pewnym oddaleniu od dobrych obywateli Zatoki Księżycowej. A teraz, gdy cała kongregacja zaśpiewała hymn o ostatniej drodze latarnika do „portu nowego i nieznanego”, w gorącym, nieruchomym powietrzu dał się słyszeć lekki dysonans. Wprawdzie Grace i Connor śpiewali wraz z innymi, jednak ich pieśń była inna, podobna raczej do morskiej szanty niż hymnu:

Opowiem ci o wampiratach - wieść stara, lecz prawdziwa - tak, w tej historii statkiem starym straszna załoga pływa.

Rozdział 2

Nieproszony gość

Następnego dnia po pogrzebie bliźniaki wspięły się do pokoju lamp na szczycie latarni. Pod nimi w blasku popołudniowego słońca migotała zatoka, mieniąc się różnymi odcieniami błękitu. Do portu wpływały i wypływały z niego małe żaglowe łódki - z tej wysokości wydawały się białymi piórkami, sunącymi po błękitnych wodach.

Connor i Grace zawsze lubili ten pokój, tak samo jak ich ojciec. Było to miejsce, do którego przychodzili pomyśleć, by z lepszej perspektywy spojrzeć na Zatokę Księżycową i zobaczyć, czym jest naprawdę - leżącym nad brzegiem urwiska maleńkim kawałkiem lądu ze zbyt licznymi domami. Od dnia śmierci ich ojca pokój lamp nabrał dla obojga dodatkowego znaczenia. Dexter Tempest spędzał tu tak wiele czasu, że teraz nie mogliby tu wejść, nie odczuwając z nim bliskości.

Nawet teraz Grace niemal widziała ojca siedzącego przy oknie, wpatzonego w morze i nucącego starą szantę. Ona także mimowolnie zaczęła ją cicho śpiewać.

Obok niego stałby termos z herbatą i prawie na pewno jeden ze starych, zakurzonych tomików poezji. Gdyby weszła, odwróciłby się i uśmiechnął.

- Halo, czy jest ktoś w domu?

Wyraźny akcent Lachlana Busby'ego zasygnalizował przybycie intruza. Connor i Grace odwrócili się od okna w chwili, gdy czerwony na twarzy dyrektor banku pojawił się na szczycie schodów.

- No cóż, muszę przyznać, że najwyraźniej nie jestem tak sprawny, jak sądziłem. Czy wasz ojciec naprawdę codziennie wspinał się i schodził tymi schodami?

Connor milczał. Nie miał ochoty na rozmowę z Lachlanem Busbym. Grace tylko grzecznie skinęła głową i czekała, aż bankier odzyska oddech.

- Może trochę wody, panie Busby? - zaproponowała w końcu.

Napełniła szklankę i podała ją Busby'emu.

- Dziękuję ci. Bardzo się przyda, bardzo - zapewnił. - Czyżbym słyszał, że coś właśnie śpiewaliście? Niezwykła melodia. Nie całkiem zrozumiałem słowa. Chętnie posłuchałbym jeszcze raz, gdybyście mieli ochotę dla mnie zaśpiewać.

Connor pokręcił głową, a Grace uznała, że lepiej będzie zachować ostrożność. Lachlan Busby nie był przecież człowiekiem, który wspiałby się na trzysta dwanaście stopni wyłącznie w celach towarzyskich.

- To taka stara szanta, którą tato często nam śpiewał - odpowiedziała uprzejmie. - Szanta, tak? - Usypiał nas w ten sposób, kiedy byliśmy mali. - Aha, czyli to kołysanka? Ładna piosenka, która uspokaja? Grace zaśmiała się krótko. - Niezupełnie. Prawdę mówiąc, opowiada o cierpieniu, śmierci oraz innych równie okropnych rzeczach, które się czasem przytrafiają.

Bankier zdumiał się wyraźnie.

- Jej celem, panie Busby, jest uświadomić słuchaczom, że choć życie wydaje się ciężkie, może być jeszcze o wiele, wiele gorzej.

- Ach tak... Chyba rozumiem, panno Tempest.

I muszę przyznać, że imponuje mi wasz... stoicyzm w obecnej sytuacji.

Grace spróbowała się uśmiechnąć, ale to, co osiągnęła, było raczej pozbawionym życzliwości grymasem. Connor patrzył na Lachlana Busby'ego z nieskrywaną nienawiścią. Próbował też sobie przypomnieć, co oznacza słowo „stoicyzm”.

- Oboje przeżyliście tragedię, jaka nie powinna dotyczyć żadnego dziecka, żadnej osoby w waszym wieku - ciągnął Lachlan Busby. - A teraz zostaliście bez rodziców, bez dochodów i bez własnego domu!

- Mamy dom. - Connor odezwał się w końcu.

- Stoi pan w nim.

- Drogi chłopcze... - Lachlan Busby wyciągnął rękę, by po ojcowsku ścisnąć Connora za ramię, ale zrezygnował. - Gdybyż to naprawdę był wasz dom... Jednak, choć nie chcę mnożyć waszych nieszczęść, z bólem muszę zawiadomić, że wasz ojciec pozostawił po sobie wiele długów. Ta latarnia jest obecnie własnością Banku Spółdzielczego Zatoki Księżycowej.

Grace zmarszczyła czoło. Podejrzewała coś w tym rodzaju, lecz teraz, gdy usłyszała wypowiedziane głośno słowa, jej lęki stały się bardziej realne.

- W takim razie zamieszkamy na łodzi - rzekł Connor.

- Także jest własnością banku, niestety... - Lachlan Busby spuścił wzrok.

- Pańskiego banku - zauważyła Grace.

- W rzeczy samej.

- Co jeszcze ma pan nam do powiedzenia, panie Busby? - Grace uznała, że lepiej od razu usłyszeć to, co najgorsze.

Lachlan Busby uśmiechnął się, a jego równe białe zęby błysnęły w promieniach słońca.

- Nie przyszedłem tu, żeby wam o czymkolwiek opowiadać, moja droga, ale by złożyć wam propozycję. Prawdą jest, że w tej chwili nie macie niczego ani nikogo na świecie. Ja za to mam wiele: piękny dom, kwitnący interes i najwspanialszą żonę, jaką można sobie wymarzyć. A jednak, i jest to tragedią naszego życia, związek ów nie został pobłogosławiony...

-...dziećmi - dokończyła Grace. Nagle wszystko stało się straszliwie oczywiste. - Pan nie ma dzieci, a my nie mamy rodziców...

- Jeśli zechcecie żyć z nami, zyskacie wszystko, na co przedstawiciel rodu Busbych może sobie pozwolić w tym mieście.

- Raczej umrę! - oznajmił Connor. Oczy mu płonęły.

Lachlan Busby zwrócił się do jego siostry.

- Wydajesz się bardziej racjonalna od brata, moja droga - rzekł. - Powiedz, co ty sądzisz o mojej drobnej propozycji.

Grace zmusiła się do uśmiechu, chociaż mdliło ją od tego.

- To bardzo, bardzo miło z pana strony. - Mdłości ścisnęły jej krtań; z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Ale mój brat i ja nie potrzebujemy nowych rodziców. Naprawdę, to miło, że łaskawie zaoferował nam pan własny dom, szczerze to mówię, ale poradzimy sobie sami.

Lachlan Busby przestał się uśmiechać.

- Nie poradzicie sobie. Jesteście tylko dziećmi. Nie możecie zostać bez opieki. Właściwie to wcale nie możecie tu zostać. Pod koniec tygodnia zjawi się nowy latarnik, a wy będziecie musieli spakować się i wyprowadzić.

Wstał i podszedł do drzwi. Raz jeszcze spojrzął na Grace.

- Jesteś inteligentną dziewczyną - rzekł. - Nie odrzucaj mojej oferty zbyt pośpiesznie. Inni oddaliby własne oko, żeby z niej skorzystać.

Gdy tylko nieproszony gość zniknął na schodach, Grace objęła brata za szyję i wtuliła twarz w jego ramię.

- Co teraz zrobimy? - spytała.

- Coś wymyślisz. Jak zawsze.

- Skończyły mi się pomysły.

- To nieważne, co zrobimy - pocieszył ją Connor. - Najważniejsze, żebyśmy byli razem.

Grace kiwnęła głową. I zaczęła cicho nucić.

Oj, lepiej dobry bądź i prawy,

nie żałuj na to sił,

bo cię zamienię w wampirata i w dal odpłyniesz w mig.

Connor przypomniał sobie, jak ojciec obejmował ich i spoglądał w morze. Choć słowa szanty brzmiały groźnie, aż dreszcz przechodził po plecach, było coś kuszącego w myśli, by pożeglować w noc... Teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek.

Mocniej przytulił Grace i razem popatrzyli na roziskrzone wody Zatoki Księżycowej. Choć sytuacja wyglądała fatalnie, wszystko się jakoś ułoży. Przecież gorzej już być nie może.

Rozdział 3

Jest gorzej

Zatoka Księżycowa była dość biednym miasteczkiem, gdyby jednak można było sprzedawać plotki, stanowiłaby centrum finansowe świata. A owego dnia na targu obok portu dyskutowano tylko o jednym - o propozycji, którą złożył bliźniakom Lachlan Busby, i o tym, jak Grace z Connorem odesłali go z pustymi rękami.

To wydarzenie potwierdziło jedynie powszechną opinię o strasznej zarozumiałości bliźniaków. Nikt nad zatoką nie mógł im zaoferować niczego lepszego niż państwo Busby.

Choć może się to wydać dziwne, nie pojawiła się nawet odrobina sympatii dla tej dziwacznej pary. Nigdy nie pasowali do reszty, a teraz chyba całkiem wycofali się do latarni... która wkrótce przestanie być ich domem. Plotki na ich temat wrzały od sensacji, natomiast nie towarzyszyło im współczucie.

Oprócz bankiera i jego żony jeszcze tylko jedna osoba myślała o tym, by zapewnić schronienie rodzeństwu Tempestów. Już w tej chwili przewracała na drugą stronę przybrudzoną pościel, by przygotować posłania, i opróżniała krzywą szafkę, by mogli w niej trzymać swoje rzeczy. Spuszczając kroplę oleju na skrzypiące zawiasy, Polly Pagett uśmiechała się z satysfakcją. W ciągu dwudziestu czterech godzin rodzeństwo Tempestów przejdzie przez wysoką, zieloną furtkę i znajdzie się w jej królestwie. Nie pozostawili sobie przecież innych możliwości.

Z pomieszczenia lamp Grace i Connor spoglądali na rojących się w dole ludzi.

- Czas się kończy - przypomniała Grace.

Connor milczał.

- Co zrobimy? Jutro wieczorem bank przejmie nieruchomości i usunie nas z latarni.

Connor nie był pewien, jak się przejmie nieruchomości, jednak rozumiał, o co chodzi. W ciągu dwudziestu czterech godzin on i Grace znajdą się na ulicy albo w Sierocińcu Zatoki Księżycowej. Żadna z tych możliwości nie wydawała się kusząca.

- Może powinniśmy jednak się zastanowić... - rzuciła Grace.

Connor spojrział na nią i przerwał swe milczenie.

- Czy możesz sobie wyobrazić życie u Busbych? Oni nie chcą dzieci tylko domowe zwierzątka!

Grace przytaknęła. I zadrżała. Ona i Connor zawsze mogli robić, co chcieli, chodzić, gdzie chcieli, myśleć, co chcieli. Ojciec przekazał im ten dar. Było to dziedzictwo rzadkie i cenne, więc nie mieli zamiaru się go wyrzekać. Zamieszkać w luksusowym, ale dusznym świecie Busbych, byłoby zdradą wszystkiego, co prezentował sobą ojciec, wszystkiego, w co wierzył.

- Dlaczego nie możemy zwyczajnie zostać tutaj i obsługiwać latarni jak tato? - spytał Connor, niezdolny opanować zniechęcenia.

- Słyszałeś, co mówił Busby. Zatrudnił już nowego latarnika. - Grace czuła, że ich pole manewru kurczy się szybko. - Poza tym powiedziałby pewnie, że to nie jest odpowiednia praca dla dzieci.

- Dzieci... - Connor wypluł niemal to słowo.

- Wiem... - zgodziła się jego siostra. - Wiem. Udaje, że jest taki opiekuńczy, ale człowiek może albo przyjąć jego plan, albo już przegrał.

Następnego dnia Grace właśnie szykowała śniadanie, gdy usłyszała, jak przez szczelinę na listy wsuwa się gruba koperta. Odstawiła na bok dzbanek z kawą i sięgnęła po nią. Adres wypisano atramentem, kanciastym pismem.

Szanowni

Państwo Qrace-Tempest i Pani Connor Twipest

Grace rozcięła kopertę i wyjęła gruby, pojedynczy arkusz papieru. Widząc podpis u dołu, zmarszczyła brwi, po czym przebiegła wzrokiem po treści.

Drodzy Qrace i Connorze,

Dzień, dzisiejszy jest ostatnim dniem waszego dawnego życia,. O północy nowy latarnik odbierze klucz, od latarni morskiej i przejmie na, siebie obowiązek zapalania lampy i strzeżenia portu, w dole. Jest jednak, jak zwykł mawiać mój ojciec - ziarno dobrego w skorupce nieszczęścia, - trzeba, tylko dostatecznie mocno zgryźć orzech, by je znaleźć. Wam, drogie dzieci, nietrudno będzie dostrzec, co dobrego was czeka. Jutro oznaczać będzie PIERWSZY dzień waszego nowego życia,. Będziecie wolni od brzemienia, które przez wszystkie lata, dźwigał wasz ojciec. Zejdźcie z latarni. Wyjdźcie na zewnątrz i przyjmijcie to nowe, beztrioskie życie jakim

powinny się cieszyć dzieci w waszym wieku,. Niektórzy twierdzą, że jestem, człowiekiem dumnym - jednak nie aż tak, dumnym, by nie ofiarować wam miejsca, w mojej rodzinie jeszcze-jeden, OSTATNI raz.

Co na, to powiecie? Czy pozostało wam jakieś inne wyjście? Moja, żona, i ja, zagwarantujemy wam, wszystko, o czym moglibyście zamaryć. Poproście tylko, a, będzie wasze. Spotkajmy się przy drzwiach, latarni o północy. Zabierzecie ze sobą tylko worek wspomnień - choć już wkrótce będziemy tworzyć zapewne nowe wspomnienia, lepsze wspomnienia - jako prawdziwa RODZINA!

Z otwartymi ramionami Lachlan Busby albo „Tatus”

Grace ze zgrozą upuściła list na podłogę i stanęła nieruchomo, czując, jak w końcu zalewa ją fala strachu.

- Co to?

Connor wszedł do pokoju, kozłując piłką do koszykówki. Upuścił ją, kiedy spojrzał na twarz siostry. Piłka odbijała się jeszcze przez chwilę, a każde uderzenie było smętnym echem poprzedniego, aż znieruchomiła w kąciku.

Chłopiec podniósł list i przeczytał uważnie każdą zawołowaną groźbę. Po chwili podarł kartkę na drobne kawałeczki i rozsypał je na podłogę jak nieforemne confetti.

- Wspaniały gest, Connor, ale niczego nie zmieni - rzekła Grace. - Nie mamy już żadnych możliwości, a teraz nie mamy też czasu.

Connor spojrzał siostrze prosto w oczy i położył jej dłonie na ramionach. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Wręcz przeciwnie, Gracie. Może tobie skończyły się pomysły, ale ja znalazłem rozwiązanie. Zjedzmy tosty z masłem orzechowym, to powiem ci, co zrobimy!

Rozdział 4

Pożar czy powódź

Godzinę później bliźnięta stały przed bramą Sierocińca Zatoki Księżycowej. Każde z nich miało tylko jedną torbę bagażu.

Polly Pagett zauważyła ich z okna swego gabinetu. Pomachała im przez pękniętą szybę i skinęła, by weszły przez bramę.

Bliźnięta pomachały jej również, ale nie weszły, a po chwili już ich nie było. Trochę zdziwiona, niska kobieta pchnęła wypaczone drzwi i wyszła na jasne światło dnia. Kiedy dotarła do bramy, mrużąc oczy od słońca, zobaczyła Connora i Grace maszerujących drogą w stronę portu i morza.

- Wracajcie! Wracajcie! - zawołała. - Tu jest wasz dom!

- Akurat! - rzucił jej Connor przez ramię.

- Słuszna uwaga - przyznała Grace i ścisnęła brata za rękę.

Rezydencja Busbych migotała w porannym słońcu niczym zamek z bajki.

- To będzie moje skrzydło - oświadczył Connor, wyciągając rękę.

- A to moje - odparła Grace.

- Przekonam pana Busby'ego, żeby pozwolił mi prowadzić wszystkie swoje sportowe samochody.

- A ja napelnę basen różami tylko dlatego, że mogę.

Roześmiali się oboje i przez chwilę nie zauważyli Loretty Busby, tańczącej z sekatorem w ręku po ogrodzie w stylu Tudorów.

Ona jednak ich spostrzegła.

- Przyszliście! - zawołała. - Przyszliście za wcześniej!

Rzuciła sekator na trawę i pobiegła ku nim, kołyszac się jak galaretka pod warstwami różowego szyfonu.

- Pora się wynosić - uznał Connor.

Chwycił siostrę za rękę i ruszyli biegiem.

Zatrzymali się dopiero w porcie. Panował tu spory ruch, jak zwykle w takie pogodne ranki. Rybacy wrócili już z połowu. Na nabrzeżu zaczął się proces sortowania - podrzucali ryby do góry jak zonglerzy: w tę stronę tuńczyk, w tamtą dorsz. Za rybacką keją nabrzeże zastawione było kosztami homarów dopiero co wyłowionych z morza. Fioletowe stworzenia poruszały się w klatkach, jakby wciąż szukały drogi ucieczki.

- No dobrze - rzekł Connor. - Już się pożegnaliśmy. Nie ma wiele czasu. Grace rozejrzała się raz jeszcze i ugodowo skinęła głową. Poza rybacką keją w porcie cumowały także prywatne łodzie. W oddali lśnił w słońcu luksusowy jacht należący do Lachlana Busby'ego. Przytłaczał swych sąsiadów i rzucał na nich cień.

Łódź Dextera Tempesta cumowała wśród mniejszych jednostek. Był to prosty jacht, zbudowany w staroświeckim stylu. Na jego pokładzie bliźnięta spędziły wiele szczęśliwych godzin w towarzystwie ojca. Teraz Grace i Connor podążyli drewnianym pomostem, prowadzącym do łodzi.

- Jesteśmy - powiedział Connor.

Delikatnie dotknął burty. Jego palce przesunęły się wzdłuż nazwy: „Luizjańska Dama”.

- Ośmielimy się? - zapytał.

- Tak, ośmielimy się - potwierdziła Grace.

W tej właśnie chwili chmura przesłoniła słońce. Dziwnie chłodny wiatr dmuchnął na Grace i dziewczynka zadrżała od niespodziewanego spadku temperatury.

Obecność bliźniaków w porcie zaczęła prowokować komentarze. Ludzie przystawali, by patrzeć na nich i szeptać między sobą. Co Connor i Grace tu robią? Czy nie powinni się pakować i przygotowywać do wyprowadzki z latarni? Łódź nie należała już do nich, jak to obwieszczała pospiesznie ustawiona na pokładzie drewniana tablica z napisem: „Własność Banku Spółdzielczego w Zatoce Księżycowej”.

- Przyszliśmy pożegnać się z łodzią ojca - wyjaśniła głośno Grace.

Tłum westchnął z udawanym współczuciem.

- Czy możemy mieć chwilę dla siebie? - zapytał Connor ze zwieszoną głową.

Ludzie odstąpili, a szepty przycichły. Po chwili uciszyło je zupełnie przybycie dwóch zdyszanych, wyraźnie niespokojnych kobiet w średnim wieku.

Grace płynnym susem wskoczyła na pokład, a Connor szybko odwiązał liny trzymające łódź przy nabrzeżu.

- Zatrzymać ich! - wychrypiała wzburzona Polly Pagett.

- Łapać ich! - krzyczała Loretta Busby.

Connor również wskoczył na pokład, a Grace spojrzała na niskie, sunące w górze chmury. Poczowała bryzę we włosach.

- Mamy fordewind, siła dwa, może trzy - oznajmiła, gdy Connor przeszedł obok.

- Grot w górę - polecił.

Główny żagiel wydał się, wypełniony wiatrem, który miał pchnąć ich naprzód. - Cuma dziobowa wolna - zawołała Grace, zręcznie zwijając linę. - Rufowa wolna - odpowiedział Connor. - Odbijamy! Uwolniona łódź odsunęła się gładko od pomostu. Connor stopniowo luzował bom, grotżagiel z wdzięcznością chwycił wiatr i szybko nabierali prędkości.

- Żegnaj, Zatoko Księżycowa! - zawołał chłopak w stronę brzegu.

Spoglądając na latarnię, mógłby przysiąc, że ojciec siedzi w pomieszczeniu lamp i macha im na pożegnanie. Zamknął oczy, otworzył je i wizja zniknęła. Westchnął.

- Żegnaj, Zatoko Księżycowa! - powtórzyła za nim Grace. - Och, Connor, co myśmy zrobili? Potrzebujemy jedzenia! Potrzebujemy pieniędzy! Dokąd płyniemy?

- Mówiłem ci, Gracie, że mamy czas, by o tym pomyśleć. Teraz najważniejsze to wyrwać się stąd jak najprędzej. I żebyśmy byli razem.

Skierowali łódź ku ciemniejszym i głębszym wodom poza granicą zatoki. Oboje z nadzieją patrzyli w przyszłość.

Kiedy jacht przyspieszył jeszcze bardziej, Connor zauważył przymocowaną wciąż na dziobie drewnianą tablicę.

- Własność Banku Spółdzielczego w Zatoce Księżycowej? Już nie!

Chwycił ją i rzucił jak dysk daleko w morze. Zniknęła wśród fal.

W porcie Polly Pagett i Loretta Busby odkryły, że wspólne nieszczęście potrafi mocno połączyć obojętnych sobie ludzi.

- Uspokój się, Loretto. I tak nie chciałybyś tych nieznośnych, niewychowanych dzieciaków w swoim pięknym domu.

- Nie, Polly. I na pewno rozniosłyby twój śliczny sierociniec.

- Niech sobie płyną, proszę bardzo! Niech ich rekiny zjedzą!

- Nie, Loretto, nie rekiny! Niech ich lepiej złapią piraci!

- Ooo... tak - westchnęła Loretta. - Piraci! Niech piraci porwą te niewdzięczne potwory!

Tylko na to sobie zasłużyli!

Ujęła Polly pod rękę.

- Może zajrzysz do nas na lunch? Mamy homary w sosie słodko-kwaśnym. Lachlan pewnie wrócił już z banku. Z pewnością ucieszy się, kiedy cię u nas zobaczy.

Polly rozpromieniła się. Jej dzień z całą pewnością zmienił się z kwaśnego w słodki. A spodziewała się jeszcze więcej.

- Czy to kropla deszczu? - spytała Loretta, strzepując drobinę wody z rękawa swojej bluzki.

- Tak, tak mi się wydaje - przytaknęła Polly. - Spójrz, jak niebo pociemniało. - Nadchodzi sztorm. A te biedne dzieciaczki są całkiem same na morzu... Żadna z kobiet nie zdołała powstrzymać się od szyderczego śmiechu, kiedy biegiem zmierzały do domu, by skryć się przed nadchodzącą burzą. Bliźnięta miały wielkie szczęście, że uniknęły możliwości poznania prawdziwej natury obydwu kobiet. Niedoszłych przybranych matek...

Rozdział 5

Koniec podróży

Sztorm nadszedł jakby znikąd. Runął na Grace i Connora, kiedy byli najbardziej bezbronni - poza zatoką, na otwartym oceanie.

Nie dał im żadnej szansy.

Niebo zmieniło kolor tak szybko, jak gdyby ktoś zerwał z niego błękitną tapetę, odsłaniając ziejącą czarną dziurę. Ciepło słońca znikło w jednej chwili, a deszcz spadł w ciężkich kroplach, które parzyły i zmrażały równocześnie.

Woda przetaczała się pod łodzią niczym rozszalały koń, próbujący zrzucić jeźdźca. Łódka trzymała się fal, a Grace i Connor kurczowo trzymali się łódki, choć ich uprząże nie dawały poczucia bezpieczeństwa. Co z tego, że byli uwiązani do łodzi, jeśli w każdej chwili morze mogło tę łódź po prostu rozłamać na części albo zmiażdżyć w swej szorstkiej, słonej pięści?

- Nie powinniśmy wypływać! - krzyknął Connor. - To był głupi pomysł!

- Nie! - zawołała Grace, przekrzykując huk fal.

- Jaki mieliśmy wybór?

- Zginjemy!

- Jeszcze nie zginęliśmy!

Czy to łzy płynęły po policzku Connora, czy słona woda szczypała go w oczy? Grace nie potrafiła tego stwierdzić. Pomyślała o ojcu. Co by teraz zrobił?

- Opowiem ci o wampirach... - zaśpiewała mężnie. - wieść stara, lecz prawdziwa...

Connor pochwycił tę drobinę pociechy i przyłączył się. Wciąż śpiewali, gdy łódź zakręciła się i pękł reling.

Bliźnięta zostały ciśnięte w różne strony i wpadły w dół, w zimną, spienioną topiel.

Ogarnięty niezwykłym spokojem, Connor patrzył, jak fragmenty łodzi zapadają się wokół niego w ciemniejszą głębię. Dziwny zbiór kubków, sztućców i książek wirował powoli. Wyciągnął do nich rękę i przyglądał się, jak tańczą wokół. Uśmiechnął się. Pod powierzchnią

woda była spokojna - bezpieczna przystań po szalejącym w górze sztormie. Kusiło go, by pozostać tutaj i dryfować z odłamkami swego dawnego świata. Może to dobry sposób, by umrzeć.

Nie, musiał przecież znaleźć Grace! Wyrwał się z transu i każdym włókmem swych mięśni pchnął ciało w górę. Droga była ciężka i trudna; z wysiłkiem powstrzymywał się, by nie wciągnąć w siebie wody i nie zanurzyć się z powrotem w mrok.

Ale był silny i całą swą siłę wykorzystywał, by walczyć z tą kanonadą odłamków pędzących ku niemu, gdy zbliżał się do wraku łodzi. W końcu wypłynął na powierzchnię i ze wszystkich stron uderzyły w niego fale. Od słonej wody zbierało mu się na wymioty; rozglądał się rozpaczliwie, szukając czegoś, czego mógłby się złapać - i siostry.

Zbawcą Connora okazał się kawałek ławki. Chłopiec mocno pochwycił nierówne krawędzie i wciągnął się na drewnianą płytę, jakby to była deska surfingowa. Wysiłek był straszliwy; ręce mu krwawiły. Spieniona słona woda zwiększała tylko ból. Connor jednak wciągnął do płuc powietrze i uświadomił sobie, że udało mu się. Żył.

Ale gdzie jest Grace?

Sztorm wciąż nie ustawał, jednak jego moc wyraźnie się zmniejszała. Connor badał powierzchnię wody, wypatrując wśród odłamków twarzy siostry. Nie było jej. Zapanował jakoś nad zaimprovizowaną deską i popłynął wolno, szukając jakiegokolwiek jej śladu - bezskutecznie.

Morze uspokajało się z wolna, ale coraz trudniej było zobaczyć coś dalej niż metr przed sobą. Connor pojął, że opada mgła. Gęstniała szybko, otulając go w osobisty obłok. Nie, teraz już nigdy nie znajdzie siostry! Machał dookoła rękami, próbując odpędzić mgłę, ale w rezultacie stracił tylko równowagę. Szybko chwycił za brzegi swej tratwy i pokonany opuścił głowę na jej powierzchnię. Jaki to ma sens? Jeśli Grace odeszła, nic mu już nie pozostało. Równie dobrze może zsunąć się z deski i zanurkować... Przynajmniej będą razem.

Connor stracił poczucie czasu. Nie wiedział, jak długo unosi się na powierzchni. Zdawało się, że minęła cała wieczność, ale mogło to być kilka sekund, rozciągniętych nie do poznania przez rozpacz i zmęczenie. Mgła się przerzedzała. Wśród jej pasm zauważył cień statku - niewyraźny, ale poznał jego sylwetkę. Przypominała dawny galeon. Widział takie jedynie w książkach i jako model w Muzeum Morskim. Na pewno mu się tylko zdaje - halucynacja zapowiadająca coraz bliższą śmierć.

Ale nie, to naprawdę był statek. Mgła się uniosła i zobaczył go wyraźnie - żaglowiec wykonywał zwrot. Dlaczego zmieniał kurs na środku oceanu? Może zatrzymywał się z jakiejś przyczyny. Może przybył, by jego - Connora - uratować?

Ta myśl dodała mu sił. Zamachał rękami w powietrzu i krzyknął chrapliwie:

- Tutaj! Tutaj!

Statek odwracał się nadal. Ale nie przyplłynął po niego. Connor nie widział nikogo na pokładzie. I jego nikt nie zauważył. Chłopiec jednak ciągle miał nadzieję, że lada moment ukaze się sylwetka człowieka, który go uratuje.

Mgła uniosła się już powyżej pokładu. Statek dokończył zwrot, a złociste światło padło na jego galion - piękną młodą kobietę. Gdyby tylko była to prawdziwa kobieta, a nie pomalowana rzeźba... Jej przenikliwe oczy zdawały się wpatrywać w niego, chociaż oczywiście były tylko plamami farby na drewnie.

Connor nie wiedział zupełnie, co począć, gdy statek zaczął się oddalać. Zauważył jego żagle, całkiem niepodobne do jakichkolwiek, które w życiu oglądał. Były tak jak skrzydła połyskujące cienkimi żyłkami światła.

- Hej! - krzyknął. - Ratunku!

Ale głos miał słaby, a statek był już zbyt daleko. Widział tylko ciemną sylwetkę z dziwnymi, postrzępionymi żaglami. Zdawały się łagodnie trzepotać, jak skrzydła ptaka w locie. Statek sprawiał wrażenie, że nie żegluje po wzburzonym oceanie, a raczej ślizga się po powierzchni, wolny od wpływu silnych prądów.

Na pewno umysł odmawiał mu posłuszeństwa. Czuł, że zaczęły się rozplýwać wszelkie nadzieje na ocalenie.

To przecież nie miało sensu. Ciało wydawało się ciężkie i odrętwiałe, a teraz także mózg przegrywał w walce z żywiołem. Grace odeszła. Statek, który mógł go uratować, odpływał. Pozostało mu jedyne wyjście: poddać się i dołączyć do siostry w jej podwodnym grobowcu.

Te pesymistyczne myśli przerwał rozbrzmiewający tuż obok głos.

- Tutaj! Złap mnie za rękę! No, teraz jesteś już bezpieczny.

Rozdział 6

Piraci

Connor był tak zafascynowany tajemniczym galeonem, że nawet nie zauważył małej łódki, która do niego podpłynęła. Został wciągnięty do wnętrza, na deski pokładu. Po tytanicznym wysiłku poczuł się całkowicie wyczerpany.

- Leż spokojnie i oddychaj, jak potrafisz. Jesteś na wpół utopiony, ale chyba przeżyjesz.

Głos ratownika był równy i rzeczowy.

Connor widział przed sobą parę butów i obcisłe nogawki nad nimi, ale kiedy spróbował unieść głowę wyżej, ostry ból przeszył mu kark.

- Leż spokojnie, chłopcze. Żadnych gwałtownych ruchów. Twoje kości zebrały niezły łomot.

To był głos młodej kobiety.

- Kim jesteś? Dokąd mnie zabierasz?

Mimo ostrzeżenia, podciągnął się na rękach, by lepiej ją widzieć. Spojrzały na niego przenikliwe piwne oczy w kształcie migdałów. Długie, czarne włosy, zaczesane do tyłu, były związane rzemieniem w koński ogon.

- Nazywam się Cheng Li - oznajmiła.

Connor przyjrzał się dziwnemu kostiumowi kobiety. Na cienkiej i ciemnej bluzie nosiła skórzaną kamizelę. Na ramieniu miała czerwono-fioletową obręcz z umocowanym w niej ciemnym kamieniem. Była to chyba jedyna ozdoba czysto użytkowego uniformu. Z ciężkiego pasa zwisała zakrzywiona pochwa.

Connor zrozumiał, co to znaczy, i szeroko otworzył oczy.

- Jesteś... piratem?

- Aha, czyli przynajmniej mózg działa normalnie. Tak, chłopcze, jestem piratem. -

Wskazała obręcz na ramieniu, jakby to wszystko tłumaczyło.

- Zastępca kapitana Molucco Wrathe'a.

- I zabierasz mnie...?

- Na nasz statek, oczywiście. Na Diabło.

Connor opuścił głowę na deski i przyglądał się, jak dziewczyna wiosłuje. Ruchy miała zdecydowane i precyzyjne. Cheng Li była drobna, niewiele wyższa od Grace, ale najwyraźniej silna.

- Grace! Nie mógł się powstrzymać przed wymówieniem na głos imienia siostry. - Co to takiego, chłopcze? - Moja siostra! - Jesteśmy na miejscu, chłopcze. Zachowaj rodzinne historie na później. Connor otworzył usta, by zaprotestować, ale zobaczył, że dopłynęli już do burty statku. Czy to ten sam, który widział wcześniej? Uniósł głowę, próbując zobaczyć te podobne do skrzydeł żagle.

Cheng Li, podnosząc wiosła, głośno wydawała polecenia.

- Bartholomew, ty leniwa klucho! - krzyknęła.

- Zejdź tu i pomóż mi!

Connor westchnął cicho. W końcu zdał sobie sprawę z tego, że jest bezpieczny. Przynajmniej na razie... Potem poddał się zmęczeniu i zamknął oczy.

Następnym, co do niego dotarło, było to, że łódka unosi się w powietrzu. Przez chwilę czuł się, jakby frunął, ale zaraz zrozumiał, że szalupa jest wciągana na pokład. Cheng Li wyskoczyła, nim dotknęli desek, i nie traciła czasu, rzucając szybkie rozkazy. Potem dwójka piratów - mężczyzna i kobieta - delikatnie wyjęli Connora z łodzi i ponieśli za Cheng Li. Zadanie nie było łatwe, gdyż na pokładzie zebrał się już spory tłum ciekawskich, którzy chcieli zobaczyć, co się dzieje.

- Przejdźcie! Zróbcie miejsce, bałwany! - krzyczała Cheng Li.

Tłum rozstał się posłusznie.

- Połóżcie go tutaj.

Piraci ułożyli chłopca na czymś, co było chyba stosem żaglowego płótna i lin. Nie stanowiły najwygodniejszego posłania, ale Connor był wdzięczny, że nie musi już walczyć z zimnymi falami. Wreszcie mógł odpocząć.

- Nie zamykaj oczu - rzuciła Cheng Li. - Spróbuj chociaż jeszcze przez chwilę zachować przytomność.

Był to prawdziwy wysiłek. Connora ogarniało zmęczenie, ale bardzo chciał jej posłuchać. Przekręcił głowę, znowu szukając postrzępionych żagli. Zobaczył jednak tylko ludzi - piratów.

Tłoczyli się wokół i przyglądali mu się z zaciekawieniem. On także obserwował ich stroje, broń...

Gwar rozmów rozbrzmiewał coraz głośniejsze, dopóki Cheng Li nie uniosła ręki. Błysnął ciemny klejnot w obręczy. Hałas ucichł natychmiast.

- Przedstawienie skończone. Wracać do pracy. Żagle ucierpiały w czasie sztormu. De Cloux, zbierzesz zespół do napraw w forkasztelu. Lukas, Javier, Antonio, sztorm cichnie, więc wracajcie do czyszczenia dział. Nie obchodzi mnie, że robi się ciemno. Ma być zrobione natychmiast!

Connor rozejrzał się. Naprawdę trafił na statek piratów... Poczł dreszcz lęku. Czy to koniec jego cierpienia, czy też początek nowych? Takich, których nie będzie już miał sił przetrwać?

Tłum rozszedł się do swoich zadań; pozostali tylko Cheng Li, Bartholomew i jego piracka towarzyszką. Kobieta była wyższa i wyraźnie bardziej atletycznie zbudowana niż Cheng Li. Na zwichrzonych rudych włosach nosiła bandanę.

- Mam sprowadzić kapitana Wrathe'a? - zwróciła się do Cheng Li.

- Tak, Cate, chyba tak będzie najlepiej.

Cheng Li przyjrzała się Connorowi.

- Co z tobą, chłopcze?

- Całkiem dobrze - zapewnił.

Jednak uświadomił sobie, że wcale nie jest dobrze. Już nigdy nie będzie z nim całkiem dobrze.

- Wglądasz na zmartwionego. O co chodzi?

- O moją siostrę - wyjaśnił. - O Grace.

- Co z nią?

- Wciąż tam jest. W sztormie.

- Za późno, chłopcze. Już po niej.

Gorące łzy napłynęły mu do oczu.

- Proszę... Mnie znalazłaś. Wróćmy po nią.

- Przykro mi, chłopcze. Nie widziałam nawet śladu po niej.

- Ale...

- Noc zapada szybko. Nic już nie możemy zrobić.

Connor miał wrażenie, że głowa zaraz mu eksploduje. Czuł, jak rodzi się w nim przeraźliwy krzyk. Wzbierał w samym centrum istnienia, płynął przez wszystkie żyły, przez ręce i nogi, aż każda cząstka jego ciała krzyczała głośno.

- NIE!!!

- Uspokój się, chłopcze. Bądź wdzięczny losowi za własne życie. Siostrze oddawaj cześć, tak jak by tego chciała.

Głos Cheng Li brzmiał cicho, ale stanowczo. Uspokoił trochę Connora, choć nie takie słowa chciałby słyszeć. Ale jakie właściwie? Że młoda kobieta wsiądzie do łódki i zacznie przeszukiwać zimne wody, by znaleźć Grace? W głębi serca wiedział, że to bezowocny trud. Nie istniała nawet szansa, by Grace przeżyła. To on zawsze był fizycznie silniejszy. Lata uprawiania różnych sportów dały mu wytrzymałość, niezbędną, by utrzymać się na powierzchni do przybycia pomocy. Grace jest mądrzejsza od niego... Grace była mądrzejsza, poprawił się w myślach. Dla Grace nie istniał już czas terażniejszy. Była mądrzejsza, ale nie miała siły. I teraz kosztowało ją to życie.

- Utonęła - rzekła Cheng Li. - To nie jest taka zła śmierć.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Wśród piratów wszyscy to wiedzą. Żyjemy na wodzie. Kiedyś sama byłam na granicy śmierci. To trochę podobne do snu... stopniowe uwolnienie. Twoja siostra na pewno nie cierpiała.

I znowu: słowa były brutalne, ale czerpał z nich pociechę. Wydawały się prawdziwe. Pamiętał to uczucie, kiedy opadała na niego kaskada różnych przedmiotów. Nie było to całkiem nieprzyjemne. Ogarniał go wtedy dziwny spokój. Może to jego własna śmierć przyzywała go do siebie, lecz jakoś udało mu się wyrwać z jej objęć.

- Był tam statek - oznajmił. Nagle poczuł, że powinien opowiedzieć Cheng Li, co widział.

- Inny statek, zanim mnie uratowałaś. Wypłynął z mgły. Stary galeon. Dawny...

Własne słowa odblokowały inne, głęboko ukryte wspomnienia, ale nie potrafił jeszcze zrozumieć ich znaczenia.

- Ten statek zawrócił. Zmienił kierunek na otwartym oceanie. Jak gdyby zatrzymał się po coś. Myślałem, że spróbują mnie ratować. Wołałem do nich. Ale nikt mnie nie usłyszał. Nikt mnie nie zauważył.

I nagle nowa myśl wpadła mu do głowy i wybuchnęła niczym sztuczne ognie.

- A może już kogoś uratowali? Może ten statek ocalił Grace? Jak myślisz?

Spojrzał na Cheng Li. Jej ciemne oczy wpatrywały się w niego z uwagą.

- Mgła zaczynała się podnosić. Zobaczyłem galion tego statku: piękną kobietę. Zupełnie jakby na mnie patrzyła. A potem statek rozwinął żagle. Miał niezwykle żagle. Bardziej podobne do skrzydeł...

Aż w końcu coś zaskoczyło w jego umyśle.

Podarte żagle tego statku są niby skrzydła ptaków...

Miał ochotę krzyczeć i boksować powietrze. Znowu pochwycił wzrok Cheng Li. I znowu niczego nie potrafił odczytać w jej oczach.

- Nie rozumiesz? - zawołał, śmiejąc się głośno. - Ten statek rzeczywiście uratował Grace! Nie utonęła! Ocalił ją pradawny statek, który żegluje przez całą wieczność. Zabrał ją statek wampiratów!

Zmęczył się tym wybuchem. Powieki zaciążyły mu i opadły. Jednak w ciemności własnych myśli widział wszystko wyraźnie. Znowu pojawił się statek odpływający w złocistym blasku. Kobieta z galionu uśmiechała się słodko, a postrzępione żagle łopotały cicho w zapadającym mroku. Przy kole sterowym zaś, samotna, ale bez lęku, stała Grace.

Rozdział 7

Lorcan Furey

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła Grace po przebudzeniu, było niebo - oślepiający błękit w górze. A potem zdarzyło się coś dziwnego: jaskrawy błękit skurczył się i zaczął zmieniać w dwa niebieskie koła. Jej zmysły trochę się uspokoiły i zrozumiała, że wcale nie patrzy na niebo, ale w parę błękitnych oczu.

Connor miał oczy zielone, tak jak ona. Te były nieznanne. Wpatrywały się w nią w skupieniu.

Kiedy odsunęła się dalej, odkryła, że należą do chłopca. Wydawał się starszy niż ona i Connor - wyglądał na siedemnaście, osiemnaście lat. Miał długie, czarne włosy i równie czarne brwi. Marszczył je, patrząc na nią.

- Wpakujesz mnie w kłopoty - oświadczył.

Te słowa tak samo nie miały dla niej sensu, jak wszystko inne, ale rozpoznała w jego głosie silny irlandzki akcent. Chłopak pochylił się i odgarnął jej z czoła włosy. Na palcu nosił tradycyjny pierścień Claddagh. Zawsze chciała mieć taki, z symbolem serca między parą dłoni i koroną w górze. Ten jednak był trochę inny - zamiast serca dłonie trzymały czaszkę.

- Kim jesteś? - spytała drżącym głosem. - Gdzie ja jestem?

Chłopak zmarszczył czoło i potrząsnął głową. Czyżby jej nie rozumiał? Ale przecież przed chwilą mówił po angielsku...

- Kim jesteś? - spytała znowu, ale tym razem usłyszała siebie, jak mówi. „Hiijeeez”. Oddychała z trudem, usta i język miała wysuszone.

- Tutaj. Pij.

Wyjął z kieszeni skórzaną manierkę i ostrożnie wlał jej do ust kilka kropli wody. Była wspaniała, choć lodowato zimna. Grace rozchyliła wargi i starała się nie uronić ani odrobiny. Minęła chwila, zanim jej usta znów zaczęły normalnie funkcjonować. Skoncentrowała się więc na przetykaniu. W efekcie prawie nie zauważyła, że chłopak uniósł jej głowę i jak poduszkę

wsunął pod nią zwiniętą kurtkę. Kiedy jednak napiła się i opuściła głowę, było jej wygodniej niż przedtem.

Miękkość pod głową i karkiem kontrastowała z twardą powierzchnią, na której spoczywała reszta ciała. Leżała na szorstkiej drewnianej płaszczyźnie. Kiedy spoglądała na boki, po obu stronach dostrzegała pomalowane na czerwono deski. Dalej jednak, we wszystkich kierunkach, pole widzenia ograniczała gęsta mgła.

Jej wzrok powrócił do twarzy chłopca, która wydawała się pływać we mgle. - Kim jesteś? - spytała znowu. Tym razem zrozumiał. - Mam na imię Lorcan - odparł uprzejmie. - Lorcan Furey. - Lorcan... - powtórzyła. Grace nigdy dotąd nawet nie słyszała o takim imieniu. - Masz, napij się jeszcze. Przysunął jej manierkę do warg, a Grace wypila następny łyk. - Gdzie jestem? Chłopak uśmiechnął się. - To chyba oczywiste, panienko. Jesteś na otwartym morzu. Choć nie poza nim nie widziała, kiedy powiedział to głośno, poczuła kołysanie statku i usłyszała szum fal.

- Jak się tu dostałam?

- Nie pamiętasz? - zdziwił się. - Był sztorm.

I kiedy powiedział „sztorm”, całe jej ciało zareagowało. Nagle znalazła się w samym sercu burzy, obok trzeszczącego masztu, z morską wodą zalewającą jej i tak już przemoczone ubranie.

- Znalazłem cię pływającą w wodzie jak ryba - powiedział Lorcan.

- Tak...

Teraz dopiero zauważyła, że też jest mokry, a włosy i koszula przylegają ciasno do skóry. Twarz miał bladą, niemal tak bladą jak mgła.

- Wyłowilem cię w ostatniej chwili - ciągnął.

- Sunęłaś już w dół, na spotkanie z syrenami.

- A co z Connorem? Gdzie on jest? Kiedy będę mogła go zobaczyć?

Lorcan spojrzał na nią ze smutkiem, więc w lot zrozumiała.

- Uratowałeś tylko mnie...

Skinął głową.

- Wracajmy po niego! Jeszcze nie jest za późno! Pamiętasz, gdzie mnie znalazłeś? Na pewno był gdzieś blisko. Musiałeś widzieć łódź!

Pokręcił głową.

- Nie było żadnej łodzi. Tylko ty, chlapiąca się w falach jak łosoś w Shannon.

Tak. Pamiętała wodę dookoła. Taką zimną... Wprawiającą w odrętwienie. A potem wspomnienia urywały się jak sen, który zbyt szybko dobiegł końca. Rozpaczliwie usiłowała przywołać je, wrócić... Głowa rozbolała ją z wysiłku.

- Łódź nie może zniknąć - oświadczyła. - Po prostu nie może.

- W takim sztormie może zniknąć nawet statek wielkości naszego - rzekł Lorcan. - Ocean, jeśli zechce, potrafi być okrutny.

- Ale mój brat... Connor! Jesteśmy bliźniakami! Jesteśmy dla siebie wszystkim! Nie mogę żyć bez niego!

Serce zabiło jej mocno. Czowała, jak narasta w nim wściekły rytm, jakby w jej piersi miała wybuchnąć bomba.

- Bliźniaki, powiadasz?

Lorcan wpatrywał się w nią ze skupieniem.

- Kadecie Furey!

Grace usłyszała drugi głos, ale we mgle nie widziała mówiącego. Głos był właściwie tylko szeptem, ale rozbrzmiewał wyraźnie w jej głowie.

Lorcan odwrócił się.

- Tak jest, panie kapitanie.

Przez chwilę trwała cisza, po czym Grace usłyszała dwa ciężkie kroki, odbijające się głośnie na deskach pokładu.

- Kadecie Furey, musicie wracać do wnętrza. Ta mgła nie utrzyma się długo.

I kolejne dwa kroki.

Zdawało się, że Lorcan jest w transie. Może lodowata woda i na niego sprowadziła odrętwienie, może zaczynał odczuwać zmęczenie po wysiłku, jakim było ratowanie Grace. Podobnie jak ona, najwyraźniej stracił zdolność widzenia i mowy.

- Czy to dziewczyna?

Ten drugi głos... Choć szept tylko, bez wątplenia był stanowczy, władczy. Zdawało się, że dociera do wszystkich zakamarków umysłu.

- Tak, kapitanie - Grace usłyszała w końcu Lorcana. - Już prawie utonęła. Mówi, że ma brata bliźniaka.

- Bliźniaka?

- Tak - potwierdziła Grace. - Mój bliźniaczy brat Connor jest gdzieś tam, w oceanie. Proszę, pomóżcie mi go odszukać!

- Bliźniaki... - I znowu szept z wolna przeniknął jej umysł.

Grace żałowała, że nie może zobaczyć kapitana, jednak mgła była wciąż zbyt gęsta, by widzieć coś poza Lorcanem.

- Zabierz ją do środka. Kajuta obok mojej. Szybko! Nie chcemy, żeby inni się o niej dowiedzieli. Jeszcze nie.

- Co z Connorem? - przypomniała błagalnie Grace.

- Zaprowadź ją do kajuty obok mojej. - Szept był równie stanowczy jak przedtem. Jakby mówiący nie słyszał jej prośby. Albo ją zignorował.

- A potem? - zapytał Lorcan.

- Przyjdiesz do mojej kajuty. Nie mamy zbyt wiele czasu. Wkrótce zapadnie mrok i zaczniesz się uczać.

Uczyć? O czym on mówi? Zamierzają szukać Connora czy nie? Ta kwestia nie była jasna.

- Mgła rzednie, kadecie Furey. Musimy wracać. Nie ma czasu do stracenia.

Szept ucichł. Ciężkie kroki oddaliły się. Grace spojrzała w błękitne oczy Lorcana.

- Proszę - powtórzyła. - Proszę, poszukajmy mojego brata! On jest gdzieś tam w dole! A woda taka zimna...

Lorcan uśmiechnął się do niej słabo.

- Najpierw ciebie zaprowadzimy w cieplejsze miejsce.

- Ale wrócisz, żeby go znaleźć?

- Na razie zatroszczę się o ciebie.

Schylił się po nią. Gdy niósł ją przez mgłę, miała uczucie, że płynie wśród chmur. Albo tonie. Chciała wyrwać się i skoczyć z powrotem do wody, by wypatrywać Connora. Jednakże jej ciało wypełniło zmęczenie, jakiego dotąd nie знаła. A uścisk Lorcana - choć chłopak był niewiele starszy od niej - wydawał się silny.

Rozdział 8

Molucco Wrathe

Connor wpatrywał się w ciemniejący horyzont, rozpaczliwie usiłując dostrzec tamten statek. Statek wampiratów. Statek, który zabrał Grace.

- Oni nie wrócą - powiedziała Cheng Li.

- Skąd wiesz?

- Bo nie ma żadnego statku wampiratów.

- Ale...

- Przestań. - Uniosła dłoń. - I proszę, nie śpiewaj mi znowu tej szanty. Bo to tylko stara szanta. Piosenka, którą wasz ojciec śpiewał z niepojętych dla mnie przyczyn, aby uśpić ciebie i twoją siostrę. Sam pomysł, by taki statek mógłby istnieć, jest doprawdy śmieszny. Obawiam się, że twoja siostra zginęła. To straszny cios, wiem, ale taka jest prawda. Musisz pogodzić się z faktami.

Ale przecież był tam statek... Widział go - we własnych wspomnieniach, ostry i wyraźny.

Zawracający na oceanie. Znowu zobaczył oczy pięknego galionu i migoczące żagle, które zdawały się wznosić i opadać jak skrzydła, gdy statek się oddalał.

Connor zerknął przez ramię na Cheng Li, wydającą piratom rozkazy. Teraz, kiedy stała odwrócona do niego plecami, zobaczył, że oprócz kordu u pasa ma jeszcze dwie klingi przewieszane przez plecy. Choć schowane w parze bliźniaczych pochew, bez wątplenia były równie ostre i groźne jak jej język.

- Przejście dla kapitana...

To wezwanie zaczęło się jako cichy pomruk, ale szybko nabrało mocy.

Cheng Li była absolutnie pewna, że chłopak wyobraził sobie tamten statek. Wprawdzie dopiero co ją poznał, ale już wiedział, że kiedy ona podejmuje jakąś decyzję, sprawa jest zakończona. Może jednak inni tutaj uwierzą w jego opowieść... Na przykład kapitan.

- Przejście dla kapitana! Odsunąć się.

Cheng Li przerwała rozmowę i wróciła do Connora. Wydawała się zirytowana. Chłopiec czuł, że serce bije mu mocno. Z lęku? Z ciekawości? Jaki człowiek potrafi dowodzić bandą piratów?

I nagle zobaczył, że maszerują ku niemu Bartholomew i Cate. Za nimi, kołysząc się lekko, kroczył mężczyzna w nieokreślonym wieku, z długimi, zwichrzonymi włosami i w małych, okrągłych, niebieskich okularach. Miał na sobie długi, błękitny surdut, pod połami którego kryły się dwie srebrzyste pochwy z bronią. Wysokie skórzane buty o czubkach szpiczastych jak noże pobrzękiwały srebrnymi ostrogami. Kapitan był wesoły i chyba wymieniał szybkie uwagi z różnymi piratami. Zdawało się, że rzuca przez ramię złośliwości, jednak uśmiechał się przy tym szeroko, aż marszczyła mu się skóra po obu stronach okularów. Krocząc wśród fali śmiechów, zbliżył się wreszcie do Connora. Chłopiec od razu zrozumiał, że ten człowiek jest kochany i szanowany przez załogę.

- To właśnie on, kapitanie - oznajmił Bartholomew i wraz z Cate odsunął się na bok.

- No, no, no... - Kapitan uniósł okulary. - Cóż my tu mamy? Była pani na rybach, pani Li?

Po czym bez słowa obszedł Connora dookoła. Chłopca zdumiały jego wielobarwne włosy. Z początku miał wrażenie, że to tylko różne odcienie brązu, ale nie, dostrzegł też szary... a raczej srebrny, a potem, gdy światło padło pod innym kątem, także zielony, jakby pasma wodorostów. Wśród tej tęczy zwisały dwa... nie, trzy dredy, z wplecionymi w nie muszelkami. Mężczyzna wyglądał dziwnie, ale zachowywał się swobodnie. Od razu było widać, że mimo wyszukanego kostiumu i jakby niepewnego kroku, kapitan dysponuje wielką siłą fizyczną, a także charyzmą urodzonego dowódcy.

Po chwili zatrzymał się przed chłopcem i przyjrzał się jego mokremu ubraniu.

- Hmm... Trafiłeś tu prosto z oceanu, jak widzę, ale nie jesteś morską rybką.

Znów uniósł okulary i po raz pierwszy spojrzął prosto w twarz Connora. Oczy miał duże, z plamkami tak różnobarwnymi jak włosy. Spojrzenie jego było niemal hipnotyzujące.

- Jak się nazywasz, mały?

- Connor. Connor Tempest.

- Tempest czyli burza, tak? - Zachichotał. - To dobre! Connor Burza, którego sprowadził do nas sztorm...

Wyciągnął rękę. Na palcach miał tyle połyskliwych szafirów, że aż dziw, iż w ogóle potrafił je unieść.

- Molucco Wrathe, dowódca tej bandy. Witaj pod moją komendą, Connorze Tempest.

Connor wyciągnął rękę. Kapitan mocno ścisnął mu dłoń.

- Dziękuję, ee... panie Wrathe.

- Kapitanie Wrathe - poprawił go z uśmiechem.

- A teraz wyjaśnij mi, Connorze Tempest, skąd się tu wziąłeś.

Chłopiec zerknął na Cheng Li. Na twarzy miała wyraz sugerujący coś pośredniego między znudzeniem i zniecierpliwieniem. Splotła ręce na piersi, a dwa miecze na jej plecach uniosły się niczym gotowe do lotu skrzydła.

- Och, wiem, że pani Li sprowadziła cię na pokład. Ale przedtem. Po co zapuściłeś się tak daleko na te zdradzieckie wody?

- Pochwycił nas sztorm. Mnie i moją siostrę Grace... Jesteśmy bliźniakami. Wypłynęliśmy z Zatoki Księżycowej...

Opowiadając, Connor starał się patrzeć kapitanowi w oczy, jednak włosy Wrathe'a odwracały jego uwagę. Dmuchał w nie wiatr i teraz długi ciemny kosmyk zawisł mężczyźnie nad okiem.

- Nie jesteś urodzonym bajaranem, mój chłopcze... Zbyt lakonicznie nam opowiadasz.

Connor otworzył usta, by podjąć opowieść, ale wtedy właśnie kosmyk włosów zwinął się i przesunął po czole kapitana. Chłopiec uświadomił sobie, że to wcale nie kosmyk, tylko mały wąż.

- Co jest? Mowę ci odjęło?

- Przepraszam, panie kapitanie, ale chyba... no, chyba ma pan we włosach węża.

Teraz nie miał już wątpliwości. Gad niemal uwolnił się ze splątanych włosów i przesunął powoli za kapitańskim uchem.

- Aha... - Kapitan Wrathe uśmiechnął się. - Jak się masz, Scrimshaw. Przyszedłeś się przywitać z panem Tempestem?

Podniósł rękę, a wąż prześliznął się na nią i zwinął na nadgarstku niczym żywa bransoleta. Connor patrzył zafascynowany, jak kapitan wyciąga przed siebie rękę, by przysunąć Scrimshawa bliżej. Wąż uniosł głowę i spojrzał mu w oczy. Chłopiec nie był pewien, jak powinien zareagować.

- Powiedz „dzień dobry” zastępcy kapitana, chłopcze! - zaśmiał się Molucco Wrathe. - Och, żartowałem tylko, pani Li! To żart! Wszyscy wiemy, że to pani jest pierwszym oficerem!

Chłopiec milczał. Wolał nie wykonywać gwałtownych ruchów. Wąż był mały, ale nieznanego Connorowi gatunku. Mógł się okazać jadowity, a otwarty pyszczyk i wysunięty język znalazły się trochę za blisko jego twarzy.

Kapitan Wrathe cofnął wreszcie rękę, a Connor odetchnął cichutko, gdy wąż się oddalił.

- No dobrze, Scrimshaw. Pogapiłeś się już na pana Tempesta, a teraz wracaj na miejsce..

Podniósł rękę i wąż posłusznie wpełzł w zmierzwioną gęstwinę włosów. - Na czym to skończyliśmy, mały? Opowiadałeś o tej Jeżynowej Kotlinie? - Ee... Zatoce Księżycowej, panie kapitanie. Tam mieszkamy. No, mieszkaliśmy. Nasz tato był latarnikiem, ale umarł i straciliśmy wszystko. Chcieli oddać nas do sierocińca albo jeszcze gorzej. Musieliśmy odejść. Dlatego ruszyliśmy na morze łodzią ojca. Planowaliśmy odpłynąć kawałek wzdłuż brzegu, ale pogoda się zmieniła i porwał nas sztorm.

Słowa popłynęły jak rzeka.

- Łódź się przewróciła. Wpadliśmy do morza. Łódź rozpadła się na części. Z całej siły starałem się dopłynąć do powierzchni, omijając wszystkie kawałki, które na mnie spadały. Nie widziałem Grace. Wypląnąłem. Znalazłem kawałek ławki i wciągnąłem się na nią. Szukałem siostry. Rozglądałem się dookoła, ale jej nie zobaczyłem... Nie znalazłem.

Molucco Wrathe miał łzy w oczach. Przetarł je dużą, obszytą koronkami chustką.

- To smutna historia, panie Tempest. Straszliwie, straszliwie smutna. Cieszę się, że pani Li wyłowiła pana z morza. Przyda się nam pan w załodze. Potrzebujemy młodych.

- Dziękuję, panie kapitanie, ale zależy mi tylko na odnalezieniu siostry.

- Siostry? - Molucco Wrathe spojrzał na niego zdziwiony. - Mówił pan chyba, że zginęła.

Connor pokręcił głową.

- Widziałem, że zabrał ją inny statek. Z początku sądziłem nawet, że to ten...

- Inny statek? Inny piracki statek? No to możliwe, że ta smutna historia doczeka się szczęśliwego zakończenia. Znajdziemy ten statek i spotka się pan z siostrą.

Connor pokręcił głową.

- To nie był piracki statek. To całkiem inny rodzaj statku.

Czuł na sobie surowy wzrok Cheng Li, choć nie śmiał spojrzeć w jej stronę.

- Inny rodzaj statku... - powtórzył Molucco Wrathe. - A co to niby oznacza?

- Słyszał pan o wampiratach, kapitanie?
 - Wam-pi-ratach? Nie, chyba nie słyszałem, mój chłopcze.
 - Jest taka szanta...
 - Panie kapitanie! - głos Cheng Li przeciął powietrze, ostry i gwałtowny jak miecz.
- Kapitan Wrath nie zwrócił na nią uwagi.
- Panie kapitanie! - Niełatwo było skłonić ją do rezygnacji.
 - Nie denerwujmy się, pani Li.
 - Ale kapitanie, chłopak jest dezorientowany.
 - Wszyscy jesteśmy trochę dezorientowani, pani Li. Ale zadałem mu pytanie i chciałbym

usłyszeć odpowiedź.

- Statek wampiratów to mroczny okręt, który pływa przez całą wieczność - zaczął Connor, zdając sobie sprawę, że może nie mieć zbyt wiele czasu. - Jego załogę stanowią demony, a przynajmniej wampiry.

- Co za historia! - zdumiał się kapitan. - A skąd się o tym dowiedziałeś, chłopcze?
- Mój ojciec śpiewał nam taką szantę.
- Szantę, tak? Kocham dobre szanty. Jak my wszyscy, prawda, chłopcy?

Tłum piratów wykrzyknął twierdząco - mężczyźni i kobiety, wszyscy oprócz Cheng Li, która wyglądała na zirytowaną i znudzoną. Przynajmniej teraz, uznał Connor, ostrze jej gniewu skierowało się na kapitana, nie na niego.

- No to posłuchajmy. Dalej, panie Tempest. Zaśpiewa nam pan tę szantę, a my się przekonamy, co z niej wynika.

Connor nabrał tchu i zaczął śpiewać.

Opowiem ci o wampiratach,

- wieść stara, lecz prawdziwa...

Śpiewając, obserwował twarz kapitana. Zdawało się, że słucha w skupieniu. Nawet jego wąż, Scrimshaw, wychylił się, jakby oczarowany piosenką.

Głos Connora brzmiał słabo i chrapliwie po całej tej morskiej wodzie, którą wypił, walcząc o życie. Z ulgą dotarł do końcowych linii.

...żebyś nie ujrzał wampirata,

by nie dosięgła cię ich ręka.

Kiedy skończył, rozległy się okrzyki aprobaty i prawdziwa burza oklasków. Connor spoglądał to na kapitana, to na Cheng Li. Molucco Wrathe podszedł bliżej i położył mu dłoń na ramieniu.

- Piękna piosenka, mój chłopcze. Ale obawiam się, że nic więcej. Pływam po oceanach od czasów, kiedy byłem jeszcze dzieckiem przy piersi, ale nigdy nie widziałem, ani nawet nie słyszałem o takich demonach.

Connor pokręcił głową.

- Widziałem ich statek.

- Widziałeś?

- Tak myślę. Robił zwrot. To był stary galeon z żaglami jak skrzydła, trzepoczące...

- Chłopak jest wycieńczony i oszołomiony - przerwała mu Cheng Li, stając u boku kapitana.

- Nie - upierał się Connor. - Nie. Naprawdę go widziałem. Zrozumiał jednak, że również kapitan Wrathe mu nie uwierzył. Zresztą, Connor sam przestawał ufać własnej pamięci. Może rzeczywiście majaczył i wymyślił tamten obraz? Sam już nie wiedział, co myśleć.

- Wracać do pracy, wszyscy! - polecił kapitan.

- Zaraz... Bartholomew, ty zostaniesz.

Piraci rozeszli się posłusznie. Bartholomew czekał, zgodnie z poleceniem. Cheng Li, nieproszona, stanęła za nim.

Kapitan ścisnął Connora za ramię w sposób, który przypominał mu ojca. Chłopiec próbował odepchnąć to wspomnienie... Przygryzł wargę, by powstrzymać łzy.

- Mam dwóch braci, panie Tempest - rzekł kapitan. - Obaj są piratami. Nie zawsze ich lubię, ale obu kocham z całego serca. Rozumiem, czemu skłonny jesteś ufać wszystkiemu, co pozwoli ci wierzyć, że twoja siostra, Grace, jest bezpieczna. Ale dla własnego dobra musisz spojrzeć w oczy prawdzie, jakkolwiek wydawałaby się straszna.

Popatrzył na Connora z uwagą.

- Przybyłeś do nas w najczarniejszej swej godzinie, Connorze Tempest, ale posterujemy cię z powrotem ku słońcu. Przekonasz się.

Connor niepewnie skinął głową. Jego spojrzenie powędrowało od oblicza kapitana ku masztowi statku. Wzrok sięgał coraz wyżej, ponad bocianie gniazdo, aż do czaszki i

skrzyżowanych piszczeli, powiewających łagodnie na wietrze. Niebo miało kolor granatu.
Wyłonił się księżyc, oświetlając białą czaszkę swymi zimnymi promieniami.

Rozdział 9

W celi

Grace przebudził dźwięk dzwonu. Tak jak szept kapitana, i teraz każde uderzenie zdawało się przesączać do wszystkich komórek i bruzd mózgu.

Otworzyła oczy i odkryła, że znajduje się w łóżu z baldachimem, w morzu czystych białych poduszek, pod niewiarygodnie wręcz miękką kołdrą. Przez chwilę leżała bez ruchu. Bicie dzwonu ustąpiło niezwyklej muzyce, akcentowanej rytmicznymi, niemal prymitywnymi uderzeniami w bęben.

Ramiona miała nagie. Uniosła kołdrę i przekonała się, że ktoś zdjął z niej stare, przemoczone ubranie, a teraz ma na sobie bawełnianą nocną koszulę, pięknie zdobioną haftami. Do kogo należała? I kto ją przebrał? Zastanowiła się zakłopotana.

Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniejsze. Grace uniosła się na łokciach i rozejrzała po kajucie. Pomieszczenie rozjaśniały świece w szklanych kloszach, rzucające delikatny blask na drewniane ściany i podłogę. Kiedy zsunęła z łóżka nogi i wstała, statek przechylił się na burtę i dopiero po chwili odzyskała równowagę.

Zauważyła, że cztery filary łóżka są bogato rzeźbione, a baldachim pokryty haftem. Po jednej stronie posłania stała otwarta toaletka z porcelanową miską i dzbanem wody. Wszystko tu wydawało się egzotyczne i luksusowe. Na pewno przedmioty te pochodzą z wielu wypraw, uznała Grace.

Na zewnątrz, wśród uporczywej muzyki, słyszała głosy. Spojrzała w stronę, skąd dochodziły, i zobaczyła kotarę, najwyraźniej zasłaniającą okno. Do tkaniny ktoś przypiął liściki.

Grace podeszła i przeczytała.

Pismo miał dość staromodne, ale nierówne. Użył wiecznego pióra, a atrament poplamiał kartkę. O co mu chodziło z tym bezpieczeństwem? Zarówno słowa, jak i fakt, że najwyraźniej pisał je w pośpiechu, sprawiły, że przeszył ją dreszcz.

Sięgnęła do kotary. Kusilo ją, by zlekceważyć prośbę Lorcana, jednak przypomniała sobie coś, co wcześniej mówił kapitan. „Nie chcemy, żeby inni się o niej dowiedzieli”. Kim byli ci inni? I co to za statek?

I wtedy właśnie pochwyciła strzęp rozmowy, tuż za oknem.

- Straszny głód czuję tej nocy.

- Ja także. Nigdy jeszcze tak jak dzisiaj nie potrzebowałem Uczty.

„Uczta”. Kapitan też o niej wspomniał. Najwyraźniej stanowiła ona coś ważnego i wyczekiwanego. Członkowie załogi byli chyba bardzo głodni. Może już od jakiegoś czasu nie jedli do syta. Może statek dopiero niedawno uzupełnił zapasy.

Grace przysunęła ucho do kotary, by lepiej słyszeć, ale dwaj rozmawiający chyba już przeszli. Czekala jeszcze chwilę, walcząc z pokusą, by odsunąć kotarę i wyjrzeć na zewnątrz. Zerknęła na świecę... Może gdyby je zgasiła, nikt nie zobaczyłby światła w kajucie, a ona mogłaby zaryzykować odchylenie zasłony...

Zanim zdążyła zrealizować ten pomysł, jej uwagę przyciągnął szorstki głos tuż za oknem.

- Kadecie Furey!

- Porucznik Sidorio.

Rozpoznała irlandzką wymowę Lorcana.

- Gotów do Uczty, kadecie?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Zdawało mi się, że słyszałem cię wcześniej na pokładzie.

- Nie, panie poruczniku. Na pokładzie? Kiedy to było?

- Przed Dzwonem Mroku.

- Przed... Jak mógłbym? Nikt prócz kapitana nie wychodzi na światło dnia.

- To wiem. Ale przysiągłbym, że to byłeś ty.

- Może się panu śniło? - zgadywał Lorcan.

- Nie miewam już snów.

Coraz głośniejsza muzyka zagłuszyła ich rozmowę. Grace jeszcze bardziej przysunęła się do kotary, aż czołem musnęła pisany w pośpiechu liścik Lorcana. Teraz jednak słyszała już tylko muzykę. Lorcan i jego podejrzliwy rozmówca najwyraźniej poszli dalej.

Odtworzyła w myślach tę podsłuchaną wymianę zdań. Lorcan z całą pewnością przebywał na pokładzie. Najwyraźniej i on, i kapitan, postanowili utrzymywać jej obecność w

tajemnicy. Ale czym był ten Dzwon Mroku i czemu nikt prócz kapitana nie wychodzi na światło dnia? To dosyć dziwna reguła.

Czekała przy oknie w nadziei, że jeszcze coś usłyszy. Zdawało jej się, że z zewnątrz dobiega stukot kroków, ale dźwięk był stłumiony i mógł to być wybijany rytm muzyki. Ta trwała jeszcze przez chwilę, a potem zapadła cisza. Absolutna cisza. Tak jakby wszyscy skryli się wewnątrz statku, na Uczcie.

Grace odeszła od okna i zobaczyła niewielkie biurczko ze stojącym obok krzesłem. Podeszła bliżej. Na blacie leżały pióra, atrament, zaostrome ołówki i plik notatników w okładkach. Miały w sobie coś cudownie kuszącego. Chwyliła stare wieczne pióro, ale dłoń ześliznęła się i czubek stalówki skaleczył ją w kciuk. Kropla krwi na skórze napęczniała szybko i spadła na jeden z notatników.

Grace odruchowo uniosła kciuk i włożyła go do ust, by wysać krew z rany. Robiła to już wcześniej niezliczoną ilość razy, kiedy zacięła się krawędzią papieru czy rozdarła skórę na ciernistej łodydze róży. Krew smakowała metalicznie, ale nie nieprzyjemnie.

Kiedy spojrzała na skórę, niewielka ranka była czysta. Nic jednak nie mogła zrobić, by usunąć plamkę z notatnika. Spojrzała jeszcze na pióro - stalówka była poplamiona głęboką czerwienią, jakby zanurzyła ją w szkarłatnym atramencie.

Zadrzała i odwróciła głowę, szukając czegoś, co odwiodłoby jej myśli od krwi.

Zauważyła komodę ozdobioną obcymi symbolami, a na niej ozdobnie rzeźbioną srebrną szczotkę i lusterko. W oprawach jednego i drugiego tkwiły połyskujące jak brylanty kamienie. Sięgnęła po lustro i odwróciła je, żeby spojrzeć na własne odbicie... Jednak w ramie nie było już szkła. Pewnie stłukło się dawno temu. Szkoda.

Obok lusterka i szczotki stała mała kadzielnica. Paliło się w niej coś, co rozaczało mocny, usypiający zapach wanilii i jaśminów.

Czuła się bardzo zmęczona, więc wróciła do łóżka i opadła na miękki materac. Nagle pomyślała o Connorze. Jak mogła tracić czas, niepotrzebnie zwiedzając kajutę? Powinna myśleć tylko o bracie i o tym, jak go odnaleźć.

A może już go odnaleziono? Ale gdyby tak, to przecież przyprowadziliby go do niej. Pamiętała, że kapitan polecił Lorcanowi przyjść do swojej kajuty. Co tam postanowili? Fala paniki ogarnęła ją niczym lodowata woda.

Musiała stąd wyjść. Musiała porozmawiać z Lorcanem i kapitanem. Musiała sprawdzić, czy Connor jest na pokładzie... i czy jest bezpieczny.

Czyniąc sobie wymówki, że nie zrobiła tego wcześniej, wstała i ruszyła do drzwi. Sięgnęła ręką do gałki... Była to mosiężna kula z wygrawerowaną na niej mapą świata.

Dłoń ześliznęła się przy pierwszej próbie. Sprawdziła jeszcze raz - kula obracała się, ale drzwi nie ustępowały. Przy trzecim podejściu zacisnęła palce tak mocno, że na skórze pojawiły się odwrócone odbicia kontynentów. A jednak drzwi pozostały zamknięte.

Była uwięziona.

Wrząc z gniewu i złości, czując się coraz bardziej zmęczona i słaba, Grace przeszła chwiejnie przez kajutę do zasłoniętego okna. Spojrzała na ostrzeżenie Lorcana.

- Chodź tutaj na chwilę.

Odetchnęła głęboko, uniosła kotarę i przycisnęła zaczerwienioną twarz do zimnej szyby.

Z bijącym mocno sercem wyjrzała przez okno. Spodziewała się niemal, że zadzwięczy alarm, że zobaczy gniewne oczy Lorcana albo tajemniczego kapitana. Jednakże zobaczyła tylko pokład. Był pusty... Oczywiście. Oni... kimkolwiek byli ci „oni”... poszli na Ucztę.

Szczęściarze. Sama była głodna, ale nikt nie pomyślał o tym, by jej także przynieść coś do jedzenia. Była głodna, zmęczona i słaba. Jej ojciec umarł. A teraz wyglądało na to, że straciła również brata. Czując się całkiem przybita, Grace niedbale zaciągnęła kotarę.

Kiedy odwróciła się, niepewna, co robić dalej, na stoliku koło łóżka zobaczyła talerz z zupą. Wcześniej go tam nie było? Nie mogła go przeoczyć.

Objęła talerz dłońmi. Był gorący i Grace natychmiast cofnęła ręce. Nie mógł stać tutaj od chwili, kiedy się obudziła, przez ten czas na pewno zupa by wystygła. Skąd się tu wziął? Zdumiona patrzyła na unoszącą się nad talerzem parę. Ale zdziwienie szybko ustąpiło przed głodem. Jak pewnie reszta załogi, od dawna nie jadła porządnego posiłku, a zupa pachniała wspaniale.

Obok talerza leżała zawinięta w ściereczkę łyżka. Kiedy ją odwinęła, jakaś kartka wypadła i sfrunęła na podłogę. Grace podniosła ją. Była zapisana tym samym nierównym pismem co poprzednia.

Zjedz to. Poczujesz, się lepiej. Bądź darpilum!

Twój przyjaciel Lorcan Furey

„Bądź cierpliwa!”. Grace zmarszczyła czoło. Doprawdy, trafiła na niezwykły statek, gdzie nikt prócz kapitana nie wychodzi na pokład przed zmrokiem. Gdzie jedzenie pojawiało się samo, kiedy człowiek o nim pomyślał. Gdzie nikt nie powinien się dowiedzieć, że ona tu jest.

Zbyt wiele było tych tajemnic...

Ale przynajmniej dali jej coś do jedzenia. Chwyciła łyżkę, zanurzyła ją i nabrała zupy. Grace niczego takiego jeszcze nigdy nie jadła. Była po prostu cudowna!

Rozdział 10

Życie pirata

- Możesz zająć tę koję - poinformował Connora Bartholomew. Była prosta, prymitywna nawet - zwykła drewniana rama z cienkim materacem i miejscem pod spodem, żeby przechowywać tam trochę rzeczy. Co prawda Connor nic już nie miał... Wraz z Grace odpłynęli z Zatoki Księżycowej, zabierając tylko tyle, ile mieli w plecakach. A sztorm odebrał im nawet to. Teraz pozostało mu jedynie zniszczone ubranie, które miał na sobie.

- Nie możesz spać w tych mokrych ciuchach, kolego. Tu masz koszulę... I te spodnie powinny pasować.

- Dzięki.

Chłopiec chwycił zawiniątko z ubraniami, którym Bartholomew w niego rzucił. Zdjął z siebie przemoczone rzeczy i zawiesił na belce, po czym włożył suchą koszulę i spodnie. Bartholomew był o parę cali wyższy, więc Connor musiał podwinąć nogawki i rękawy. Nieważne... Przyjemnie było znowu mieć na sobie coś suchego.

Usiadł na koi. Jęknęły sprężyny - materac był najwyraźniej stary i zużyty.

- Przyzwyczaisz się - pocieszył go Bartholomew.

- Na statku wszyscy pracujemy bardzo ciężko. Nawet jęczący materac nie przeszkodzi ci w porządnym spanku.

- Czekaj... To jest twoje łóżko?

Bartholomew wzruszył ramionami.

- Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Connora wzruszyła życzliwość tego człowieka. Przecież nawet się nie znali, a oddał mu swoje miejsce do spania.

- Nie mogę go zająć - oświadczył. - Najpierw zaanektowałem twoje ubranie, teraz łóżko. A ty gdzie będziesz spał? - zainteresował się z troską Connor.

- O mnie nie musisz się martwić. Potrafię zasnąć na wszystkim.

Rzucił na wolny kawałek podłogi jakieś szmaty i poprawił swój marynarski worek, jakby to była miękka poduszka. Rozpiął koszulę i zawiesił ją na belce. W podkoszulce z plamami brudu i potu wyciągnął się, jakby leżał na najbardziej puszystym, miękkim łożu. Wyjął zza ucha skręta i zapalił, wolno wydmuchując dym.

Connor skrzywił się.

- Przepraszam cię, Connor, może też zapalisz? Mam chyba dość tytoniu, żeby wystarczyło dla nas obu.

Nie o to chodziło. Connor nie znosił dymu. Ale raczej nie mógł się skarżyć po wszystkim, co zawdzięczał Bartholomewowi.

- Nie, w porządku. Nie palę, Bartholomew. Ale dzięki.

- Mów mi Bart, kolego. Z Bartholomewem za dużo kłapania paszczą.

Connor kiwnął głową i patrzył, jak w blasku świecy Bart wydmuchuje pierścienie dymu. Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Connor pokręcił się, próbując znaleźć na koi wygodną pozycję. Rzeczywiście, materac jęknął, a obluzowana sprężyna wbiła mu się w kark. Bez słowa przesunął się trochę i znowu wyciągnął jak długi.

- Luksusów tu nie ma - rzekł Bart, wypuszczając strużkę dymu. - Ale wszyscy jakoś ciągną. Kapitan jest ze starej szkoły, trochę nieformalny, ale traktuje nas jak rodzinę. Porządny gość.

Connor pochylił się i ściszył głos.

- A co z Cheng Li? Kapitan i Cheng Li chyba za sobą nie przepadają...

Bart uśmiechnął się szeroko.

- Można to tak określić. Ona to trochę jak cierń w jego oku, a on... No, myślę, że on jest jak wściekle wielki sztylet w jej. - Zaśmiał się głośno. - Jak mówiłem, kapitan Wrathe to stara szkoła. Pewnie nie wiesz za dużo o świecie piratów?

Connor pokręcił głową.

- Nie ma sprawy, większość lądowych szurków nic nie wie. Widzisz, pośród nas Molucco Wrathe jest czymś w rodzaju legendy. Rodzina Wrathe'ów to piracki ród królewski. Molucco jest jednym z trzech braci; wszyscy są kapitanami piratów, a on jest z nich najstarszy. Po nim idzie Barbarro. Coś ich kiedyś poróżniło, podobno od lat ze sobą nie rozmawiają. A potem jest brat najmłodszy, Porfirio. Wiele razy słyszałem, jak kapitan o nim mówi. Uważa, że to właśnie on będzie najlepszym dowódcą z nich wszystkich.

Bart dopalił papierosa do końca. Pogrzebał gdzieś przy blasku świecy, odszukał puszkę z tytoniem i skręcił sobie następnego.

- No więc, jak mówiłem, bracia Wrathe należą do starej szkoły piractwa. Ja chyba też.

- A ile masz lat? - zapytał odruchowo Connor.

- A myślisz, że ile?

Connor wzruszył ramionami.

- Dwadzieścia dziewięć? Trzydzieści?

Bart zarechotał głośno.

- Dzięki, kolego, ale mam dwadzieścia dwa. Tyle że trochę sobie pożyłem. Trzydzieści? Chłopie, będę miał szczęście, jeśli zobaczę swoje trzydzieste urodziny. Do tego czasu jakiś inny przeklęty pirat wpakuje we mnie miecz, jestem prawie pewien.

Nie wydawał się wstrząśnięty tą perspektywą, uznał Connor, obserwując, jak Bart spokojnie zapala papierosa.

- Tam, skąd jestem... skąd jest kapitan Wrathe... piractwo polega na tym, żeby zdobywać, co tylko zechcesz i kiedy zechcesz. Życie to wielka przygoda, prawda? A przynajmniej powinno nią być. Nie mógłbym żyć jak szczer łądowy, który siedzi zamknięty w jakimś biurze, uwięziony w czterech ścianach.

Connor z dezaprobatą przesunął wzrokiem po ciasnej kajucie.

- Pewno, trochę tu ciasno, ale przecież nie tutaj mieszkam. Żyję tam. Ocean jest moim biurem i tyle. Wyspy i rafy to jedyne mury, jakie mnie trzymają. Może pracuję ciężiej niż inni, żeby napełnić jakoś brzuch, ale jestem człowiekiem tak wolnym, jak oni nigdy nie będą. I wiesz co?

Zwrócił twarz w stronę Connora. Oczy zapłonęły mu z emocji.

- Kiedy ten miecz mnie przebije, kolego, będę na to gotów. Bo więcej przeżyłem przez dwadzieścia dwa lata, niż wielu facetów przez całe życie.

Chłopiec czuł moc kryjącą się w tych słowach. Serce biło mu szybko, gdy słuchał przemowy Barta. Sam nie wiedział dlaczego. Czy to strach? Strach przed śmiercią? W jakiś sposób po tym wszystkim, co się wydarzyło, śmierć straciła nieco ze swej tajemniczości. Zabrała jego ojca, a może zabrała też - albo próbowała zabrać - siostrę. Właściwie była jak nieproszony gość, który nie chce zostawić Connora Tempesta w spokoju. I nie był pewien, czy w tej chwili

bardziej lęka się śmierci, czy czuje wobec niej gniew i urazę. Na pewno nie podda się jej bez walki!

- Opowiedz mi o Cheng Li - poprosił Connor, zmieniając temat. - Mówiłeś, że kapitan Wrath to pirat ze starej szkoły. A Cheng Li?

- Pani Li to całkiem nowa szkoła. Dopiero co skończyła Akademię Piractwa. Nie żartuję, naprawdę tak to nazwali. Najlepsza w klasie, z wyróżnieniem. Co czyni ją chyba najlepiej wyszkolonym piratem, jaki w ogóle żeglował po tych morzach. Ale ma też piractwo we krwi. Jej ojciec, Chang Ko Li, był jednym z najbardziej krwiożerczych piratów, jacy w ogóle wciągnęli na maszt czarną flagę. Zyskał sławę jako najlepszy z najlepszych. Niełatwo jej przyjdzie mu dorównać.

Przysunął papierosa do świecy i patrzył, jak żarzy się czubek.

- No, w każdym razie pani Li jest tutaj jako praktykantka. To ostatnia część jej szkolenia. W Akademii zaliczyła już wszystko, a teraz piraci ze szkoły mają to sprawdzić, zobaczyć, jak sobie radzi w rzeczywistości. To trochę śmieszne, moim zdaniem. Ledwie wyszła ze szkoły, a już jest pierwszym oficerem, kiedy inni, bardziej doświadczeni... No, w każdym razie jakoś to nie pasuje. Łapiesz o co mi chodzi?

- To dlatego, że jest kobietą? - zapytał Connor.

- Co inni piraci o tym myślą?

- Nie, to nie to... Nie dbamy o takie rzeczy. Weź taką Cate... Cate Kord. Jedna z najlepszych, jedna z najbardziej lubianych na statku. W bitwie chciałbyś, żeby stała przy tobie. Czego ona nie wie o mieczach, tego nie warto wiedzieć.

Bart ziewnął przeciągle.

- Osobiście nie mam nic przeciwko pani Li. Mnie tam zawsze traktowała porządnie. Pewno, krzyczy czasem i stara się nas ustawiać. Ale w głębi serca się boi. Jest małą wystraszoną dziewczynką; tak myślę. Szkoła dla piratów... to przecież bzdura. Nic nie może człowieka przygotować do życia na morzu. Nic.

Zgasił niedopałek papierosa, poprawił worek pod głową i zamknął oczy.

- Dobranoc, kolego. Uważaj na te zdziczałe sprężyny. Mogą człowieka poranić tam, gdzie naprawdę by nie chciał.

Bart zachichotał jeszcze i po chwili już spał. Connor leżał nieruchomo, a gromkie chrapanie współlokatora dzwoniło mu w uszach. Był tak zmęczony, że nie mógł zasnąć. W

głowie mu się kręciło od wszystkiego, co zaszło niedawno. To było jak sen... jak koszmar. Gdyby tylko mógł się wreszcie z niego obudzić...

Rozejrzył się po kajucie. Była realna. Przebywał na pirackim statku, a kiedy rankiem się zbudzi, nadal tu będzie. A wtedy zacznie się dla niego nowe życie.

I Grace... Gdzie jest teraz? Czy naprawdę została uratowana, czy tylko to sobie wyobraził? Podświadomie czuł, że siostra jednak żyje.

Nie miał innych argumentów prócz wspomnienia o tym niezwykłym statku i dziwnym spokoju, jaki ogarnął go nagle na widok galionu.

Zamknął oczy i w jego myślach natychmiast pojawił się obraz śpiącej siostry. Wizja niosła pociechę: Grace spokojna i bezpieczna leżała tam, w kajucie statku, który ją ocalił, na miękkim pościeliu. Ale nie tak prymitywnym i prostym jak jego. Grace dostała prawdziwe łóżko, szerokie i komfortowe. Łóżko z kolumnami i haftowanym baldachimem, z pięknymi meblami i przedmiotami dookoła. Wyglądało na to, że ktoś ją nie tylko uratował, ale i zapewnił wyjątkowe wygody.

Skąd wzięła się ta wizja? Connor ani tego nie wiedział, ani się tym specjalnie nie przejmował. Była jak tratwa ratunkowa, niezbędna, by uspokoić rozgorączkowany umysł i posłać dryfującego łagodnie na ciepłe, gładkie wody snu.

Rozdział 11

Niebezpieczeństwo

Słyszac dźwięk otwieranych drzwi, Grace uniosła powieki. Jak długo spała? - zastanawiała się, gdy Lorcan Furey wszedł do kajuty i starannie zamknął za sobą drzwi. Dziewczynka nie była zbyt zadowolona, że wtargnął tutaj w ten sposób.

- Przepraszam - powiedział, jakby odczytał tę myśl. - Pukałem, ale cicho. Nie chciałem zwracać na siebie uwagi.

Chwilowy gniew minął, ustępując zakłopotaniu, że chłopak zastał ją na wpół śpiącą, w cienkiej nocnej koszuli. Szybko podciągnęła kołdrę, równocześnie poprawiając poduszki tak, by móc przynajmniej usiąść.

- Smakowała ci zupa? - spytał Lorcan.

Grace zerknęła na pusty talerz. Była tak głodna, a zupa tak smaczna, że wylizała go do czysta. Nigdy przedtem tak się nie zachowywała.

- Była przepyszna - zapewniła. - Ale jak ją tu przyniosłeś, że nic nie zauważyłam?

- Są sposoby - rzucił swobodnie. - I metody. Pomyślałem, że musisz rozgrzać kości po tym nurkowaniu w oceanie.

Oczy mu błysnęły. Wydawał się bardziej rozluźniony niż poprzednio - skóra wokół oczu i czoło były gładkie; wcześniej marszczył je niespokojnie. Był także mniej blady, a może tylko tak się wydawało w blasku świec. Nie, pomyślała, obserwując, jak krąży po kajucie. Stanowczo wygląda na bardziej ożywionego. Ta Uczta musiała mu dodać sił.

- Która godzina? - spytała. - Straciłam poczucie czasu, a nie mogę znaleźć zegarka.

- Jest środek nocy - odparł. - Najmroczniejsza z godzin.

Czasami, kiedy mówił, wydawało się, że intonuje jakiś dawny poemat.

- Nie jesteś zmęczony? Na pewno miałeś ciężki dzień.

- Ani trochę. - Uśmiechnął się. - Prawie cały dzień przespałem i złapię jeszcze trochę snu, kiedy wzejdzie słońce.

Ach... Teraz zrozumiała. Na pewno ma służbę na nocnej wachtce. Tak, to by tłumaczyło, co podслуchała wcześniej o niewychodzeniu na pokład przed zmrokiem. Oczywiście, to rozsądnie, by nocą prowadziła statek inna część załogi. Nie słyszała nikogo na pokładzie, ale zapewne większą część prac wykonywano podczas dnia.

- Co to jest? - zapytał, łamiąc ciąg jej myśli.

Stał zwrócony do niej plecami, pochylony nad biurkiem po drugiej stronie kajuty.

- Co? Odwrócił się i Grace zobaczyła, że trzyma w ręku notatnik. Zbliżył się, stukając palcem w plamkę krwi na okładce.

- Ty to zrobiłaś?

- Ja - rzekła skrępowana. - Skaleczyłam się.

- Ojej... Daj, obejrzę.

- To nic takiego. Wzięłam pióro, ale wyśliznęło mi się i ukuło w palec.

- Pokaż - poprosił, siadając na brzegu łóżka.

Nie miała wyjścia, więc wysunęła rękę spod kołdry. Ujął ją za przegub i delikatnie odwrócił dłonią w górę, żeby zobaczyć wąskie ukłucie na kciuku. Jego dotyk dziwnie uspokajał i krępował jednocześnie. Dłonie były zaskakująco zimne. Może dlatego od razu dostała gęsiej skórki.

- Bardzo krwawiłaś? - zapytał troskliwie.

- Nie - odparła, cofając rękę. - Tylko troszeczkę. Przykro mi, że poplamiałam notatnik.

Próbowałam go oczyścić.

Lorcan pokręcił głową.

- Nie przejmuj się tym, Grace. W ogóle się nie przejmuj.

Nadal czuła się zakłopotana, siedząc tak w samej nocnej koszuli.

- Widziałeś moje ubranie? - spytała. - Nie mogłam go znaleźć.

- Oczywiście. Jest tutaj.

Poderwał się i podniósł stos rzeczy z krzesła przed biurkiem. Wyglądały na czyste i starannie poskładane. Była pewna - tak pewna, jak to tylko możliwe - że wcześniej ich tam nie było. Ale może nie zauważyła...

- O, a tutaj jest też twój zegarek.

Lorcan ułożył ubranie na kołdrze i pomachał jej zegarkiem przed twarzą, jakby chciał ją zahipnotyzować. Jego błękitne oczy połyskiwały jak odbicie słońca na wodzie. Po chwili położył jej zegarek na dłoni.

Wskazywał wpół do ósmej. Co było dziwne. Lorcan mówił przecież, że jest środek nocy.

Podniosła zegarek do ucha - nie tykał.

- Stanął - oznajmiła.

- Woda dostała się pewnie do mechanizmu.

Kiwnęła głową, ale zaraz sobie przypomniała, że to zegarek dla nurków, zbudowany tak, by działał nawet na dużych głębokościach. Dziwne...

- Zresztą - dodał Lorcan - uwolnienie się od tykania zegara niektórzy uważają za prawdziwe błogosławieństwo.

Ojciec powtarzał niegdyś coś podobnego. Nie pamiętała, by kiedykolwiek nosił zegarek; wolał określać czas według słońca i księżyca, pozwalając, by światło i zmierzch oraz przyływ i odpływ wyznaczały pory dnia. Może na tym statku działo się podobnie - wachty zmieniały się z dnia na noc, od światła do ciemności.

Lorcan uśmiechnął się i rozejrzał po kajucie. Zauważył wciąż przypiętą do kotary notkę i zmarszczył brwi.

- Wybacz ten melodramatyczny gest - powiedział. - Po prostu lepiej, aby nikt więcej nie wiedział, że tu jesteś. Przynajmniej na razie.

- Ale dlaczego? - zdziwiła się Grace.

Kiedy Lorcan zastanawiał się nad odpowiedzią, nastrój chyba znowu mu się zmienił. Zauważyła znajomą zmarszczkę przecinającą czoło.

- To rozkaz kapitana, Grace. Uważa, że tak jest bezpieczniej.

- Bezpieczniej? Czyżby coś mi groziło?

- Groziło? Nie, oczywiście, że nie.

- Lorcan, to przecież bez sensu. Jeśli jest bezpieczniej, żeby nikt o mnie nie wiedział, to znaczy, że jakieś niebezpieczeństwo mi grozi.

Nie odpowiedział - ale marszczył brwi.

- Gdyby rzeczywiście coś mi groziło, powiedziałbyś, prawda?

- Tak, Grace. Oczywiście.

Wydawał się podenerwowany. Jego dobry nastrój zniknął bez śladu.

- Co się stało? - spytała.

Na moment przymknęła oczy. Nie mogła nie zauważyć, jak długie i ciemne ma rzęsy. W świetle świec rzucały długi cień na policzki.

- To nie jest zwykły statek - oświadczył, otwierając oczy. - I nasze zachowania nie są zwyczajne. Nie jestem pewien, czy to ci się spodoba.

- O co mu może chodzić?

- Dlaczego? - Zająknęła się. - Dlaczego ma mi się nie spodobać?

Potrząsnęła głową, jakby próbował zatrzymać zrywające się z łańcuchów mroczne myśli.

- Chciałbym powiedzieć ci więcej, Grace, ale kapitan mnie prosił, żeby nie mówić.

- Czemu?

- Nie chce cię wystraszyć. Och, strasznie wszystko mieszam...

- Tak. No to teraz rzeczywiście nieźle mnie wystraszyłeś. - Nie miałem takiego zamiaru. Słowo daję, Grace, to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał. - Więc przestań mówić zagadkami! - zawołała rozdrażniona, ale zaraz poczuła, że mogła w ten sposób przekroczyć granicę.

- Zagadkami? - zdziwił się. - Rozumiem, czemu tak uważasz, ale właściwie to nie jest żadna zagadka.

Westchnęła. Każda jego odpowiedź wydawała się pomyślana tak, by otwierać drogę do kolejnych pytań.

- Pewnie chciałabyś dowiedzieć się czegoś o swoim bracie - powiedział.

Zdumiała ją ta bezpośredniość. Chciała zapytać go o Connora od chwili, kiedy wszedł do kajuty, czekała jednak na odpowiedni moment. Zdawała sobie sprawę, że najważniejsze jest zdobycie zaufania Lorcana.

- Wiesz coś o Connorze? - spytała, starając się zachować obojętny ton i nie zdradzić, jak rozpaczliwie pragnie wieści.

- Kapitan twierdzi, że twój brat żyje i ma się dobrze.

- Tak twierdzi? A skąd wie? Czy Connor jest na pokładzie?

- Nie mogę ci zdradzić nic więcej.

- Musisz, Lorcanie. Mówiłeś, że muszę być cierpliwa, i byłam. Mówiłeś zagadkami o tym statku i dlaczego muszę tkwić tu zamknięta jak w klatce, a ja nie naciskałam i nie żądałam wyjaśnień. Ale jeśli chodzi o mojego brata, muszę wiedzieć wszystko. To zbyt ważne.

Spojrzała mu prosto w oczy, odczuwając coś podobnego do zawrotu głowy, gdy zapadała się w te błękitne głębie.

- Mogę powiedzieć tylko tyle: powinnaś zaufać kapitanowi. Skoro mówi, że twój brat jest bezpieczny, to musisz mu wierzyć.

- Ale jak? Jak mogę? Skąd on może wiedzieć?

- Kapitan wie o wielu sprawach - odparł Lorcan. - Więcej, niż pomieściłbym w głowie, choćbym żył tysiąc lat.

Nie zrozumiała, ale widziała jasno, że lepszej odpowiedzi nie otrzyma... na razie. Musiała czekać. Zyskać jego zaufanie. Wtedy powie więcej. Zauważyła, że Lorcan często niechętny mówi więcej, niż zamierza. Tymczasem powinna dowiedzieć się czegoś o kapitanie. Trudno uwierzyć bezcielesnemu szeptowi, a tym właśnie - w tej chwili - był dla niej dowódca statku.

Nagle usłyszała dobiegające z zewnątrz głosy.

- Wracaj natychmiast! - Nie, miałeś już dosyć... - Dosyć? Co ty powiesz? To JA cię poinformuję, kiedy będę miał dosyć! Zaniepokojony Lorcan skoczył do okna. Oboje z Grace nasłuchiwali przez chwilę, ale nic więcej nie usłyszeli. Aż do...

- Nie! Puść mnie!

- Nie próbuj walczyć. Wiesz, że nie wygrasz.

Lorcan wyminął Grace i pobiegł do drzwi.

- Muszę iść.

Wyskoczył na korytarz. Drzwi zamknęły się za nim. Grace czekała na szcęk klucza w zamku, ale wydawało się, że Lorcan w pośpiechu o tym zapomniał. Serce zabiło jej mocniej. Wydarzenia za oknem dały jej szansę...

Chwyliła ubranie, szybko zrzuciła haftowaną nocną koszulę i wciągnęła swoje stare rzeczy. Zawiażywała właśnie buty, kiedy znów usłyszała za oknem rozmowę.

- Puść go, Sidorio, jest słaby.

To mówił Lorcan.

- Ale mój głód potężny.

- Pożywiłeś się już dziś wieczorem. Dostałeś, co ci się należało.

- To za mało!

- Wiesz, że nie. Kapitan mówi...

- Może mam już dość tego, żeby kapitan stale mi mówił, co mam robić. Może jestem już gotów, by sam o sobie decydować.

Choć niepewna, o czym rozmawiają, Grace słyszała dosyć, by się zaniepokoić. Ale tym razem nie chciała tylko słuchać. Na palcach przebiegła przez kajutę, po drodze gasząc świece. Kiedy zniknął ostatni płomyk, znalazła się w całkowitej czerni. Minęła chwila, nim zorientowała się w położeniu, a oczy przyzwyczyły się do ciemności. Wtedy podeszła do okna i powoli odsunęła kotarę.

Przysunęła twarz do szyby i wyjrzała. Lorcan stał odwrócony do niej plecami. Wydawało się, że z kimś walczy - zapewne z człowiekiem o imieniu Sidorio.

- Wracaj do kajuty! - usłyszała krzyk Lorcana.

Jakaś trzecia postać przesunęła się za oknem.

Starszy mężczyzna... Twarz blada i wykrzywiona strachem... Puste oczy...

Lorcan i Sidorio siłowali się, Lorcan przesunął się dalej od okna. Nagle Grace zobaczyła twarz Sidorio. Patrzył prosto na nią - był to najstraszniejszy obraz, jaki widziała w życiu. Mężczyzna miał potwornie wykrzywione rysy: oczy jak jeziora ognia, usta zalane krwią. Przypominał raczej wściekłego psa niż człowieka. I zdawało się, że patrzy nie na nią, ale w nią.

Wtedy Lorcan odwrócił się i zauważył Grace za szybą. Dziewczyna wyraźnie dostrzegła przerażenie w jego oczach.

W tej właśnie chwili kotara wypadła jej z dłoni. Nie tak, jakby Grace ją wypuściła, ale raczej jakby ktoś ją wyrwał. W każdym razie na powrót szczelnie przesłoniła okno. Dziewczyna próbowała ją odciągnąć, ale tkanina wydawała się ciężka jak kawał żelaza. Albo ona sama traciła siły, albo działała tu jakaś mroczna magia.

Potem, jedna po drugiej, zdmuchnięte przed chwilą świece zapaliły się kolejno. Jak to możliwe? Grace patrzyła zdumiona, jak kajuta na nowo wypełnia się światłem. Podbiegła do drzwi, ale kiedy chwyciła już za gałkę, usłyszała chrzęst przekręcanego klucza. Było za późno. Znów została zamknięta w kajucie. Kto robił to wszystko? Przecież na pewno nie Lorcan. Nie mógłby poruszać się tak prędko. Chociaż... Zdarzenie z zupą stawiało go w cieniu podejrzeń.

Zwróciła się w stronę łóżka i jej wzrok padł na ustawione na stoliku filiżankę i spodek. Smuga pary unosiła się w powietrzu - jakby dla podkreślenia faktu, że filiżanka właśnie w tej chwili się tu pojawiła, tak niespodziewanie i tajemniczo jak przedtem talerz zupy. Zdecydowanie działała tu jakaś nadprzyrodzona siła.

Grace podeszła bliżej, zdumiona i zalękniona. Wciągnęła w nozdrza oszałamiający, mocny zapach gorącej czekolady z dodatkiem pomarańczy i gałki muskatołowej. Aromat zbudził w niej dręczący głód - głód, z którego jeszcze przed chwilą nie zdawała sobie sprawy. Piękna filiżanka z delikatnej porcelany, z misternymi zdobieniami aż się prosiła, by wziąć ją w ręce.

Im lepiej dziewczynka poznawała ten statek, im dłużej przebywała na pokładzie, tym mniej to wszystko miało sensu.

- Wypij czekoladę - odezwał się cichy, spokojny głos. Był jak szept rozbrzmiewający jej w głowie.

- Wypij.

Słyszała ten głos już wcześniej. Należał do kapitana.

Rozdział 12

Łagodna śmierć

Śniadanie na pirackim statku było zorganizowanym chaosem. Mesa okazała się odpowiednio nazwana, gdyż mieściła w sobie masę piratów i pękała w szwach, kiedy Bart wprowadził tu Connora.

- Szybko, łap te miejsca! Bo zaraz je zajmą!

Connor zdołał jakoś przecisnąć się przez hordę piratów i usiadł na drewnianej ławie, wyciągając rękę w bok, by zająć miejsce dla Barta. Siedzący naprzeciwko unieśli głowy znad talerzy.

- Ciebie jeszcze tu nie widziałem - odezwał się jeden z nich.

Otwarte usta odsłaniały pustkę zakłócaną jedynie kilkoma brązowymi, próchniejącymi pieńkami zębów i resztkami jedzenia.

- To pewno ten dzieciak, co go pani Li wyłowiła z piany - stwierdził jego sąsiad, pochylając się, by lepiej widzieć.

Connor przytaknął, starając się ignorować cuchnący oddech mężczyzny.

- Moja łódź zatонуła podczas sztormu. Cheng Li mnie uratowała.

- Coś podobnego! - zawołał pierwszy. - I co teraz? Zostaniesz piratem?

Szczerbaty zaczął gryźć kawałek chleba, którą to czynność wyraźnie utrudniał mu brak funkcjonujących zębów.

- Może.

- A dasz sobie radę, mały? - Drugi pirat przyglądał mu się z uwagą. - Bo trzeba mocnych flaków, żeby wytrzymać pirackie życie.

- Mocnych flaków, jasne! - powtórzył jego bezzębny sąsiad. - A ten oto Śmierdziel zna się na flakach. Powiadam, zna się jak nikt!

Po czym bezzębny pirat szturchnął kolegę w sam środek wystającego brzucha. Nie potrafił powstrzymać się od szyderczego rechotu i parsknął głośno, zasypując Connora gradem

na wpół przeżutych okruchów. Drugi - „Śmierdziel” - prychnął śmiechem przez nos, po czym wypuścił trzy głośne pierdnięcia.

Na szczęście w tej właśnie chwili przy stole pojawił się Bart, niosący dwa załadowane jedzeniem talerze. Usiadł obok Connora i energicznie postawił je na stole.

- Widzę, że zapoznałeś się już z Bezzębnym Jackiem i Śmierdzielem. - Po czym wymruczał pod nosem: - Dwie najbardziej bezużyteczne namiastki piratów, jakie możesz spotkać.

Connor uśmiechnął się i spojrzał na pełen talerz. Nie mógł zidentyfikować niektórych elementów śniadania, ale wszystko pachniało całkiem smakowicie, a jemu bardzo chciało się jeść. Były w tym jakieś jajka i chyba coś w rodzaju owsianki, co przyjemnie wypełniało żołądek. Przypalony kawałek czegoś - może bekonu, może ryby - też dobrze smakował. I jeszcze duży kawał arbuza. Przełknął to wszystko z przyjemnością.

- Widzę, żeś tego potrzebował, kolego.

- Mmm... - Connor oblizwał wargi. - Znajdzie się jeszcze trochę?

- Miałbyś duże szczęście, Oliverze Twiście - odparł Bart. - Myślisz, że czemu tak załadowałem talerze? Sztuka polega na tym, żeby łapać jedzenie, jak tylko je zobaczysz, i tyle, ile zdołasz. W tej chwili kuchnia ma dość zapasów, ale nie zawsze tak jest. A teraz może przyniesiesz nam po kubku herbaty? Z mlekiem, bez cukru.

Pchnął Connora w stronę lady. Chłopiec starał się jak najsprawniej przecisnąć przez hałaśliwą zgraję piratów. Byli najróżniejsi - młodzi i starzy, grubi i chudzi, wysocy i niscy, a pochodzili chyba ze wszystkich narodowości, jakie można by wymyślić. Równie wiele kobiet co mężczyzn... i wydawały się równie hałaśliwe i niedbałe jak ich towarzysze.

W końcu zobaczył właz prowadzący do kambuza. Podszedł tam, a młody człowiek o okrągłej twarzy koloru buraka, obficie nakrapianej pryszczami, zawołał:

- Taaak?

- Ehm... Dwie herbaty, proszę.

Zanim skończył, w jego rękach znalazły się natychmiast dwa duże, emaliowane kubki parującej herbaty.

- Ruszaj się, synku! - huknął stojący za nim pirat, a Connorowi mało nie popękały bębenki.

W każdym punkcie mesy coś się działo. Podążając z powrotem na swoje miejsce, Connor mijał piratów siłujących się na ręce nad pustymi talerzami czy zwijających pierwszego tego dnia papierosa. Inni urozmaicali sobie czas szybką partyjką kart, zanim będą musieli stanąć do pracy.

Bezzębny Jack i jego cuchnący kolega minęli Connora, zmierzając do wyjścia z mesy.

- Baw się dobrze, Kapitanie Mężny! - uśmiechnął się szeroko Jack.

Connor zmarszczył czoło i przecisnął się obok, a Śmierdziel jeszcze raz głośno puścił wiatry. Connor był w tej chwili wdzięczny losowi, że dzieli kajutę z Bartem.

Dotarł już niemal do celu, kiedy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Odwrócił się i spojrzał prosto w oczy Cheng Li.

Serce zabiło mu mocniej. Była ostatnią osobą, z którą chciałby się teraz spotkać.

- Chcę z tobą porozmawiać - oznajmiła. - Wyjdźmy na zewnątrz.

Connor obejrzał się na Barta, który wstał i ruszył w ich stronę.

- Porozmawiam z chłopcem sam na sam - powiedziała Cheng Li. - Zostaw herbatę tutaj.

Wstał słoneczny poranek, jednak chłodny wiatr dmuchał mocno. Łopot wzdętych żagli prawie ich ogłuszył, gdy pod nimi przechodzili. Część piratów zajęta już była zwykłymi obowiązkami - naprawiali żagle, czyścili działa, wspinali się po wantach, by zająć stanowiska. Cheng Li zaprowadziła Connora do osłoniętego kąta na pokładzie dziobowym.

- Chciałam cię przeprosić - powiedziała.

Connor nie mógł uwierzyć własnym uszom. Naprawdę nie spodziewał się czegoś takiego.

- Wczoraj strasznie cię potraktowałam, chłopcze, i obawiam się, że mogłam nie uszanować twoich uczuć tak, jak powinnam.

- Dziękuję...

Nic innego nie przyszło mu do głowy.

Cheng Li spojrzała na niego z dziwną miną. Dopiero po chwili zrozumiał, że próbuje się uśmiechnąć. Zdawało się, że dla mięśni jej twarzy jest to straszliwy wysiłek i w końcu zrezygnowała.

- A jak się dzisiaj czujesz?

- Całkiem dobrze - odparł.

Tak naprawdę czuł się lepiej niż dobrze. Jedzenie i sen pozwoliły mu odzyskać energię i wciąż czuł ten dziwny spokój, który nocą nadpłynął nie wiadomo skąd i wypełnił jego myśli.

- Jak się zdaje, nawet chrapanie Bartholomewa nie przeszkodziło ci we śnie - rzekła.

I choć nie potrafiła się normalnie uśmiechnąć, oczy zaiskrzyły się jej lekko.

- Prawie - zachichotał rozbawiony Connor. - Ale nie całkiem.

- A więc dzisiaj rozpoczynasz nowe życie jako pirat...

Przytaknął.

- Wiesz, czego się spodziewać?

- Właściwie nie.

Pokręcił głową i rozejrzał się po pokładzie. Kolejni piraci wychodzili z mesy i przyłączali się do pracujących. Zdawało się, że jest wiele do zrobienia i każdy tu zna swoje miejsce.

- To dobry czas, żeby zacząć - stwierdziła Cheng Li. - Zwłaszcza dla kogoś takiego jak ty, kto właśnie... kto potrzebuje zmiany. Piractwo się zmienia, Connor. Nasze siły rosną. Jeśli będziesz ciężko pracował i szybko się uczył, przekonasz się, że może to być dobre życie. Wiele mogę ci pokazać.

Connor przypomniał sobie, co Bart opowiadał o studiach Cheng Li w Akademii Piractwa. Najwyraźniej była bardzo ambitna i oddana sprawie. Pochlebiało mu, że dostrzegła w nim potencjał, i czuł lekkie wyrzuty sumienia, bo niespecjalnie go pociągało życie pirata. Ale tego nie musiała słyszeć, podobnie jak kapitan Wrathe czy Bart ani nikt z pozostałych. Jego jedynym celem było znalezienie Grace - odszukanie statku, w którego istnienie nikt z nich nie wierzył, ale który on sam widział równie wyraźnie, jak teraz stojącą przed nim pannę Li.

- Zastanawiałam się - powiedziała spokojnym i rzeczowym tonem. - W nocy leżałam w koi i myślałam o tym, co nam opowiadałeś.

I znowu Connor z trudem mógł uwierzyć własnym uszom.

- Myślałam o tej twojej szancie i jak zapewniałeś, że widziałeś ten statek, zanim wyciągnęłam cię z wody.

- I... I wierzysz mi?

- Ani przez moment nie wątpiłam, że jesteś przekonany, iż go widziałeś. Zastanawiałam się tylko, czy taki statek mógłby istnieć naprawdę.

- Mógłby - zapewnił Connor. - Istnieje - poprawił się.

Cheng Li pokręciła głową.

- Nie masz żadnego dowodu, Connorze.

- Ta szanta...

- To żaden dowód. Żadna piosenka nie pomoże ci w poszukiwaniu siostry.

- Tej nocy - odparł - tuż przed zaśnięciem, miałem wizję Grace śpiącej bezpiecznie na statku.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. Obraz był tak wyraźny, że niemal czuł delikatną miękkość jej poduszki.

- Znakomicie - mruknęła Cheng Li. - Zatem teraz mamy wśród dowodów jedną wizję, jedno senne marzenie i jedną starą piosenkę. Doprawdy, chłopcze, wszystko to jest tak przydatne jak papierowy miecz. Szukam solidnych faktów, a ty dajesz mi złudzenia i fantazje.

Connor zmarszczył brwi. Właściwie wierzyła mu czy nie? - Mówię wszystko, co wiem...
- Najbezpieczniej będzie chyba dać sobie z tym spokój - uznała. - Nie warto rozbudzać w sobie nadziei. Kapitan Wrathie pewnie by mnie porządnie zwymyślał, gdyby wiedział, że w ogóle zaczęłam tę rozmowę...

- Nic mu nie powiem - zapewnił Connor, pragnąc zachować jej, chwiejne co prawda, ale jednak wsparcie.

Cheng Li przesunęła wzrokiem po horyzoncie.

- Czy naprawdę mógłby istnieć taki statek?

Connor uśmiechnął się tylko. Wiedział, że istnieje. Czuł to we krwi. Statek wampiratów pływał gdzieś po oceanie, a Grace była na jego pokładzie. I nie tylko on w to wierzył. Mimo sceptycyzmu Cheng Li, wiedział, że ona także wierzy - chce wierzyć. Znalazł sprzymierzeńca.

- Oczywiście - powiedziała - jest pewien istotny fakt, który przeoczyliśmy.

Connor spojrział na nią pytająco.

- Przypuśćmy na chwilę... tylko przypuśćmy... że statek wampiratów rzeczywiście istnieje. I przypuśćmy, że wampiraci faktycznie wzięli na pokład twoją siostrę...

- Tak... - ponaglił ją Connor.

- Nielatwo mi to powiedzieć, chłopcze. Ale jeśli to statek demonów... statek wampiratów... to jak myślisz, co z nią zrobią?

Równie dobrze mogła mu przebić serce lodowym sopłem. Słowa cięły go do głębi, a jednak nie mógł odrzucić ich treści. Jakim był głupcem! Rozpaczliwie trzymał się nadziei, że statek wampiratów uratował Grace. Ale nawet jeśli tak, nie było to ocalenie. Nawet jeśli Grace była żywa jeszcze dzisiejszego ranka, to może już nie na długo. Cheng Li wspominała wcześniej, że utonięcie to łagodna śmierć. Śmierć z rąk wampiratów raczej taka nie będzie.

Rozdział 13

Stłuczone lustro

- Jak długo tu jestem? - spytała Grace, kiedy Lorcan wszedł do kajuty, niosąc tacę z posiłkiem. - Tobie też miłego dnia - odparł z uśmiechem. - Jak długo już tu jestem? Ile dni? - Niech policzę... - Ustawił tacę na biurku. - No więc chyba... trzy dni i noc. Nie, pomyliłem się. Cztery. Cztery dni i cztery noce... Grace zadrżała. Gdyby jej nie powiedział, nie potrafiłaby sama ocenić. Odkąd trafiła na ten statek, zupełnie straciła poczucie czasu. Pewnie, nie bez znaczenia był fakt, że jej zegarek stanął i że innego w kajucie nie było. Tkwiała tutaj, zwykle za zasuniętą kotarą, pozbawiona dziennego światła. A to bezustanne poczucie zmęczenia wzmagало tylko dezorientację.

- Przyniosłem ci gorącą owsiankę - poinformował Lorcan. - Na pewno jesteś głodna.

Była głodna, ale miała też mnóstwo pytań, on zaś zbyt dobrze sobie radził z udzielaniem wymijających odpowiedzi. Namówi ją na jedzenie, a potem ona poczuje się znużona i zapomni o wszystkim, o co chciała go spytać. Po pewnym czasie powieki jej zaciążą i odpłynię w sen. A kiedy się zbudzi, jego już nie będzie - a pytania pozostaną. Ale nie, nie tym razem.

- Lorcanie, gdzie jest mój brat?

- Nie wiem, Grace - zapewnił. - Przecież bym ci powiedział.

- Minęły cztery dni. Chcę zobaczyć Connora. Chcę chociaż wiedzieć, co się z nim dzieje.

I czy jest zdrowy.

Zbierało jej się na płacz ze zmęczenia, rozdrażnienia i lęku.

- Przykro mi, Grace. Naprawdę mi przykro. Ale nie potrafię ci odpowiedzieć. Jedyne kapitan wie to wszystko.

- W takim razie muszę się zobaczyć z kapitanem - odparła, stając się nagle stanowcza. - Zaprowadzisz mnie do niego?

- Najpierw muszę z nim porozmawiać. Nie mogę tak po prostu zabrać cię do jego kajuty.

- Czemu nie?

- Porozmawiam z nim, Grace.

- Dzisiaj? Dziś wieczorem? - Złapała się za głowę. - Czy to dzień, czy noc? Nie wiem. - Noc, Grace. - Chwycił jej drżące dłonie i uściśnął lekko. - Tak, porozmawiam z nim dziś wieczorem - obiecał. - Czy teraz zjesz trochę owsianki, póki jest jeszcze ciepła?

- Nie wystygnie. Zawsze jest ciepła. Tak jak te świece, które nigdy się nie wypalają. - Wstała i spojrzała na szklane klosze. - Jestem tu od czterech dni, a te świece bez przerwy się palą, z wyjątkiem krótkiej chwili, kiedy je zdmuchnęłam. Ale potem znowu się zapaliły. Czy możesz mi to wyjaśnić?

Lorcan uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Mówiłem ci, że to nie jest zwyczajny statek.

- A jaki?

Pytanie zawisło w powietrzu. Lorcan wpatrywał się w przestrzeń między nimi, jakby tam chciał znaleźć właściwe słowa.

- To taki statek, na którym dziewczynki stają się wycieńczone i słabe, jeśli nie chcą nic jeść. No, proszę. Kucharka przygotowała to specjalnie dla ciebie. Pęknie jej serce, jeśli zobaczy, że niczego nie tknęłaś..

- Jeśli jest takie dobre, sam zjedz - powiedziała rozdrażniona.

Pokręcił głową.

- Nie czuję głodu.

- No dobrze. Dobrze. Jeśli ma ci to poprawić humor, zjem tę twoją owsiankę.

Przeszła obok niego i usiadła przy biurku. Na tacy stała spora biała miseczka pełna gorącej owsianki. Pachniała wspaniale. Obok czekał dzbanek śmietany i miseczka kryształków brązowego cukru. Jak zwykle łyżka leżała owinięta w wykrochmaloną białą serwetkę. I jak zwykle Grace nie mogła się powstrzymać od jedzenia. Odwinęła serwetkę i posypała owsiankę cukrem. Zaczekała, aż ciepło stopi kryształki w smakowicie gęsty syrop. Potem dołała śmietany, chwyciła łyżkę i zaczęła jeść.

- No, teraz poczujesz się lepiej - stwierdził Lorcan, który usiadł na brzegu łóżka i czekał, aż Grace skończy posiłek.

Owsianka dawała energię - Grace zapamiętała to skądś. Ale jak wszystko, co jadła na pokładzie statku, pozostawiła ją z uczuciem nasycenia, ale i znużenia.

Odwróciła się i znów spojrzała na Lorcana.

- Czy zatruwacie moje jedzenie?

- Co? - Zaśmiał się głośno.

- Dobrze słyszałeś. Za każdym razem, kiedy coś zjem albo wypiję, czuję się strasznie zmęczona. Zасыpiam na całe godziny... w każdym razie myślę, że to godziny. Zupelnie nie mam poczucia czasu.

- Grace, parę dni temu o mało nie utonęłaś. Kiedy cię znalazłem, tliła się w tobie ledwie iskierka życia. Ciało, a umysł również, potrzebują czasu, by wrócić do zdrowia. Nie przyszło ci do głowy, że może zwyczajnie potrzebujesz snu?

Kiedy tak to ujmował, rzeczywiście, wszystko nabierało sensu. Lorcan Furey miał zadziwiający dar kojenia jej najmroczniejszych lęków. Potrafił wszystko logicznie wytłumaczyć, ale kiedy odchodził - kiedy budziła się całkiem sama w kajucie - cały ten dręczący, pulsujący lęk znowu wślizgiwał się w jej myśli.

- Muszę iść - rzekł, wstając. - Poszukam kapitana i spytam go o twojego brata. Masz rację. Musisz się czegoś o nim dowiedzieć. Nie możesz się tak męczyć.

Podszedł do drzwi.

- Jesteś pewien, że nie mogę zwyczajnie pójść z tobą? Zrobię wszystko, żeby choć na chwilę wyrwać się z tej kajuty.

Pokręcił głową.

- Muszę iść sam. Ale rozumiem cię. Naprawdę rozumiem. Nie chciałbym siedzieć tu jak w klatce... choć to jedna z najlepszych kajut na statku i... - wskazał małą toaletkę - jedna z nielicznych z własną łazienką. Ale, jak ci ciągle powtarzam, to dla twojego bezpieczeństwa. Powinienem niedługo wrócić, a tymczasem...

- Wiem - przerwała mu. - Wiem: nie wyglądam przez okno.

- Chciałem powiedzieć: spróbuj się nie martwić. Ale owszem, skoro już o tym wspomniałaś, nie unieś tej kotary, proszę.

Kiwnęła głową na znak, że zrozumiała. Uśmiechnął się do niej i wysliznął za drzwi, zamykając je za sobą na klucz.

Znów była zmęczona. Oczywiście... To musi być coś w jedzeniu. I chociaż stale gasiła kadzidełko, zdawało się, że za każdym razem samo się zapala, wypełniając kajutę mocnym zapachem wanilii i jaśminu. Z początku uważała ten aromat za piękny - teraz stał się duszący.

Poczuła się śpiąca... taka śpiąca...

Nie. Musi jednak zachować przytomność. To zbyt ważne. Musi pozostać czujna, czekając na powrót Lorcana.

Rozejrzała się, szukając czegoś, co zajmie jej myśli. Wzrok padł na notatniki i pióra na biurku. Nagle Grace doznała olśnienia.

Zdjęła tacę z biurka i położyła ją na podłodze. Przysunęła sobie jeden z notatników, otworzyła i wzięła pióro.

„Dzień czwarty”, napisała. „Owsianka. Lorcan poszedł spytać kapitana o Connora. Zapytałam go też o świece i czy dodają mi czegoś do jedzenia...”

Przyjrzała się słowom. Pewnie nie zyskałyby najlepszych ocen w szkole, ale może pomogą prowadzić rachubę czasu.

Usłyszała jakieś dźwięki na pokładzie - kroki i głosy. Odłożyła pióro i podeszła cicho do kotary. Przy zamkniętym oknie mogła coś usłyszeć tylko wtedy, gdy ludzie stali tuż za szybą, albo jeśli krzyczeli. Teraz dźwięki dochodziły do niej raczej niewyraźnie. To znaczy, że rozmawiający nie stali bezpośrednio za oknem, a więc chyba mogła zaryzykować i wyjrzeć.

Nie pierwszy raz lekceważyła ostrzeżenie Lorcana - ani nie drugi czy trzeci. Nabrała praktyki w odsuwaniu kotary tylko odrobinę i zasłaniania blasku świec przyciśniętą do szyby twarzą.

Tak zrobiła i teraz; rozejrzała się po pokładzie, szukając śladów załogi. Z początku nie zauważyła nikogo. Dopiero po chwili dostrzegła kątem oka grupę ludzi kręcących się przy relingu. Próbowała usłyszeć, co mówią, ale byli za daleko.

- Bliżej... - szepnęła.

Jakby to słowo rzuciło na nich czar, odsunęli się od relingu i weszli w pole widzenia. Grace mocniej przycisnęła twarz do szkła, by mieć pewność, że z wnętrza kabiny nie przedrze się nawet migotanie płomyka świecy.

Patrzyła, jak przechodzą. Słyszała urywki zdań, ale niczego nie mogła złożyć w całość. Jednym z nich - co uświadomiła sobie nagle - był mężczyzna, który patrzył na nią tamtej nocy, gdy została przyłapana przy oknie. Sidorio - tak się nazywał. I spoglądał nie tyle na nią, co raczej przez nią. Pamiętała, jak zmienioną miał twarz, płonące oczy... Teraz wydawał się całkiem normalnym człowiekiem. Czy wtedy wyobraziła sobie tylko jego przemianę? Możliwe. Może było to wywołane gorączką złudzenie.

Usłyszała szcęk zamka... Wracał Lorcan. Szybko opuściła kotarę i rzuciła się na łóżko.

Lorcan wsunął się do kajuty i znowu przekręcił klucz.

- Rozmawiałem z kapitanem - oznajmił.

- Dziękuję. - Serce waliło jej jak oszalałe. - Co powiedział? Czy Connor tu jest?

- Powiedział, że twój brat jest bezpieczny, ale nie ma go na pokładzie tego statku.

- Nie ma? To skąd wie, że jest bezpieczny?

- Kapitan wie. Znowu ogarnęło ją zniechęcenie. - Więc kiedy kapitan przyjdzie ze mną porozmawiać? - Nie dzisiaj, Grace. - W takim razie zabierzesz mnie do niego. - To nie jest właściwy czas, Grace. Kapitan ma wiele innych obowiązków. Wiele obowiązków? Co może być ważniejsze od tego? Jakim potworem jest ten kapitan, że ignoruje jej prośby? Jak może być taki okrutny? Dziewczynce zbierało się na płacz.

Lorcan odwrócił się do niej plecami, jakby zamierzał wyjść.

- Nie zostawiaj mnie tu samej - szepnęła.

Obejrzał się z uśmiechem.

- Nie odchodzę.

Trzymał coś w ręku - ręczne lustro, które znalazła na komodzie. To bez szkła.

- Weź to - powiedział.

Popatrzyła na niego pytająco.

- Zaufaj mi. To prezent od kapitana.

Prezent? Stłuczone lustro? Grace zaczynała coraz bardziej nie lubić kapitana. Czy to miał być jakiś żart?

- Weź je z moich rąk - poprosił Lorcan.

Grace wzruszyła ramionami. Nie zaszkodzi przecież, jeśli je weźmie, choć nie wierzyła, by mogło w czymś pomóc...

Ale kiedy chwyciła zdobioną ramkę, zdarzyło się coś dziwnego: wokół uniosła się mgła. Wypływała z samego lustra - z panelu, gdzie powinno być szkło zwierciadła. Zaskoczona obejrzała się na Lorcana, ale prawie go nie widziała - mgła gęstniała szybko. Po chwili Grace stała już pośrodku gęstej białej chmury. Kręciło jej się w głowie.

I nagle mgła się rozviała. Ale Grace nie stała już w kajucie, a pod gołym niebem. Spojrzała na deski pokładu - miały naturalny brązowy kolor, nie były pomalowane na czerwono, jak to widziała wcześniej. Uniosła wzrok i niecały metr od siebie zobaczyła Connora.

- Connor! - zawołała. Uśmiechnęła się radośnie i podbiegła do niego.

Ale on się odsunął. A raczej pozostawał w tej samej odległości. Przestała biec, uświadamiając sobie, że w rzeczywistości wcale się nie porusza.

- Connor! - zawołała ponownie.

Chyba jej nie słyszał. Zrozumiała. Choć wydawał się rzeczywisty, był jedynie wizją. Mogła go widzieć i słyszeć, ale proces był ściśle jednostronny. Nie szkodzi, lepsze to niż nic - o wiele lepsze.

Nie miała wątpliwości, że to Connor, choć nosił cudze ubranie - strój marynarza. Ale wydawał się całkiem zadowolony. Patrzyła, jak podchodzi do grubego słupa - to maszt. Ciągnął za linkę. Zrozumiała, że wciąga flagę. Uniosła głowę i zobaczyła czaszkę i skrzyżowane piszczele.

Connor był na statku piratów!

Obraz znów zaszedł mgłą. Traciła go! Wszystko kończyło się za szybko!

- Jeszcze chwileczkę - błagała. - Proszę, tylko chwilę!

Ale mgła znowu zgęstniała. A potem rozwiała się i Grace znów znalazła się w kajucie, z pustą ramką lustra w dłoni.

Przed nią stał Lorcan.

- I co teraz powiesz, Grace? Podoba ci się prezent od kapitana?

Dziewczyna kiwnęła głową. Ogarnął ją spokój i dziwna euforia.

- Tak. Bardzo. Proszę, podziękuj mu ode mnie.

- Oczywiście.

- Powiedz mu... Powiedz, że rozumiem.

Lorcan zdziwił się wyraźnie.

- Rozumiesz? A co takiego rozumiesz, Grace?

- Wszystko - odparła z lekkim uśmiechem. - Teraz rozumiem wszystko.

Lorcan nadal wyglądał na zdziwionego.

- Nie muszę ci chyba tego tłumaczyć - powiedziała.

- Myślę, że jednak powinnaś, Grace. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Potrząsnęła głową, nieco rozbawiona jego udawaniem.

- Chodzi mi o to, Lorcan, że zrozumiałam, że jestem martwa. Teraz zdałam sobie z tego sprawę: ja utonęłam tamtej nocy. Nie uratowałeś mnie, w każdym razie nie w zwykłym sensie tego słowa. Wyłowiłeś mnie z wody i przeniósłeś tutaj. Do tego... miejsca oczekiwania. Ale

Connor żyje. Jest cały. Teraz pojęłam: kapitan pozwolił mi wrócić, choć tylko na chwilę. Och, jestem taka szczęśliwa, Lorcan! Nie umiem ci tego opisać. Taka jestem szczęśliwa, mimo że jestem martwa.

Rozdział 14

Zrozumienie

Grace spała mocniej niż kiedykolwiek. To dziwne, że będąc martwa, czuła się tak pełna życia - ale przynajmniej zrozumiała, dlaczego straciła poczucie czasu. Może to samo było przyczyną bezustannego zmęczenia - śmiertelne ciało stawało się dla niej za ciężkie i wkrótce nadejdzie pora, by je opuścić.

Otworzyła oczy i ze zdumieniem odkryła, że Lorcan śpi, skulony na krześle obok okna. Nigdy dotąd nie spał w jej kajucie. Czy to coś oznacza? Zastanowiła się. Czy zbliża się czas odejścia z miejsca oczekiwania? Dokąd potem trafi? A może, pomyślała podniecona, będzie tam na nią czekał ojciec...

Która godzina? Grace nie mogła tego określić, nie wyglądając na zewnątrz. Zsunęła się z łóżka i wymijając Lorcana, podeszła do kotary. Odsunęła ją ostrożnie - ciemność ustępowała. Za szybą nie panowała już absolutna czerń, ale przydymiona szarość. Zbliżał się świt. Ale czy to ten sam świt, który oznaczał nowy dzień dla żywych, czy też znajdowali się gdzie indziej? Czy poza światem żywych istnieje ten sam cykl dnia i nocy? Grace chciała się tego dowiedzieć. Żeby już Lorcan się zbudził... Miała do niego mnóstwo nowych pytań.

Opuściła kotarę. Statek zakołysał się mocno na falach, straciła równowagę i zatoczyła się na Lorcana. Przebudził się gwałtownie, z wyrazem paniki w oczach.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam cię przestraszyć. Potknęłam się.

- Jak długo spałem? - zapytał.

Grace wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Mówiłam ci już... całkiem straciłam poczucie czasu. Ale na zewnątrz zaczyna się przejaśniać.

- Światło? - Jego przerażenie chyba jeszcze wzrosło.

- Tak. Popatrz.

Sięgnęła do kotary. Ranek zbliżał się szybko; widoczna przed chwilą szara zasłona unosiła się i zastępował ją głęboki róż wchodu słońca.

Lorcan odwrócił się jak uderzony i zasłonił dłońmi twarz.

- Co się stało? - zdziwiła się.

- Nie powinienem spać. Powinienem być teraz gdzie indziej.

- Dlaczego zostałeś na noc?

- Martwiłem się o ciebie. Byłaś rozgorączkowana. Mówiłaś o umarłych.

- Bo jestem martwa. I wcale nie mam gorączki. Prawdę mówiąc, nigdy nie czułam się lepiej.

- Grace, teraz mi uwierz: nie jesteś martwa.

- Nie?

Jeśli była martwa, wszystko miałoby sens, jeśli nie, stawało się równie pogmatwane jak przedtem.

- Jak mogłem przespać Dzwon Świtu? - mruczał Lorcan, opierając głowę na dłoniach.

- Nie było żadnego dzwonu. Nie mogło być, przecież słyszałabym go, kiedy się obudziłam.

Lorcan zaczął drzeć.

- Przecież Darcy zawsze bije w dzwon. Jak mogła zapomnieć?

- Kto to jest Darcy? I co jest takiego ważnego w tym dzwonie? I Lorcanie... masz absolutną pewność, że nie jestem martwa?

- Sto procent pewności, Grace. Przede wszystkim martwe dziewczynki nie jedzą owsianki. - Wskazał pusty talerz na tacy. - Powinienem być gdzie indziej - powtórzył znowu.

- Więc idź.

Zdawało się, że Lorcan nie może się ruszyć z miejsca.

- Nie dobiegnę na czas. Ja...

Wyraźnie rozdrażniony uderzył pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki.

Nieco zaniepokojona tą gwałtowną demonstracją Grace wróciła do okna. Uniosła kotarę i przez zakurzone szkło spojrzała na różowy blask świtu. Miała uczucie, że patrzy, jak otwierają się płatki kwiatu.

- Zasłoń okno, Grace.

Jego głos brzmiał chrapliwie.

- Co?

- Proszę cię, Grace, opuść tę zasłonę!

Zasunęła ją i odwróciła się. Lorcan zachowywał się bardzo dziwnie, zwłaszcza jak na kogoś, kto przez krótki czas ich znajomości zawsze był taki spokojny i opanowany. Gdy tylko kotara opadła, odetchnął głęboko i powoli odsunął dłonie od twarzy.

- Zostanę tutaj - postanowił w końcu. - Z tobą. To najlepsze rozwiązanie.

- To naprawdę bardzo uprzejme z twojej strony, ale nie musisz się mną przejmować. Nie gorączkuję. Trochę jestem zdezorientowana, to możliwe...

- Nie martwię się o ciebie.

- Więc o co? Lorcan, o co chodzi?

Pokręcił głową. - Są rzeczy, o których lepiej, żebyś nie wiedziała, Grace. Wciąż drżał. Odruchowo wyciągnęła rękę, by go jakoś uspokoić. I nagle wpadła na świetny pomysł. Wiedziała, co mu pomoże.

Otworzyła usta i zaczęła śpiewać.

Opowiem ci o wampiratach

- wieść stara, lecz prawdziwa -

tak, w tej historii statkiem starym

straszna załoga pływa.

O tak, zaśpiewam o statku starym,

Co pruje bezmiar fal, budząc paniczny strach.

Lorcan rozdziawił usta.

- To znaczy, że wiesz? - Jego głos był ledwie szeptem.

Grace zdziwiona potrząsnęła głową.

- Wiem co?

Lorcan siedział w milczeniu, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

- To taka szanta, którą tato często śpiewał Connorowi i mnie. Uspokajała nas, kiedy byliśmy wystraszeni.

Grace uśmiechnęła się i śpiewała dalej.

Podarte żagle tego statku są niby skrzydła ptaków,

a sam kapitan twarz swą zakrył, żeby nie mnożyć strachu.

Śmiertelnie bladą skórą, martwym wyrazem oczu, zębami jak u diabła.

O tak, kapitan twarz swą zakrył

I nie ogląda światła.

Kiedy zabrzmiały ostatnie słowa wersu, Grace i Lorcan równocześnie spojrzeli na zasłonięte okno. I nagle wszystko stało się oczywiste. Całkiem jakby w wypowiedzi Lorcana były rozrzuconymi kawałkami układanki, które teraz uniosły się jak rój i dopasowały do siebie.

- „By światła nie widzieć...”.

Tym razem wymówiła te słowa spokojnie, powoli podchodząc do okna i ponownie chwytając za kotarę.

- Nie! - Lorcan nerwowo wyciągnął rękę, by ją powstrzymać.

Za późno. Chwyciła palcami róg zasłony, a kiedy Lorcan odciągnął ją na bok, szarpnęła. Zerwała tkaninę z okna i błądzący snop światła wdarł się do kajuty.

Lorcan wypuścił ją i zakrył oczy, odskakując przed blaskiem. Skulił się w kącie. - Zasłoń to... - jęczał. - Załóż kotarę. Proszę się, Grace, zawieś z powrotem kotarę. Przez chwilę była zbyt zdumiona, by zareagować. Patrzyła tylko, jak chłopak rzuca się niczym osa w słoiku. Nie był to przyjemny widok.

Ale mimo grozy, jaką budziło nagłe zrozumienie, Grace nie mogła patrzeć na cierpiącego Lorcana. Uniosła więc kotarę do okna. Wyrwała ją z uchwytów, ale teraz przycisnęła boki do ramy i zasłoniła światło dnia.

Lorcan spojrział na nią z wdzięcznością.

- Dziękuję - szepnął.

- Drobiazg.

Przewiesiła kotarę przez pręt i zawiązała na obu końcach. Sprawdziła, czy okno jest dokładnie zakryte, po czym zwróciła się do Lorcana.

- No tak - rzekła. - Prawie odgadłam, prawda? Tylko że to nie ja jestem martwa, ale ty.

Skinął głową.

- Lepiej zostań tu do zmroku, Lorcanie Furey. Co da ci mnóstwo czasu na to, żeby mi wszystko wytłumaczyć.

Jej ton mógł sugerować, że panuje nad sytuacją - ale to nie była prawda. W tej chwili patrzyła na tego chłopca, całkiem przystojnego chłopca, który wyglądał na starszego od niej o kilka lat, i widziała już całkiem inną osobę. Po raz pierwszy zdołała zajrzeć poza te lśniące

błękitne oczy. Może i uśmiechał się do niej, ale jego nastrój w każdej chwili mógł się zmienić. A za tym uśmiechem, kto wie, jakie kryją się zagrożenia?

Rozdział 15

Konflikt

Na pirackim statku mijaly kolejne dni, a nadzieje Connora rosly i opadaly jak fale przyplywu. Rozpaczliwie wierzyly, ze Grace zyje, ze zostala uratowana przez statek wampiratow, i ze - wbrew wszelkiemu prawdopodobienstwu - zdoiala tam przezyc. Ale kiedy zapadala noc, a on wykonal juz codzienne obowiazki, ogarnial go mroczny lek.

Trudno bylo uwierzyc, ze jeszcze tydzien temu on i Grace mieszkali w latarni morskiej. I chociaz oddalby wszystko, by cofnac czas - gdyby tylko wtedy odzyskal Grace - zycie na morzu takze miało swoje zalety. Diabło był szczęśliwym statkiem, mimo napięcia między kapitanem Wrathem i Cheng Li. Connor zaprzyjaźnił się z Bartem. Większość pozostałych członków załogi też traktowała go przyjaźnie, choć Bezzębego Jacka i Śmierdziela zawsze starał się omijać z daleka.

- Trochę mniej zadumy, a więcej szorowania, Connorze, jeśli można prosić.

Uniósł głowę i zobaczył, jak Cheng Li przechodzi obok dziarskim krokiem, a bliźniacze pochwy mieczy podskakują jej na plecach. Znowu przydzielili go do szorowania pokładu. Z początku jęknął tylko w myślach, ale kiedy już wziął się do roboty, okazała się niezbyt męcząca. Przyjemnie było przebywać na świeżym powietrzu, wykonując jakąś bezmyślną pracę fizyczną.

- Hej, marudo!

Connor uśmiechnął się, gdy Bart podbiegł do niego z tyłu. Miał wyszorować inną część pokładu, ale najwyraźniej pracował szybciej.

- Strasznie pan jest powolny, panie Tempest - powiedział z żartobliwą wyższością, przedstawiając pannę Li - W czym problem? Czyżby mop był za ciężki dla złotodzioba?

- Akurat... - rzucił Connor.

Kiedy wyjął z wiadra ciężki od wody mop, uniósł go i machnął w stronę Barta tak, że na nowego przyjaciela spadł niespodziewany i nieprzyjemny zimny prysznic.

Przez chwilę Bart stał oszołomiony. Connor wystraszył się, że posunął się za daleko. Bart spoglądał na niego groźnie. A potem chwycił własny mop i zanurzył go w wiadrze.

Connor nie miał już czasu na „przeładowanie”. Wysunął tylko mop do przodu, jak miecz, i czekał na atak.

Mop przeciwnika zatoczył łuk, ale Connor uniósł swój i zablokował atak. Stuknęły drewniane kije. Chlapnęła woda, ale Connor pozostał suchy.

- Naturalny talent, co? - pochwalił go Bart. - Cate Kord będzie zachwycona. Bart cofnął mop, a Connor szybko wsunął swój do wiadra. Teraz on przystąpił do ataku. Skoczył naprzód, ale Bart odparował pchnięcie i uniósł jego mop tak wysoko, że woda zmoczyła tylko Connora. Nagły prysznic był zimny, ale orzeźwiający. Connor odskoczył i zaatakował ponownie. A potem obaj cięli i parowali na całej szerokości pokładu, aż dotarli do samej burty. Bart miał przewagę i przycisnął Connora do relingu.

- Mam nadzieję, że tym razem nie wyskoczysz za burtę - powiedział ze złośliwym błyskiem w oku.

Connor westchnął, po czym znów uniósł mop i z całych sił odepchnął Barta na bok.

Bart krzyknął z radości i powrócił do walki. Znowu z zapalem fechtowali się po pokładzie, a mopy stukwały głośno o siebie. Teraz Connor zyskał znaczną przewagę i gwałtownie zepchnął Barta pod drzwi nadbudówki.

- Dobra, masz mnie - przyznał tamten.

Connor z uśmiechem patrzył, jak Bart opuszcza mop. Walka trwała dość długo i był wdzięczny za możliwość złapania oddechu. Wtedy jednak Bart skoczył w górę, ponad nim, a kiedy Connor się odwrócił, Bart już tam czekał - z mopem gotowym do ciosu.

- No dobra, wygrałeś. - Chłopiec roześmiał się głośno. - Ale musisz obiecać, że nauczysz mnie tego ruchu.

- Jasna sprawa. - Bart zachowywał się jak dumny zwycięzca. - Ale dobrze sobie radziłeś, młodziaku. Popeliłeś tylko jeden błąd. Właśnie wtedy. Patrzyłeś na mop, a powinieneś patrzeć w oczy. Zawsze obserwuj oczy przeciwnika. Miecz może kłamać, oczy nie.

Mówiąc to, machnął mopem na Connora i zmoczył go strugą brudnej wody.

Nad sobą usłyszeli powolne kłaśnięcia w dłonie. Mrugając od słońca, z oczami zalanymi wodą, Connor uniósł głowę i zobaczył opartego o poręcz kapitana Molucca Wrathe'a.

- Bardzo dobrze, chłopcy - zawołał do nich mężczyzna. - Podobał nam się ten pokaz, Scrimshawowi i mnie. Prawda, Scrim? Może przy następnym rajdzie użyjemy mopów i szczotek. Co o tym sądzisz, Bartholomew?

- Chyba wolałbym zachować miecz, jeśli to panu nie przeszkadza, kapitanie.

- Bardzo dobrze, Bartholomew - odparł kapitan. - A teraz, panie Tempest, zechce pan zajrzeć do mojej kajuty? Chciałbym zamienić z panem kilka słów.

Kapitan odwrócił się i zniknął w drzwiach.

Bart szturchnął Connora. - No już, ruszaj się! Nigdy nie należy pozwalać czekać kapitanowi. Drzwi kajuty kapitańskiej były otwarte. Connor zastukał w futrynę. - Proszę wejść, panie Tempest. Connor słyszał, ale nigdzie nie widział kapitana Wrathe'a. Kajuta wyglądała na dużą, ale ciasno zastawioną różnymi przedmiotami. Takie uczucie, pomyślał, ma pewnie człowiek, wchodząc do grobowca faraona. Marmurowy posąg pradawnej bogini stał nad skrzynią, z której wysypywały się złote monety i cenne kamienie. Były też obrazy - w tym jeden ze słonecznikami, który naprawdę wyglądał znajomo - oparte o zabytkowe krzesła.

Głębiej stały dwa młode słonie zdobione klejnotami, niemal naturalnej wielkości. Były tu także zwierciadła, wyższe niż Connor, które powiększały rozmiar kajuty. Wszystkie te kosztowności to pewnie łupy, jakie kapitan Wrathe zebrał w kolejnych rejsach Diabła - a może tylko podczas ostatniej wyprawy. Najwyraźniej stanowisko kapitana piratów niosło ze sobą pewne korzyści.

Gdy Connor wszedł dalej, usłyszał muzykę - niezwykłą, niepokojącą melodię. W końcu zajrzał za dwie wysokie chińskie wazy i zobaczył Molucca Wrathe'a siedzącego niczym dawny sułtan na stosie jedwabnych poduszek. Obok niego Scrimshaw zsuwał się z jaskrawofioletowej poduszki, z wyraźnym zamiarem zbadania stojącego na niskim stoliku talerza daktyli w miodzie.

- Nie spieszył się pan do mnie, panie Tempest - stwierdził kapitan. - Proszę usiąść. Wyłączę tylko muzykę.

Connor usiadł ze skrzyżowanymi nogami na wielkiej złocistej poduszce.

- Powiedziałem, że wyłączę tylko muzykę - powtórzył kapitan Wrathe, głośniejszym głosem niż poprzednio.

Nie ruszył się z miejsca; podniósł tylko głos. Muzyka grała dalej. Connor nie był pewien, co właściwie powinien zrobić.

- Niech to... - mruknął kapitan, sięgnął za siebie i chwycił antyczną szkandelę. Po czym odwrócił się i mocno uderzył nią w coś za sobą.

Muzyka zamilkła.

Rozległ się jęk.

Jakiś człowiek wypadł na poduszki, upuszczając Connorowi pod nogi sitarę.

- No właśnie - mruknął Molucco Wrathe. - Już lepiej. W końcu mogę słyszeć własne myśli.

Connor przyjrzał się ogłuszonemu sitarzyście. Z ulgą zauważył, że nadal oddycha.

- A teraz do rzeczy. - Kapitan nadgryzł daktyla i podał drugą połówkę Scrimshawowi. - Chciałbym się dowiedzieć, jak się panu podoba życie na morzu, panie Tempest?

- Chyba całkiem dobrze, panie kapitanie.

- Musi pan często wspominać swoją siostrę i ojca.

- O tak - przyznał Connor.

- Tak właśnie być powinno, mój chłopcze. Myśl o nich często i daj sobie szansę, by właściwie opłakać ich śmierć.

Connor skinął głową, starając się nie okazywać żadnych emocji. Kapitan Wrathe chyba w ogóle nie brał pod uwagę możliwości, że Grace nadal żyje. W tej chwili przynajmniej nie warto było mu się sprzeciwiać.

- Nigdy nie wynagrodzimy panu tej straty, panie Tempest. Ale jeśli zechce pan nas za takich uważać, możemy stać się pana nową rodziną. Nie zastąpimy tej prawdziwej... to niemożliwe... ale mimo to będziemy troszczyć się o pana i znajdzie pan tu swoje miejsce. W każdym razie nie będzie pan samotny.

Connor był poruszony tymi słowami. Wskazywały one na to, że naprawdę kapitan troszczył się o jego uczucia.

- Wszyscy bardzo dobrze mnie przyjęli - zapewnił. - Bart, Cate Kord, Cheng Li...

Molucco Wrathe chwycił się nagle za gardło i wybałuszył oczy. Czyżby udławił się daktylem? Connor nie był pewien, czy dobrze pamięta manewr Heimlicha. Rozejrzał się za szklanką wody...

Wtedy kapitan Wrathe wybuchnął śmiechem.

- Nie przejmuj się, drogi chłopcze. Po prostu samo wspomnienie o pani Li czasami prowadzi u mnie do takich ataków. Dziwne, co?

Connor przytaknął z uśmiechem i zanotował w pamięci, by jak najrzadziej wspominać o Cheng Li. Widząc nagromadzone w kajucie łupy, bez trudu zmienił temat.

- Czy wszystko to pochodzi z pirackich wypraw?

- Abso-diablolutnie, mój chłopcze - potwierdził z dumą kapitan Wrath. - Większość zgromadzonych tutaj łupów to świeża zdobycz z ataku w zeszłym tygodniu, dzień czy dwa przez zawarciem znajomości z tobą.

- Wszystko z jednego rajdu? - szczerze zdumiał się Connor.

- No tak, ale był wyjątkowo udany. Zaatakowaliśmy na lądzie. Dostaliśmy wiadomość, że rezydencja gubernatora w Port Hazzard będzie pusta i uznaliśmy, że warto złożyć tam krótką wizytę.

Connor był zdziwiony.

- Zawsze myślałem, że piraci atakują tylko inne statki... Kapitan Wrath rozpromienił się.

- Jediną regułą jest to, że nie ma żadnych reguł. Chodzi przede wszystkim o zaskoczenie. O robienie tego, co niespodziewane. Pewien słynny pirat z dawnych dni powiedział kiedyś, że życie pirata jest krótkie, ale wesołe. No więc moje życie było bardzo wesołe, choć nie takie krótkie, co stwierdzam z przyjemnością. I łyknę za to rumu!

Pociągnął ze swojego kubka. Connor uśmiechnął się. W kapitanie Diabła było coś nieodparcie ujmującego. Piractwo zdawało się sączyć z niego wszystkimi porami skóry.

- Krótkie życie, ale wesołe. Słyszał pan, panie Tempest? Dzisiaj, mój chłopcze, w pirackim świecie wielu jest takich, którzy tę radość zabijają. Osoby podobne do pani Li, która nauczyła się wszystkiego z książek... Choć jej ojciec był świetnym piratem. Ale okrutnym! He he, okrutnym. Ale o czym to ja mówiłem? A tak: wielu jest takich, co uczą się piractwa z książek. Zakładają sobie łańcuchy zasad, regulaminów i drobnej biurokracji. A przecież piractwo nie na tym polega. W piractwie najważniejszy jest instynkt, szczęście, rzucanie się w paszczę niebezpieczeństwa, by pomóc swojemu bratu. Bo tutaj wszyscy jesteśmy braćmi. I jest jeszcze honor. Słuchasz mnie, chłopcze? Honor pirata. A jeśli przywozisz do domu zdobycz, czemuż masz mieć czoło zmarszczone? To przecież tylko rzeczy. - Zatoczył ręką wokół siebie. - Piękne obrazy, posągi, złożone słonie i co tam jeszcze. Tylko rzeczy. W zeszłym tygodniu należały do gubernatora. A dzisiaj są moje. Koniec historii.

Zastanowił się.

- Diament za twoje myśli - podjął z uśmiechem, wyjmując klejnot z otwartej szkatuły.

Przygryzł go.

- O, ten jest całkiem dobry. Chyba go jednak zatrzymam.

- Chciałem tylko powiedzieć, panie kapitanie, że jestem bardzo wdzięczny... za wszystko - zapewnił Connor z całkowitą szczerością.

- Nie ma o czym mówić, panie Tempest. Jesteśmy tu jedną rodziną. Niech pan zje daktyla. To ulubiony smakołyk Scrimshawa. Musieliśmy nadłożyć drogi wokół przylądka, żeby kupić parę beczek, ale to nieważne, byle maluch był zadowolony...

Uśmiechnął się i pogłaskał węża po głowie.

Choć Connor bardzo polubił kapitana Wrathe'a, za nic nie mógł się jakoś przekonać do jego ukochanego gada.

Sięgnął po daktyla. Mógłby przysiąc, że Scrimshaw rzucił mu niechętnie spojrzenie. Chłopiec zjadł owoc z niejakim poczuciem winy.

- A co pan myśli o tych wazach, panie Tempest? Czyż nie są piękne?

- Bardzo duże - zauważył Connor. - To prezent... dar na zgodę, jeśli pan woli... od gubernatora. - Gubernatora, którego pan okradł? - W rzeczy samej, drogi chłopcze. W ten sposób chciał pokazać, że nie żywi urazy. - To trochę dziwne... Nagle Connor usłyszał głośny brzęk. Rozejrzał się, próbując go umiejscowić. Z początku pomyślał, że może to dzwon okrętowy. Czyżby wezwanie do broni? Kapitan Wrathe był równie zaskoczony. Najwyraźniej niczego takiego się nie spodziewał. Brzęk rozległ się znowu, tym razem głośniejszy.

Kolejne uderzenia powtarzały się, regularnie i coraz głośniej. Było jasne, że nie jest to głos dzwonu. Ani bicie zegara. Dźwięk zdawał się rozlegać przed nimi, ale to przecież niemożliwe. Stały tam tylko dwie chińskie wazy.

Connor patrzył na piękne malowidła na porcelanie. Łączące się obrazy pagody nad krętą rzeką i wierzby, i... Nagle obie wazy zaczęły pękać. Pagoda zniknęła, porcelana rozsypała się w kawałki. Z obu waz wyskoczyły ludzkie postacie, od stóp do głów ubrane w czerń, każda z bronią w ręku.

- Co za diabli? - krzyknął kapitan Wrathe, gdy dwóch intruzów skoczyło ku niemu, jeden uzbrojony w kord, drugi w sztylet.

Rozdział 16

Napad

- Kim wy jesteście, u licha? Czego chcecie? - dopytywał się kapitan Wrathe. Jeśli był wystraszony - a miał po temu wszelkie powody - to świetnie udawał. Connor jednak uznał, że pewnie już wiele razy patrzył śmierci w oczy.

Dwaj zamaskowani ludzie nie odpowiadali. Zbliżyli się tylko, jak wielkie muchy fruujące przed kapitanem i Connorem.

Potem ten ze sztyletem skinął towarzyszowi głową. Uzbrojony w kord przytaknął i przesunął się lekko w taki sposób, że teraz i Connor, i kapitan znaleźli się w zasięgu cięcia. Serce chłopca biło mocno. Jeśli starcie na mopy z Bartem było lekcją walki numer jeden, teraz zaliczał lekcję numer dwa. Pojawiła się realna możliwość, że nie dożyje już do lekcji numer trzy.

Napastnik zbliżył się do Connora i szybko przesunął płazem sztyletu po jego biodrach. Pewnie szuka broni, uświadomił sobie chłopiec. Nie znalazł, więc przesunął się do kapitana. Bliźniaczych srebrnych pochew u pasa nie dało się nie zauważyć. Kapitan opuścił dłoń na rękojeść, gotów wydobyć miecz, okazał się jednak zbyt wolny. Szybkim, precyzyjnym ruchem posiadacz sztyletu odciął mu pochwy od pasa; stuknęły o podłogę tuż obok Scrimshawa, który wśliznął się pod stolik.

Posiadacz sztyletu odwinął z talii pas czarnej tkaniny. Rzucił ją Connorowi i ruchem głowy wskazał kapitana. Było jasne, że chce, by Connor związał Molucca Wrathe'a.

Connor zerknął niepewnie na kapitana, mając nadzieję, że ten wie, co robić. Był tak doświadczony, by z pewnością ułożyć jakiś plan.

Ale kapitan powiedział tylko:

- Lepiej rób, co ci każą, chłopcze. Nie opłaca się dyskutować ze stalą.

I wyciągnął ręce za siebie.

Czy miał plan? Czy Connor mógł zrobić cokolwiek, na przykład luźno wiązać węzły? Ale Molucco Wrathe nie udzielał żadnych wskazówek, a napastnik zbyt uważnie obserwował, żeby

coś takiego mogło się udać. Connor ze smutkiem owinął pasem materiału przeguby dowódcy. Kiedy skończył, napastnik skinął na niego ostrzem sztyletu, więc posłusznie odstąpił, a tamten zbadał więzy. Zdawało się, że jest zadowolony.

Odwrócił się i przejechał ostrzem po stosie poduszek przed kapitanem i Connorem. Z rozciętych powłok uniosła się w górę chmura pierza.

Kiedy wleciały pióra, Connor kichnął i zachwiał się lekko. Odzyskał równowagę, ale poczuł, że coś wbija mu się w plecy - uchwyt szkandeli, której kapitan użył wcześniej, by uciszyć sitarzystę. Connor nie dał nic po sobie poznać, zastanawiając się, czy zdoła jakoś pochwycić rękojeść.

Napastnik podniósł z podłogi dwie pochwy kapitana. Jedną wcisnął za pas, z drugiej wyjął kord i rzucił współnikowi, który złapał go zręcznie. Teraz szachował ich bronią trzymaną w obu rękach.

Pierze opadło na poduszki i stolik, pokrywając je niczym śnieżne zasy. Napastnik ze sztyletem przeszedł w głąb kajuty. Connor zdał sobie sprawę, że to cięcie poduszek nie było przypadkowym aktem barbarzyństwa - człowiek wyraźnie czegoś szukał.

Choć nie był związany jak kapitan, nadal nie mógł się ruszyć, gdyż napastnik z dwoma kordami w rękach stał tuż przed nim, gotowy do akcji. Przypomniał sobie poradę Barta: „Zawsze obserwuj oczy przeciwnika. Miecz może kłamać, oczy nie”. Przeniósł spojrzenie z pary ostrzy na oczy napastnika. Zauważył, że są ciemnobrązowe. W ich głębi, ku swemu zdumieniu, dostrzegł strach.

Starając się nie okazywać żadnej reakcji, Connor spuścił wzrok. Czy to możliwe, że intruz, choć uzbrojony nie w jedną, ale dwie groźne klingi, był przestraszony? Bał się tego, co może nastąpić? Był zbyt przestraszony, by użyć broni? Rączka szkandeli nadal wbijała się w plecy Connora, a w jego głowie powoli zaczął formować się plan. Wszystko zależało od tego, czy zdoła wybrać właściwy moment, by zacząć działać.

Tymczasem drugi z napastników dokonywał zniszczeń w kajucie. Connor słyszał, jak skarby, na które zwrócił uwagę przy wejściu, z trzaskiem padają na podłogę - rozdarte obrazy, połamane krzesła. Mógł sobie tylko wyobrażać skalę zniszczeń.

W czasie całego zamieszania ani on, ani kapitan, ani też ich strażnik z dwoma kordami, nie drgnęli nawet. Całkiem jakby objęła ich delikatna mydlana bańka spokoju i bezruchu.

Delikatny lustrzany parawan roztrzaskał się na podłodze, rozsypując wszędzie odłamki szkła. Connor wystraszył się, czy nie ucierpi Scrimshaw, ale tak naprawdę myślał o czymś innym. Wandal był teraz widoczny dla niego i pozostałej dwójki. Prze-stępując nad stosami szkła, podszedł do marmurowego posągu bogini. Z błyskiem ciemnych oczu uniósł sztylet do jej szyi. Czy to miało być ostrzeżenie? W jego oczach Connor nie dostrzegł śladu lęku ani wahania. Patrzył zdziwiony, jak tamten wykonuje gest, jakby podcinał bogini gardło.

Chłopiec przygryzł wargę.

Gdy ostrze dotknęło marmuru, zdarzyło się coś dziwnego - pod klingą pojawiło się pasmo czerwieni. Connor drgnął i szeroko otworzył oczy. Wandal przejechał nożem w tył, na kark posągu. Co się tam działo? Jakie tajemnice skrywała ta statua?

Człowiek ze sztyletem nie marnował czasu, by je odkrywać. Wcisnął klingę w szczelinę i zdołał jakoś zdjąć marmurową głowę. Kiedy rozbiła się o podłogę, z okaleczonego posągu pod stopy napastnika trysnęła fontanna czerwieni.

Wnętrze wypełnione było rubinami.

Najwyraźniej tego właśnie szukał intruz. Odpiął od pasa czarny woreczek, schował sztylet i zaczął zbierać klejnoty.

Jego uzbrojony w kordy towarzysz obejrzał się przez ramię, by lepiej widzieć. Wtedy właśnie Connor, nie spuszczać z niego wzroku, powoli przesunął rękę za plecy i sięgnął po uchwyt szkandeli.

Kątem oka zauważył, że Scrimshaw wypęła spod stolika i sunie w stronę napastników. Czyżby i jemu coś przyszło do głowy?

Connor zrozumiał to w chwili, gdy wąż owinął się wokół nogi człowieka z kordami. Zobaczył to w jego oczach - i nie tracił ani chwili. Palce natrafiły na uchwyt szkandeli i zacisnęły się mocno.

Napastnik, czując węża na kostce, wydał stłumiony przez maskę okrzyk. Słyszając go, jego towarzysz odwrócił się. W dłoniach trzymał stosik rubinów, a ich czerwony blask odbijał się w ciemnych oczach.

Connor zamachnął się szkandelą i z bojowym okrzykiem trafił w głowę tamtego. Metalowa płyta stuknęła głośno i napastnik runął ogłuszony na stos rubinów. Był nieprzytomny.

Tymczasem jego współnik usiłował ostrzem korda zrzucić z nogi węża.

- Nie! - krzyknął kapitan. - Nie krzywdź Scrimshawa!

Connor wyrwał sztylet zza pasa powalonego wroga i chwycił odebraną kapitanowi pochwę. Nie było czasu, by wyjąć z niej broń, więc wcisnął ją sobie za pasek.

Człowiek z kordami rozpaczliwie usiłował strząsnąć sobie z nogi Scrimshawa. Wybałuszał oczy ze zgrozy i na nic nie zwracał uwagi. Connor z łatwością uderzył sztyletem i wytrącił mu z ręki jeden miecz.

To jednak jakby go rozbudziło. I choć wyraźnie przestraszony wężem, który wolno ale pewnie ścisnął mu kostkę, wysunął kord i zwrócił się przeciw Connorowi. Chłopiec nie miał czasu, by wyjąć z pochwy broń kapitana Wrathe'a - trzymał jednak sztylet.

Spojrzał w oczy niedoszęłego zabójcy i przekonał się, że mimo groźnej pozy, tamten wciąż ogarnięty jest trwogą. Connor zawahał się, nie chcąc narażać Scrimshawa - gdyby przeciwnik upadł, mógłby zgnieść węża. Dziwna była ta walka ramię w ramię z gadem, uznał jednak, że musi atakować. Scrimshaw dzielnie naraził życie, by ratować swego pana, a teraz Connor musiał dokończyć dzieła.

Uniósł sztylet i machnął nim przed sobą, by wyczuć ciężar i możliwą szybkość manewrów. Przeciwnik ciął kordem, Connor odparował cios. Stał brzęknęła o stal; kord był cięższy, ale Connor mocniej ścisnął rękojeść. Kord zadygotał w dłoni napastnika. Chłopiec szybko cofnął sztylet i mocno uderzył w klingę tamtego. Miecz wypadł z dłoni, a Connor skoczył do przodu i pochwycił go tryumfalnie. Teraz trzymał kord w prawej dłoni, a sztylet w lewej.

Przeciwnik sięgnął po miecz, który upuścił poprzednio. Ale kiedy się schylił, nie zauważył, że od tyłu zaszedł go niski sitarzysta. W chwilę później struna instrumentu przycisnęła mu ręce do pasa. Był pokonany.

Scrimshaw odwinął się z kostki mężczyzny i popętlął wśród pierza na podłodze w stronę swojego pana.

- Dobra robota, chłopcy - pochwalił kapitan Wrathe, gdy Connor go rozwiązał.

Jedną ręką podniósł Scrimshawa, drugą leżący miecz.

- Najlepszy przykład pracy zespołowej, jaki w życiu widziałem. Naprawdę świetny.

Rozdział 17

Wampir

Serce Grace biło jak oszalałe. Stała obok okna, dotykając palcami kotary. Lorcan usiadł na krześle po drugiej stronie kajuty. Był to rozsądny kompromis. Przysięgał, że jej nie zaatakuje, ale jak mogła mieć pewność, po tym czego się dowiedziała? Dopóki trzymała kotarę, zyskiwała marne, ale jednak zabezpieczenie. Gdyby ruszył w jej stronę, znowu odsłoni okno i zmusi go do wycofania.

Dziwnie było myśleć o nim w ten sposób. Był tak niepodobny do potwora, jak to tylko możliwe. Był jej sprzymierzeńcem, kimś, kto ocalił jej życie. Czy naprawdę chciałby jej zrobić krzywdę? Czy mógłby być... Nie potrafiła się jeszcze zmusić, by chociaż w myślach uformować to słowo.

- Ile masz lat? - spytała.

- Siedemnaście - odparł. - Ale sądziłem, że już to wiesz.

- Chodziło mi raczej o to, w którym roku się urodziłeś.

- Aha... - Uśmiechnął się i skinął głową, ale nie odpowiedział.

- W którym roku, Lorcan? Chcę wiedzieć.

- W tysiąc osiemset trzecim.

- Czyli w rzeczywistości masz siedemset dziewięć lat!

- To nie działa w taki sposób, Grace. Trudno to wytłumaczyć. Mam siedemnaście lat. W takim wieku byłem, kiedy przeszedłem granicę. I w takim wieku pozostanę już na zawsze.

- Ale przecież krążysz po ziemi, po tych morzach, już od siedmiuset lat!

- Po tej stronie czas płynie inaczej - odparł cicho. - Choć, prawdę mówiąc, zatraciłem już poczucie tego, jak było przedtem.

- Zapomniałeś swoje życie?

Pokręcił głową.

- Ależ skąd. Fakty z mojego życia pamiętam dobrze. Pamiętam, jak mieszkałem w Dublinie i wszystko, co mi się tam przydarzyło. Pamiętam, jak to się skończyło. Ale to jest jak bajka, którą ktoś mi raz za razem powtarzał. Znam wszystkie szczegóły, ale nie pamiętam, jakie to uczucie: być żywym.

Grace spoglądała na siedzącego przed nią chłopca, ledwie o trzy lata starszego według jednej miary, a oddalonego o cały świat według innej. Trudno było to pojąć.

- Kiedy przechodzisz - wyjaśnił - tracisz dawne rytmy. Mogę chodzić i mówić jak przedtem. Mogę pomagać w pracy na pięknym statku, jak ten. Ale nie czuję już tego, co ty czujesz. Ciężko to opisać, Grace. Wiele bym oddał by wróciły te uczucia. Nawet twoje cierpienie byłoby lepsze niż to odrętwienie.

Grace zmarszczyła brwi. Cóż on wiedział o jej cierpieniu? Gdyby chciał zamienić się z nią miejscami, byłaby skłonna to rozważyć.

Ale jej gniew szybko minął, gdy zauważyła dziwny wyraz jego twarzy. Przez jedną chwilę nie wyglądał jak Lorcan, którego znała. Oczy stały się puste jak u posągu, nozdrza się rozszerzyły, a kiedy rozchylił wargi, spostrzegła, że jeden z zębów jest nietypowo ostry. Zadrzała. Stał się podobny do tamtego - do Sidorii.

I wtedy do niej dotarło - na pokładzie byli inni podobni do niego. Wielu innych.

Lorcan otrząsnął się i jego rysy się wygładziły. Spojrzał na nią znajomymi oczami, jak gdyby nic się nie stało. Gdzie odszedł na tę jedną chwilę? Nie śmiała pytać.

- Nie powinienem ci mówić tego wszystkiego - rzekł.

- Zostaniesz ukarany? Co zrobi kapitan?

- Kapitan jest sprawiedliwym człowiekiem. Od niedawna należę do załogi i nie znam go zbyt dobrze. To nie jest ktoś, kogo można dobrze poznać. Jednak traktuje nas sprawiedliwie. Ma bardzo szczególną wizję. Odkąd przeszedłem granicę, bywałem w strasznych miejscach, tak mrocznych, jakich, mam nadzieję, nigdy nie zobaczysz. Ale teraz jestem bezpieczny. Ten statek jest moim portem.

- A czy ja jestem bezpieczna?

Te słowa wyrwały się jej, zanim zdążyła je ocenzurować.

- Przede mną? Tak, Grace, jesteś bezpieczna. Przysięgłem wcześniej i przysięgnę znowu, że nigdy nie zrobię ci krzywdy.

Chciała mu uwierzyć. Sądziła, że może mu zaufać. Mimo to nie wypuszczała z dłoni kotary.

- Ale czy jestem bezpieczna od pozostałych?

Lorcan nie uniósł głowy, ale sięgnął do kieszeni i wyjął złoty klucz na długim łańcuszku. Klucz kołysał się, jakby Lorcan chciał ją zahipnotyzować.

- Jak myślisz, dlaczego siedzisz tu zamknięta obok kapitańskiej kajuty?

Nie знаła na to odpowiedzi. Patrzyła, jak klucz kołysze się tam i z powrotem, i zastanawiała się, czy zdążyłaby wyrwać go i uciec. Gdyby zerwała kotarę, na pewno by go upuścił. To dałoby jej dość czasu...

- Może siedzisz zamknięta nie dlatego, że trzeba cię zatrzymać tutaj, ale dlatego, żeby tamtych tutaj nie dopuszczać - ciągnął.

Te słowa zmroziły ją. Miały sens. Ilu innych jeszcze tu było?

Lorcan z powrotem wcisnął klucz z łańcuszkiem do kieszeni.

- Nie wszystko jest tym, czym się wydaje, Grace. Ale podejrzewam, że o tym już wiesz. Kapitan rozkazał mi cię ochraniać. Dlatego jesteś w tej kajucie, dlatego nie możesz z niej wyjść.

- Ale czego kapitan chce ode mnie? Nie rozumiem tego, Lorcanie.

- Tego nie wiem, Grace. Ja tylko wykonuję jego rozkazy.

Jeszcze przed chwilą zdawało się jej, że jest bezpieczna, spokojna. Teraz czuła się bardziej zagrożona niż kiedykolwiek. Lorcan mógł sobie mówić co chciał, ale nie miał żadnej władzy. Jej los spoczywał w rękach kapitana.

- Chcę się z nim spotkać - oświadczyła.

- Z kim?

- Z kapitanem. Przyrowadzisz go do mnie?

Lorcan parsknął śmiechem.

- Czy nie wytłumaczyłem ci tego dostatecznie jasno? Nikt, ale to nikt nie wzywa do siebie kapitana, Grace. Zobaczy się z tobą, kiedy będzie gotów.

- Nie - odparła. - Dość długo już czekam. Chcę z nim porozmawiać. Albo poproś go, żeby przyszedł do mnie, albo mnie do niego zaprowadź. Natychmiast.

Oddychała teraz szybciej. Musiała znaleźć jakieś rozwiązanie.

- Nawet gdybym chciał, nie mógłbym - zapewnił ją Lorcan. - Nie, dopóki trwa dzień. Za dnia statek śpi. Kiedy zabrzmiał Dzwon Świtu, pokład pustoszeje i wszyscy się kryją. Nawet kapitan.

- Przecież Dzwon Świtu nie uderzył. Sam to mówiłeś przed chwilą.

Grace podrywała się już z miejsca.

- Tak, ale to nie ma znaczenia. Nie wiem, dlaczego Darcy nie uderzyła w dzwon. Ale to niczego nie zmienia. Nikt prócz kapitana nie może spacerować w blasku słońca.

Grace zastanowiła się.

- Ty nie możesz stąd wyjść, to prawda. Ale ja mogę. Jeśli dasz mi klucz, poszukam kapitana. Mówiłeś, że jego kajuta jest obok mojej.

Lorcan pokręcił głową.

- Nie dostaniesz ode mnie tego klucza, Grace. Przykro mi.

Zmarszczyła brwi, ale on wciąż spoglądał na nią stanowczo.

- Myślałam, że jesteś moim przyjacielem - powiedziała. - To cios poniżej pasa, Grace. Zrobiłem dla ciebie, co tylko mogłem. Dla ciebie pływałem w lodowatej wodzie. Wstawiłem się za tobą u kapitana. Zaryzykowałem własne bezpieczeństwo i reputację, zostając tu przy tobie. Ale teraz muszę wykonywać rozkazy.

Grace skrzyżowała ręce na piersi i zniechęcona przygryzła wargę. Znowu poczuła smak krwi. Reszta wydarzyła się błyskawicznie. Lorcan stanął nagle przed nią, patrząc jej głęboko w oczy, bardziej uważnie niż dotąd. Ujął ją za rękę, a ona uświadomiła sobie, że wypuściła kotarę. Teraz nie mogła już się wyrwać.

Lorcan przekręcił jej dłoń. Potem wyczuła chłód metalu, kiedy wcisnął jej klucz do ręki.

- Idź - powiedział. - Idź, zanim... zanim zmienię zdanie.

Odwrócił się i zasłonił oczy. Ręce mu drżały.

Grace czuła w dłoni ciężar klucza i wiszącego łańcuszka. Popatrzyła na drzwi.

Rozdział 18

Kara odpowiednia do winy

- A teraz zdejmujemy złoczyńcom maski - oznajmił kapitan Wrathe swojej załodze. Obaj intruzi zostali mocno związani i wyprowadzeni ze zdewastowanej kajuty na pokład. Prawie nie stawiali oporu, a Connor widział w ich oczach lęk i rezygnację.

Atak na kapitana był wydarzeniem niezwykłym, więc cała załoga porzuciła pracę, by zobaczyć, kto dopuścił się tego czynu. Piraci przepychali się hałaśliwie, walcząc o jak najlepsze miejsca, dopóki Molucco Wrathe nie unióśł ręki, nakazując ciszę. Posłuchali go natychmiast - nikt nie miał ochoty sprzeciwić się dowódcy.

- Panie Tempest, może pan dziś będzie czynił honory?

Kapitan lekko pchnął Connora w stronę dwójki więźniów.

- Proszę zdjąć im kaptury. Przekonamy się, kim są ci złoczyńcy.

Connor stanął przed napastnikami. Ręce ściągnięto im za plecy, a potem całe ciała mocno obwiązano linami, od piersi po kolana. Wyglądali teraz całkiem inaczej niż wtedy, kiedy grozili jemu i kapitanowi sztyletem i kordem.

- Na co czekasz? - zawołał niecierpliwie któryś z piratów.

- Do roboty, mały! - krzyknął drugi.

Kapitan znów uciszył tłum. Connor podszedł i zsunął intruzom kaptury, po czym odstąpił, by publiczność mogła się dobrze przyjrzeć.

Odślonięte twarze ujawniły piratom to, czego Connor domyślił się już wcześniej. Obaj napastnicy byli młodymi ludźmi, pewnie dwa, trzy lata starszymi od niego. Mieli dość odwagi, by wejść na pokład Diabła i ukryć się w wielkich wazach, czekając na właściwy moment. Udało im się sprytnie przedostać przez szeregi licznych obrońców kapitana.

- Chyba ich poznaję. - Kapitan podszedł bliżej.

- Jest coś znajomego w tych twarzach.

- Odciąć im nosy - zaproponował jeden z piratów.

- Nie. Pourzynać uszy! - wołał drugi.

Connor nagle zauważył, że jeden z chłopców próbuje coś powiedzieć, choć gwar zagłuszał jego słowa.

- On coś do nas mówi - rzekł, zwracając się do kapitana.

I znowu kapitan uniósł rękę, choć propozycje kar dla intruzów stawały się coraz bardziej natarczywe i kreatywne.

- Proszę - rzekł kapitan Wrathe. - Jeśli masz coś do powiedzenia, chłopcze, gadaj szybko. Nie dam rady na długo uciszyć tego tłumu.

- Jesteśmy z Port Hazzard - oznajmił chłopak. - Nasz ojciec jest tam gubernatorem. Obrabowaliśmy nasz dom, więc przyszliśmy udzielić wam lekcji.

Connorowi zaimponowała odwaga więźnia, okazywana nawet w tak fatalnej sytuacji. Zdawało się, że kapitanowi również.

- Przyszliście udzielić mi lekcji, tak? Powiedz coś więcej. Wszyscy zamieniamy się w słuch. No dalej, chłopcze, czekamy.

- Trzymajcie się morza - rzekł chłopak z zapalem. - To wasza dziedzina, ale ląd jest nasz.

Wśród piratów rozległy się krzyki. Connor zauważył, że drugi chłopiec jest bliski płaczu. Najwyraźniej nie był tak zapalczywy jak jego brat. Connor rozpoznał w nim młodszego z dwójki, tego, który trzymał miecze. Zademonstrował spore umiejętności szermiercze, jednak oczy zdradzały brak pewności siebie.

- I lepiej, jeśli nas wypuścicie - oświadczył jego starszy brat.

- Doprawdy? Ciekawe dlaczego. Masz może jeszcze jeden sztylet schowany w skarpecie albo sprężynowy kord za uchem? A w jaki sposób, jeśli wolno spytać, zamierzasz je wydobyć?

- Wrzucić ich do zupy! - wrzasnął ktoś.

- Zawiesić na rei! - Connor rozpoznał w wypowiedzianym pomysle głos Barta.

- Jeżeli - ciągnął dumnie chłopak - cokolwiek przytrafi się mojemu bratu albo mnie, nasz ojciec wyśle przeciwko tobie taką siłę, jakiej jeszcze nie widzieliście. Nawet jeśli ze swoją załogą opłyniecie Przyłątek, to mamy też przyjaciół na terytorium północnym. Jeśli nas zabijesz, naszą krew podpiszesz na siebie wyrok śmierci.

Samo wspomnienie o krwi i zabijaniu spowodowało, że młodszy z braci zwymiotował na pokład, minimalnie omijając aksamitny płaszcz kapitana.

- To rzeczywiście ciekawe. - Kapitan zrobił krok naprzód i przyjrzał się odważniejszemu z chłopców.

- Może i jest coś w tym, co mówisz.

Ten spojrział tryumfalnie na kapitana i Connora. Connor przypomniał sobie, jak czerwone rubiny odbijały się w jego nienaturalnie ciemnych oczach.

- Myślę, że was nie zabiję - stwierdził kapitan Wrath.

Pośród załogi zabrzmiały wyraźne okrzyki rozczarowania.

- Zaraz, zaraz. Jeszcze nie skończyłem. Myślę, że was nie zabiję... na razie. Muszę się zastanowić. A dopóki będę ćwiczył swoje szare komórki, najlepiej chyba postąpić zgodnie z sugestią pana Barthomolewa i zawiesić tę parkę na reii.

Tłum wrzasnął z radości. Kapitan wywołał naprzód Barta i jeszcze kilku marynarzy. Kiedy bardziej rozszłoszczony z braci był brutalnie odciągany na bok, splunął w stronę Connora.

A potem zniknął z pola widzenia, razem z bratem, który wyglądał, jakby zaraz miał znowu zwymiotować. Connor czuł wobec niego litość - najprawdopodobniej to starszy brat zmusił go do udziału w tej eskapadzie.

Bart i jego koledzy szybko wykonali swoje zadanie. Po kilku minutach obaj chłopcy zostali podciągnięci i teraz kołysali się głowami w dół przy maszcie, jak tusze mięsa wywieszona na wystawie u rzeźnika.

Piraci wznosili okrzyki i obrzucali obu wyzwiskami, gdy ci huścili się na linach.

W ogólnym rozgardiaszu nikt prawie nie zauważył postaci wspinającej się po drabince na burtę statku, a po chwili zwinnie wskakującej na pokład.

To była Cheng Li - z twarzą mroczną jak sztormowe chmury, z oczami ciskającymi błyskawice. Connora zbyt pochłonęły niedawne wydarzenia, by mógł zauważyć jej nieobecność. Teraz się zastanowił, gdzie była.

- Ach, pani Li. Witamy z powrotem - rzucił kapitan.

Cheng Li ze zwinnością przecisnęła się przez tłum piratów.

- Wracajcie do pracy! - krzyknęła. - Do roboty, mówię!

Wśród załogi zabrzmiały niechętnie szemrania, ale tłum zaczął się z wolna rozchodzić.

Cheng Li stanęła przed kapitanem z twarzą wciąż pociemniałą ze złości.

- Czy wie pan, co to za chłopcy? - spytała.

- Tak, pani Li. Wiem. To dwaj mali złodzieje, którzy ledwie godzinę temu kierowali swe miecze na tego oto młodego pana Tempesta i na mnie. Gdyby nie pomysłowość i odwaga tego chłopca, mogliby wypruć nam flaki.

- To prawda? - Cheng Li spojrzała pytająco na Connora.

- Proszę się nie odwracać! - huknął Molucco Wrathe. - Proszę wybaczyć, pani Li, ale może czegoś nie zauważyłem? Czy przejęła pani dowodzenie moim Diabłem? Bo kiedy ostatnio zaglądałem do dziennika pokładowego, nadal było tam wypisane: kapitan Molucco Wrathe.

Connora zaszokował ten wybuch wściekłości. Cheng Li najwyraźniej także, bo kiedy znowu się odezwała, mówiła o wiele spokojniej.

- Proszę o wybaczenie, panie kapitanie. Mówiłam pochopnie. Ale dla pańskiego własnego dobra... dla dobra nas wszystkich... Ci chłopcy to synowie gubernatora Acharo. Acharo zawsze łagodnie traktował piratów na wodach przylegających do jego terenów. Cokolwiek im zrobimy, uderzy w nas ze stokrotną siłą.

- W pełni zdaję sobie z tego sprawę, pani Li, i nie planuję wyrządzenia im trwałej krzywdy.

Trochę ich nastraszymy, a potem wypuścimy, choć załoga słusznie żąda ich krwi. To dziwne, ale jak się zdaje, marynarzom nie podoba się, że ich kapitan został napadnięty w swojej kajucie.

Cheng Li odtworzyła usta, by odpowiedzieć, ale Molucco Wrathe jeszcze nie skończył.

- Natomiast z całą pewnością zdarzenie to każe zakwestionować nasze środki bezpieczeństwa. Nieprawdaż, pani Li? Przypominam sobie, że kiedy spisała pani tę swoją dość nudną instrukcję na temat bezpieczeństwa na pokładzie, za nie właśnie miała pani odpowiadać.

I znowu Cheng Li próbowała się odezwać, ale kapitan przerwał jej brutalnie, jak gdyby rozciął słowa mieczem.

- Tylko dzięki temu chłopcu - oznajmił, obejmując Connora za ramiona - i dzięki niemu stoję teraz żywy przed panią... Kiedy pani przegryzała ciasteczka przy herbacie i wymieniała plotki w Akademii Piractwa, ten chłopak ryzykował własnym życiem, żeby ocalić moje. Na tym właśnie polega prawdziwe piractwo! I jestem pewien, że pani ojciec przyznałby mi rację. A teraz proszę zaczekać, aż tym chłopakom w górze trochę mocniej zakręci się w głowie, a potem niech się zwijają z mojego statku. A przy okazji przekażą wiadomość wielce szanownemu

gubernatorowi Acharo i wszystkim innym niemądrym bohaterom na całym Przylądku: kto spróbuje zaatakować kapitana Molucca Wrathe'a i jego załogę, drogo za to zapłaci.

Cheng Li zamknęła usta. Chwila nie była odpowiednia na dyskusje z kapitanem. Kiwnęła tylko głową tak nisko, że był to niemal ukłon, i odeszła.

Kiedy tylko znalazła się poza zasięgiem słuchu, Molucco Wrathe mrugnął porozumiewawczo do Connora.

- Strasznie długo czekałem, żeby powiedzieć jej parę ostrych słów. Czuję się oczyszczony, mój chłopcze, oczyszczony!

Connor nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Co do ciebie, młody panie, cóż za brawura, co za instynkt! Teraz musisz wyznać, czego chcesz w nagrodę! Czegokolwiek zapragnie twe serce, będzie twoje.

Connor niczego na świecie nie pragnął tak bardzo, jak odszukania Grace. Musiał znaleźć sposób, by wysledzić statek wampiratów, a nie tylko czekać i mieć nadzieję. Kapitan do tej pory nie traktował go poważnie, ale może teraz zmieni zdanie. Chociaż było to ryzykowne - nie chciał, aby Molucco Wrathe skierował na niego swoją wściekłość, jak poprzednio na Cheng Li.

- No dalej, chłopcze, mów. Czegokolwiek sobie życzysz.

Connor czuł szybkie uderzenia serca. Bał się, ale musiał spróbować.

- Proszę, panie kapitanie. Musi mi pan pomóc w poszukiwaniach siostry.

- Siostry? - Kapitan zmarszczył czoło. - Ależ mój chłopcze, twojej siostry nie da się odszukać. Chciałbym, żeby to było możliwe... z całego serca... ale, niestety...

- Wiem, że nie wierzy pan w statek wampiratów. - Connor nie mógł teraz zrezygnować. - Ale nawet gdyby nie istniał, panie kapitanie, to czuję, że ona żyje. Jesteśmy bliźniakami i byliśmy sobie bardzo bliscy. Nie potrafię wytłumaczyć tego uczucia, ale wiem, że ona żyje.

Kapitan Wrathe przyjrzał mu się ze smutkiem.

- Panie Tempest, jest pan pewien, że pan to czuje? Czy może tylko chciałby pan, żeby tak było?

Głos kapitana był niezwykle łagodny, ale poruszył Connora do głębi. Nagle odpłynęło całe jego podniecenie i determinacja. Przez te dni na pirackim statku żył nadzieją, że Grace żyje i że zdoła ją odnaleźć. A jeśli nie? Jeśli naprawdę utonęła tamtej nocy? Może ten dziwny statek z żaglami jak skrzydła był tylko halucynacją, choć wydawał się tak wyraźny? Może czas

pogodzić się z faktem, że Grace już nie wróci, i zacząć się przyzwyczajać do nowego życia - życia pirata.

- Bardzo mi przykro, Connorze. Naprawdę. Jeśli chcesz, mogę zacząć się dowiadywać o statek wampiratów. Ale okłamałbym cię, gdybym powiedział, że wierzę w sens takich pytań. A nie zwykłem okłamywać przyjaciół i braci.

Connor pokiwał głową. Znowu musiał powstrzymać łzy. A więc to tak... Został sam. Ojciec i Grace odeszli. Był sierotą. Piracką sierotą. I nagle doznał olśnienia.

- Panie kapitanie, powiem, czego chciałbym w nagrodę. Chciałbym się uczyć szermierki. Molucco Wrathe rozpromienił się.

- Piękna odpowiedź, mój chłopcze, zaiste piękna! Wyczułem w tobie piracką krew, kiedy tylko cię ujrzałem, a potem znowu w mojej kajucie. A zatem będziesz się uczył. I to u najlepszego wykładowcy, Cate Kord. Zaraz ją powiadomię.

I odszedł, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Connor podszedł do relingu i spojrzał na odległy horyzont. Rzeczywiście zdawał się sięgać nieskończoności.

- Robię to dla ciebie, Grace - wyszeptał. - I dla ciebie, tato. Żebyście oboje byli ze mnie dumni. Zostanę najlepszym piratem, jaki kiedykolwiek żeglował po tych morzach. I nigdy was nie zapomnę. Żadnego z was nigdy nie zapomnę.

I kiedy stał tam, rozpaczliwie próbując pożegnać siostrę i ojca, silniej niż kiedykolwiek wyczuł obecność Grace. A potem zdarzyło się coś dziwnego: wewnątrz umysłu usłyszał głos. Brzmiał jak głos jego ojca.

- Nie opuszczaj jej, Connorze. Nie teraz. Nie teraz, kiedy najbardziej cię potrzebuje.

- To za trudne - odparł, jakby ojciec stał obok niego. - Chcę jej pomóc, ale nie wiem jak. Nie wiem, co zrobić ani jak ją znaleźć.

Łzy płynęły mu z oczu. Zamrugał gwałtownie, by strząsnąć je z powiek. I wtedy znowu usłyszał ten głos, wyraźniejszy niż przedtem.

- Bądź gotowy, Connorze. To wszystko. Bądź gotowy. Zaufaj fali przyływu.

Bądź gotowy. Zaufaj fali... Co to mogło znaczyć? Dlaczego ten ktoś mówił zagadkami?

- O co ci chodzi? Co mam robić?

Czekał; bardzo chciał usłyszeć go znowu. Czy to naprawdę ojciec? Na pewno, uznał Connor. Nieważne nawet, co powiedział - sam dźwięk tego cichego, dobrze znanego głosu

sprawił mu radość. Jakże się za nim stęsknił. Ale choć z całych sił starał się go na nowo przywołać, słyszał jedynie szum oceanu i krzyki mew nad głową.

Odwrócił się w końcu i wolno ruszył przez pokład. W głowie mu się kręciło, ale miał przecież obowiązki. Wydarzenia tego popołudnia mocno przeszkodziły mu w pracy.

Rozdział 19

Kapitan

Grace uchyliła drzwi tylko odrobinę, żeby do kajuty nie wpadło zbyt dużo światła. Jak najszybciej, żeby nie narażać Lorcana na przykrości, wysunęła się przez szczelinę i zamknęła drzwi za sobą. Wyjście pod otwarte niebo, po tak długim czasie, spędzonym w zamkniętej kabine, uderzyło jej do głowy. Przymknęła oczy i głęboko oddychała świeżym powietrzem, wypełnionym zapachem morskiej soli. Zanim jeszcze otworzyła oczy, poczuła na twarzy ciepło słońca - z początku lekkie jak dotknięcie piórka, potem mocniejsze.

Rozejrzała się szybko i przekonała, że pomalowany na czerwono pokład jest pusty, tak jak mówił Lorcan. Podeszła do relingu i spojrzała w stronę horyzontu. Pogoda była idealna, morze spokojne, a na jego powierzchni tańczyły plamki światła - odbicie słonecznych promieni.

Z początku widok wydał jej się magiczny, tym bardziej że miała go tylko dla siebie. Jednak po chwili zachwyt minął. Morze wydawało się spokojne i majestatyczne w świetle poranka, ale kiedy oglądała je poprzecznie, wyglądało zupełnie inaczej. Wody, tak teraz łagodne i kuszące, były tymi samymi, które rozłamały na części ich łódź i żarłocznie wessały Connora i ją w głębinę.

Czując nagły zawrót głowy, Grace odwróciła się i oparła o reling. Kiedy otworzyła oczy, wstrzymała oddech - zobaczyła, że stoi przed sąsiednią kajutą. Serce zamarło jej na moment. Czy to kajuta kapitana? Na pewno, ponieważ razem z tą, w której przebywała do tej pory, obie były oddzielone od pozostałych.

Gdy się przyglądała, ciężkie drewniane drzwi otworzyły się nagle, skrzypiąc. Grace znieruchomiała. Od tak dawna chciała porozmawiać z kapitanem... Ale teraz nagle straciła pewność siebie. Wiedziała, że znajduje się na niezwykłym statku, ale jaki był jego dowódca? Jaki demon czai się za ciemną szczeliną uchylonych drzwi?

- Nie wejdiesz? - odezwał się jakiś tajemniczy głos z wnętrza.

Jak poprzednio, był to tylko szept, ale słowa brzmiały całkiem wyraźnie - jakby dobiegały nie z głębi kajuty, ale z wnętrza głowy Grace. Odruchowo podeszła do drzwi i przestąpiła próg. Oczy widziały jedynie ciemność. Drzwi, jakby powodowane własną wolą, zamknęły się za nią.

- Witaj, Grace. Wejdz dalej.

I znowu wyszeptane słowa wydawały się rozbrzmiewać jej w głowie. Choć był to tylko szept, głos dźwięczał rozkazująco. Kontrast między światłem na zewnątrz i mrokiem w kajucie na chwilę oślepił Grace. Kiedy jednak ruszyła przed siebie, zaczęła dostrzegać coś przez zasłonę ciemności.

Trudno było ocenić rozmiar pomieszczenia, gdyż wzrok nie sięgał do kątów. Ale w środku stał okrągły stół z lakierowanego drewna, zasypany mapami i wszelkiego rodzaju instrumentami nawigacyjnymi. Stała tam także lampa naftowa, rozsiewająca słaby blask. Zdawało się, że to jedyne źródło światła w kajucie.

Lampa oświetlała krąg blatu, poza którym wciąż panował mrok. Grace spojrzała w tę kałużę złocistego światła. Niektóre z instrumentów wydały się jej znajome, inne zaś nowe i niezwykle. Mapa pod nimi była bogato ilustrowana. Przyjrzała się obrazom, próbując odszukać znajomy zarys linii brzegowej.

Usłyszała głos.

- Podejdz, proszę.

- Ale gdzie pan jest?

- Tutaj, oczywiście. Gdzieżby indziej?

Na te słowa oświetlenie kajuty zmieniło się radykalnie. Dwie ciężkie zasłony rozsunęły się nagle i uniosły, a Grace zobaczyła, że stoi przed drzwiami zakrytymi żaluzją, przez którą sączyło się dzieńne światło.

Potem drzwi złożyły się i zobaczyła na balkonie ciemną postać, zaciskającą dłonie w rękawiczkach na wielkim kole sterowym.

- Proszę cię, spróbuj się nie przerazić na mój widok.

Grace ostrożnie wyszła na zewnątrz i stanęła obok kapitana przy sterze.

Powyżej rękawiczek ręce mężczyzny znikwały w fałdach ciemnej, wielowarstwowej peleryny z cienkiej skóry. Wzrok Grace przesunął się ku jego szyi, gdzie peleryna kończyła się szeroką krezą, przytrzymywaną łańcuchem czarnych kamieni. Potem zauważyła jego twarz, a raczej miejsce, gdzie powinna się ona znajdować. Przesłaniała ją bowiem siatkowa maska. Nie

było przez nią nic widać, jednak sama maska odtwarzała rysy twarzy, z wgłębieniami w miejscu oczu i ust. Przylegała szczelnie jak maska pośmiertna, jednak nie była tak sztywna. Nie mogła być, ponieważ - pod wpływem wzroku Grace - zmarszczyła się na obu policzkach. Dziewczynka uświadomiła sobie ze zdumieniem, że kapitan się do niej uśmiecha.

- Na pewno spodziewałaś się czegoś w tym rodzaju.

Grace nie potrafiła wykrztusić ani słowa.

...kapitan twarz swą zakrył... Dziwnie było słuchać słów szanty, wypowiedzianych głębokim, dźwięcznym szeptem. - Zrezygnowałem z zasłony kilka lat temu. Przekonałem się, że ta siatkowa maska jest bardziej... praktyczna.

Tył głowy kapitana był gładko wygolony i Grace widziała, że skóra wcale nie jest śmiertelnie blada, a raczej ciemna i brązowa. Maskę mocowały trzy skórzane paski: dwa sięgające znad uszu do środka, trzeci obejmujący górną część głowy. Z tyłu łączyła je klamra w kształcie pary srebrnych skrzydeł.

- Ale dlaczego... dlaczego w ogóle pan zakrywa twarz? - spytała Grace.

Słowa wymknęły jej się odruchowo. W ciszy, jaka nastąpiła, Grace zaczęła żałować tego pytania, a także lękać się szeptu.

- A jak myślisz?

Oczywistą odpowiedź podawała szanta.

A sam kapitan twarz swą zakrył,

żeby nie mnożyć strachu.

Śmiertelnie bladą skórą,

martwym wyrazem oczu,

zębami jak u diabła.

- Przecież nie ma pan trupio bladej skóry!

Kapitan skinął głową i odrobinę przekręcił koło sterowe.

- Więc może reszta też nie jest prawdą - podsumowała mężnie Grace.

Nie odpowiadał, ale czekał i obserwował dziewczynę uważnie.

Nagle poczuła ostry ból w głowie. Równocześnie w jej myślach rozbłysła wizja rozszarpywanego ciała, błysku czerwonej krwi na ciemnej skórze. Był to straszny widok, ale zniknął w jednej chwili i znowu patrzyła na maskę kapitana.

Kim był ten ukryty pod maską potwór? Może on wcale nie jest człowiekiem? Może nawet nigdy nim nie był?

Gwałtowny ból powrócił, tym razem silniejszy. Grace zacisnęła powieki, po części szukając ulgi, po części by uniknąć oglądania tych przerażających obrazów, które widziała poprzednio. Ale z otwartymi czy zamkniętymi oczami nie było przed nimi ucieczki. Znowu: nagłe rozdarcie ciała i błysk czerwieni na ciemnej skórze. I koniec.

Ból zniknął wraz z wizją, ale Grace wciąż czuła się odrętwiała i oszołomiona. Raz jeszcze poczuła na sobie dziwne, bezokie spojrzenie kapitana.

Nic się nie zmieniło. Ale tym razem nie widziała przed sobą demona.

- Czy ukrywa pan rany? - zapytała z wahaniem. Przez chwilę czekała na odpowiedź. Potem kapitan wolno skinął głową. - Bardzo dobrze, Grace. Jesteś tak wyjątkowa, jak mogłem się spodziewać. Gdy inni widzą tylko maskę, ty potrafisz spojrzeć głębiej.

Znowu miała wrażenie, że kapitan uśmiecha się do niej.

- A zatem, wreszcie się spotykamy.

Szept nie był pozbawiony ciepła, nie zdołał jednak rozproszyc lęku Grace.

- Czego właściwie chce pan ode mnie? - spytała, nie mogąc dłużej wstrzymać płonącego w jej umyśle pytania.

- Czego ja chcę od ciebie? - nadeszła powolna, spokojna odpowiedź. - Grace, przecież to ty mnie szukałaś. Prawda?

Rzeczywiście. To ona przyszła do kajuty kapitana. Chciała wyjaśnić, a Lorcan chyba nie potrafił ich udzielić.

- Wejdźmy do środka - zaproponował.

- Ale co... co z kołem?

Jednak wyminął ją już i wszedł do kajuty. Grace została na balkonie, zdziwiona. Koło sterowe przed nią obracało się nadal - odrobinę na prawo, trochę na lewo - jakby wciąż spoczywały na nim ręce kapitana.

Rozdział 20

Bezpieczny port

Grace podążyła za kapitanem do wnętrza. Drzwi za nią zatrzasnęły się natychmiast, a kotary zasunęły gwałtownie.

- Dlaczego sądzisz, że chcę czegoś od ciebie?

- Szept kapitana zawirował wśród myśli Grace.

Zastanowiła się, szukając go wzrokiem w ciemności.

- Takie mam wrażenie. Dał pan Lorcanowi lusterko, żeby mi pokazać Connora. Zamknął mnie pan w kajucie i wyznaczył Lorcana, żeby mnie chronił... przynajmniej on tak mówi.

- Kadet Furey mówi prawdę.

- No właśnie - przytaknęła Grace, a kapitan usiadł przy stole z mapami. - Wydaje mi się, że istnieją dwie możliwości. Albo ochrania mnie pan przed jakimś zagrożeniem na pokładzie statku, albo ma pan jakiś inny cel. Albo jedno i drugie.

Spoglądała prosto na maskę kapitana; żałowała, że nie może zobaczyć jego oczu.

Skinął na nią.

- Podejdź... Usiądź koło mnie... Jeśli zechcesz.

Wykonała polecenie. Przeniosła spojrzenie z maski na pelerynę. Teraz, kiedy widziała ją z bliska, przekonała się, że nie jest ze skóry, jak z początku uznała. Materiał wydawał się lżejszy, a lampa oświetlała biegnące w nim cienkie żyłki. Sprawiały wrażenie, jakby wchłaniały światło, aż peleryna lśniła. Grace miała ochotę jej dotknąć, ale brakowało jej odwagi.

- Przypuśćmy, że masz rację, Grace. Przed jakimi zagrożeniami mógłbym cię chronić? I do jakich celów, twoim zdaniem, byłabyś mi potrzebna?

Nic dziwnego, że Lorcan mówił zagadkami, skoro miał takiego dowódcę. Najwyraźniej takie tu panowały obyczaje. Nic nie szkodzi - przyłączy się do gry kapitana. Nie warto go irytować, to by jej na pewno nie pomogło.

- Wiem, czym pan jest - oświadczyła. - Nie mam pojęcia, ilu jeszcze wampirów przebywa na tym statku, ale domyślam się, że całkiem sporo. A wampiry potrzebują krwi, prawda?

Kapitan przytaknął.

- Na ogół rzeczywiście potrzebują.

To ciekawe. Co też mógł mieć na myśli, mówiąc: na ogół? - Myślisz, Grace, że chodzi nam o twoją młodą krew? Przecież to chyba jedyne rozsądne rozwiązanie, prawda? Niezależnie od tego, jak miły wydawał się Lorcan i jak ostrożnie formułował słowa kapitan. Znalazła się przecież na statku pełnym wampirów. Była dla nich jedynie zapasem świeżej krwi. Sama myśl o tym budziła dreszcz...

- Widzisz - ciągnął kapitan - w tej chwili nasi... nasza załoga jest dobrze zaopatrzona pod tym względem. Jeśli zdecydujesz się zostać z nami trochę dłużej, zobaczysz, o czym mówię. Sądzę, że uznasz to za bardzo... pouczające.

Jeśli zdecydujesz się... Interesujące. Czyżby miała w tej kwestii jakiś wybór?

- Ile wiesz o tym statku? - zapytał kapitan.

- Bardzo mało. Chciałam wyjść z kajuty, ale Lorcan mi nie pozwalał.

- Może rzeczywiście był nieco nadopiekuńczy, ale miał na względzie wyłącznie twoje dobro.

- Czyli grozi mi jakieś niebezpieczeństwo?

- Nowo przybyły, jak ty, zawsze budzi zainteresowanie.

Nie była pewna, co miał na myśli, ale coś w jego głosie kazało jej zaprzestać drażenia tematu.

- Jesteś naturalnie osobą ciekawą, prawda? - odezwał się znowu po chwili. - Powinienem się tego spodziewać. Dziecko tak inteligentne jak ty nigdy nie pozwoli się zamknąć w kajucie, i to jeszcze w samotności.

Grace była nieco skrępowana jego komplementem, ale kiwnęła głową. To prawda. Na pewno nie chciała wracać do zamkniętego pomieszczenia. Chciała zbadać statek.

- Nie ma powodu, byś nie mogła opuścić swojej kajuty - zapewnił ją kapitan. - Jednak będzie bezpieczniej, jeśli nie wyjdiesz na pokład po tym, jak panna Flotsam uderzy w Dzwon Mroku.

- Czemu? Co się wtedy dzieje?

- Wtedy właśnie statek wraca do życia. Jest wiele pracy, którą załoga musi wykonać. A mają do tego jedynie godziny ciemności. Nic nie może im wtedy przeszkadzać.

- Na zewnątrz widziałam czasem ludzi, panie kapitanie. Ale przez większość czasu muszą być bardzo cicho, inaczej coś bym zauważyła.

Kapitan znów się uśmiechnął.

- Tak, całkiem często wyglądałaś przez swoje okno, prawda? I znowu, mogłem się tego spodziewać. Ale też dużo spałaś, Grace, i był to naprawdę głęboki sen.

- To przez jedzenie - odparła. - Wiem, że jest coś w jedzeniu. Czy pan chciał mnie uspić, panie kapitanie?

- Nie - zapewnił. - Przynajmniej nie w zwyczajnym sensie tego słowa. To dość skomplikowana sprawa.

- Ale to pan dostarcza mi posiłki do kajuty? I świece... Czy to pan zapalił świece?

- Tyle pytań... Nie musisz się tak spieszyć, moje dziecko. Zawsze jest czas. Wiem, o czym mówię. Zawsze jest dość czasu.

- Czyli mogę spokojnie wychodzić na pokład za dnia, kiedy cała załoga prócz pana zasypia. Ale kiedy wstaną, muszę biec do swojej norki jak mysz?

- Fascynujące - stwierdził kapitan. - Jesteś bardzo odważnym dzieckiem. Nie boisz się tego, że wokół masz takich ludzi jak ja?

- Tato zawsze uspokajał nas, śpiewając szantę o wampiratach - wyjaśniła Grace. - Mówił, że cokolwiek budzi w nas strach, nie może być aż tak straszne jak oni. Ale teraz, po wszystkim, co przeżyłam przez ostatnie dni, nawet pan nie jest taki przerażający.

- Mimo maski i peleryny? Chociaż uważasz, że zależy mi na twojej krwi?

- Czy chce pan, żebym się bała?

- Ależ skąd, Grace. Jesteś gościem na pokładzie mojego statku. Chciałbym, żebyś czuła się tu jak w domu.

Grace nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Jak w domu? Tutaj?

- Ten statek od bardzo dawna żegluje po oceanach. Jest schronieniem, Grace, bezpiecznym portem dla wyrzutek, dla tych z nas, których zepchnięto, albo którzy zostali ściągnięci na same granice normalnego świata.

Kapitan przerwał, dając Grace możliwość rozważenia jego słów. Po chwili podjął znowu.

- Myślę, że ty także jesteś wyrzutkiem, Grace. Mam wrażenie, że nigdy nie umiałaś się dopasować. Mam rację, prawda? I Connor także.

Grace była zdumiona. Nie tylko tym, że wspomniał o Connorze. Ale zdawało się, że kapitan tak dużo wie o nich obojgu. To rzeczywiście prawda - bliźniaki Tempesta nigdy nie pasowały do otoczenia. Ale skąd kapitan to wiedział? Czyżby ich obserwował? Jeśli tak, to w jaki sposób? I od jak dawna? Zdawało się, że zna ich najbardziej osobiste myśli. A może to jakaś sztuczka? Głowa zaczynała ją boleć od natłoku myśli.

- Chciałabym, żeby Connor był tu ze mną - rzekła w końcu.

Kapitan skinął głową.

- Będzie z nami już wkrótce. Podobał ci się prezent? - Jego obraz w lusterku? Tak, tak, oczywiście. Trochę mnie to oszołomiło, ale bardzo się ucieszyłam, że mogłam go zobaczyć.

- I zobaczysz go znowu, drogie dziecko, tym razem naprawdę.

- Ale gdzie on jest, panie kapitanie? Na jakimś statku pirackim? Niedaleko stąd? Kiedy go zobaczę?

- Och, znowu tyle pytań... Connor jest bezpieczny, Grace, i doskonale sobie radzi... Tak jak ty. Wasz ojciec byłby z was dumny.

- Nasz ojciec... - powtórzyła z dumą Grace.

- Znał go pan?

Kapitan długo milczał.

- Obawiam się, że jestem zmęczony, drogie dziecko - odezwał się w końcu. - Porozmawiamy znowu, ale teraz muszę odpocząć.

Wstał z krzesła i przeszedł do fotela na biegunach, stojącego przed kominkiem, którego Grace wcześniej nie zauważyła. Może dlatego, że ogień jarzył się słabo. Kapitan usiadł i poprawił pelerynę.

- Cieszę się, że w końcu się spotkaliśmy, Grace - powiedział jeszcze i opuścił głowę na pierś.

Zrozumiała, że rozmowa dobiegła końca.

Rozdział 21

Miecze

Po raz pierwszy, odkąd zjawił się na Diabłu, Connor spał dobrze. Głos ojca, który usłyszał, uspokoił go. W jakiś sposób uwolnił od ciągłej tortury wątpliwości, w co wierzyć i co robić. Przygotuj się. Zaufaj fali przyływu. Powtarzał sobie te słowa, zapadając w sen. Nieważne, co myśleli inni. Grace żyła. Przeczucie go nie oszukiwało.

- Hej, kolego, zbudź się! Wyłaż z łóżka!

Connor otworzył oczy i zobaczył, że Bart jest już ubrany, ogolony i kipiący energią.

- Która godzina? Przespałem śniadanie?

- Nie, spokojnie, jeszcze wcześniej. Ale chyba nie zapomniałeś? Dziś rano masz pierwszą lekcję szermierki. Zbieraj się. Nie chcesz chyba, żeby Cate czekała!

- Co to za zapach? - Connor zmarszczył nos.

Bart zarumienił się.

- Używasz wody kolońskiej? - uśmiechnął się Connor. - Dla Cate?

- Pomyślałem tylko, że trochę się odświeżę. A teraz ruszaj się, kolego.

Niecałe dziesięć minut później, po najszybszym możliwym myciu, Connor i Bart zjawili się na pokładzie dziobowym. Cate Kord rozkładała już całą kolekcję broni. Była przyjazna, ale rzeczowa, z rudymi włosami mocno związanymi z tyłu w koński ogon i przykrytymi tradycyjną bandaną. Jej oczy skrzyły się energią. Wyciągnęła parę skórzanych rękawic.

- To nie są zabawki - powiedziała do Connora, nadal układając miecze. - Niektórzy z naszej załogi wciąż traktują je w ten sposób. Nie dochodzą daleko. W bitwie nigdy nie wysuwamy ich do przodu... Wracają posiekani.

Zastanowiła się.

- Dzisiaj pokażę ci kilka podstawowych odmian broni, jakiej używamy w starciach. Niektóre będą ci odpowiadały lepiej niż inne. Każdy miecz ma swój charakter. Musimy znaleźć taki, który pasuje do ciebie. To jakbyś pierwszy raz spotkał grupę ludzi. Z niektórymi

natychmiast nawiązujesz kontakt, z innymi jakoś to nie wychodzi. Znajdziemy ci jednak odpowiednią klingę. Broń stanie się przedłużeniem twojego ciała, twojej osobowości.

Zafascynowany Connor kiwnął głową.

- Bartholomew, zajmij pozycję, proszę.

Kiedy Bart stanął przed nią, zmarszczyła nos.

- Co to za zapach? - Ekstrakt limonowy - odparł Bart z uśmiechem. - Żeby nie dostać szkorbutu? - Wyszczrzyła zęby. Bart wypiął pierś i uśmiechnął się krzywo do Cate. Pokręciła głową i wróciła do pracy. Rzuciła Bartowi parę rękawic. Wciągnął je, a potem sięgnął po największy miecz.

- Ten tutaj, Bartholomew, jest całkiem potężnym mężczyzną, więc nosi pałasz. Pałasz jest ciężki, zbyt ciężki dla niektórych, ale we właściwych rękach to potężny sprzymierzeniec.

Odstąpiła na bezpieczną odległość.

- Moulinet, jeśli można prosić, Bartholomew.

Kiedy tylko wyszła poza zasięg ostrza, Bart zaczął ciąć pałaszem powietrze. Ostrze migotało w słońcu. Bart stał się nagle śmiertelnie poważny, poruszał się z gracją tancerza i precyzją nożownika; machał mieczem w prawo i w lewo, w górę i w dół, zataczał nim krąg nad głową i zadawał ciosy w obie strony.

- Już, już, wystarczy tych popisów - rzekła stanowczo Cate. - Widzisz, Connor, jak pałasz i Bart do siebie pasują?

Connor ze zrozumieniem pokiwał głową i z podziwem klepnął Barta w uniesioną dłoń, gdy ten starannie ułożył miecz na pokładzie i wrócił na miejsce obok.

- A teraz ty weź pałasz. Tylko najpierw włóż rękawice.

Connor wystąpił naprzód i wsunawszy dłonie w rękawice z grubej skóry, chwycił rękojeść pałasza. Broń okazała się niewiarygodnie ciężka. W rękach Barta wydawała się lekka jak trzcinka, ale Connor nie był pewien, czy w ogóle potrafi ją utrzymać nieruchomo.

- O, tak - powiedziała Cate. - Tak trzymaj. Ten koniec miecza nazywamy galką. Ta część poprzeczna to jelec. Tutaj, przy czubku, znajduje się najsłabsza część miecza. Nazywamy ją foible.

Przesunęła palcem wzdłuż płaskiej strony klingi, w stronę dłoni Connora.

- Najmocniejsza część ostrza jest właściwie tutaj. To forte.

Connor oburącz uniósł miecz, starając się kierować go z dala od Cate. Poczł dreszcz, myśląc o mocy, jaką trzymał teraz w dłoniach. Światło połyskiwało na krawędziach ostrza. To nie zabawka, uświadomił sobie. To narzędzie śmierci.

- Pałasz jest bronią służącą do cięcia i rąbania - ciągnęła Cate, jakby czytała mu w myślach. - Jest ostry na końcu, ale oba brzegi też są jak brzytwy. A teraz przyjrzyjmy się twojej postawie...

Kiedy oceniała jego pozę, Connor zastanawiał się, jak może być tak obojętna wobec przeznaczenia broni. Uświadomił sobie, że jeśli ma zostać piratem, on również będzie musiał często spotykać się ze śmiercią. Co gorsza, będzie też musiał ją zadawać. Ta myśl nim wstrząsnęła. Czternaście lat, a już szkoli się na zabójcę.

Przełknął ślinę.

- Musisz stanąć trochę podobnie do zapaśnika sumo, Connorze. Stopy szerzej. Właśnie tak. Miętko w kolanach. Ugnij je jeszcze trochę.

Connor posłusznie wykonywał polecenia. Cate z aprobatą kiwnęła głową. Całe jej ciało zdawało się promieniować energią.

- Dobrze, Connorze, bardzo dobrze. A teraz odłóż ten pałasz.

Chłopak z wdzięcznością ułożył miecz na pokładzie. Usiadł obok Barta, pełen nowego szacunku i podziwu dla swych towarzyszy.

- Co można powiedzieć o pałaszach? - ciągnęła Cate. - Są duże i ciężkie. Ten potwór ma cztery stopy długości. Kiedy atakujemy wrogi statek, kluczowa jest szybkość. Pałasz sprawia mnóstwo kłopotów. Na przykład, może zaczepić się o liny. Dlatego postępujemy tak: posyłamy Barta i paru innych dużych chłopców do przodu. Przechodzą i rozcinają takielunek, wymachując pałaszami jak wiatraki. Ale to tylko zasłona dymna. Tamta załoga widzi wielkich rębajłów, którzy siekają ich statek, i jest przestraszona. Ale to tylko dekoracja... bez urazy, Bart. Widzisz, wtedy ja wchodzę do gry z tą dziecinką, to ja narobię prawdziwych szkód.

Mówiąc to, Cate podniosła lżejszą broń i wyjęła ją z pochwy. Ostrze miało jakieś trzy czwarte długości pałasza, było węższe i bardziej delikatne.

- To, drogi przyjacielu, przypomina walkę igłą.

- Cate zrobiła wyrok i wysunęła klingę.

- Wbija ci to między żebra, kolego - wyjaśnił z uśmiechem Bart. - Takie szybkie ukłucie, które rozwała organy wewnętrzne. A potem jeszcze przez dwa dni będziesz umierał miło, powoli i boleśnie.

- W pałaszu chodzi o wrażenie. - Cate przesuwała się w przód i w tył. - Szpada jest skuteczna. We właściwych rękach to prawdziwa poezja ruchu.

Connor czuł, że zaczyna wpływać na nieznane wody. I było mu niedobrze.

- Trochę zzieleniałeś, kolego - zauważył Bart.

- Będziesz rzygał?

- Nie, nie, zaraz mi przejdzie. - Kilka razy odetchnął głęboko.

- Na pewno?

Connor przytaknął. Cate nie zwracała uwagi na jego mdłości. Koncentrowała się na pracy. Po chwili schowała szpadę do pochwy i wzięła kolejną broń.

- Teraz może wypróbujemy ten rapier. Podała go Connorowi, a chłopiec, nabrawszy tchu, wsunął dłoń w rękojeść. - Właśnie. Zwróć uwagę na zamkniętą głowicę. O tak, cała dłoń wsuwa się do środka. To jakby klatka ochronna.

Rapier okazał się o wiele wygodniejszy od pałasza. Był odrobinę krótszy, ale o wiele lżejszy.

- Aha, dobrze wygląda. Znakomicie. Teraz wysuń klingę na płask.

Connor wyciągnął ramię.

- Dobrze, Connorze. - Cate uśmiechnęła się.

- Trzymasz rękę w pronacie, czyli dłonią do góry. Postawę powinieneś mieć miękka, nogi ugięte. Ciężar równo rozłożony na obie stopy. Wyobraź sobie, że grasz w tenisa. Jesteś gotów, by przesunąć się szybko w dowolnym kierunku.

Connor ściśle wypełniał jej instrukcje i nagle odkrył, że to niezła zabawa. Na chwilę mógł zapomnieć o wnętrznościach i śmierci, i potraktować to wszystko jak sport. A nie istniała dziedzina sportu, w której Connor Tempest nie byłby mistrzem. Zaczerwieniony, pełen nowo zyskanej pewności, realizował kolejne polecenia Cate. Widział, że jest zadowolona z jego szybkich postępów.

- Spróbuj teraz przesuwać się do przodu i do tyłu. - Cate zademonstrowała mu właściwą pracę nóg. - Twoje stopy ani przez chwilę nie mogą się spotkać. Mógłbyś stracić równowagę. Przesuwaj jedną, a potem drugą, jak ja.

Naśladował jej ruchy i szybko opanował właściwy rytm. Cate odsunęła się do tyłu, a obok niej stanął Bart. Razem obserwowali swego protegowanego. Connor nawet ich nie widział, całkowicie skupiony na doskonaleniu tych niemal tanecznych kroków.

- Nieźle jak na początkującego - ocenił Bart, ściągając rękawice.

- Naturalny talent - odparła Cate. - Jest właśnie tym, kogo szukaliśmy.

Ponad nimi, stojąc przed swoją kajutą, kapitan Molucco Wrathe uśmiechał się z satysfakcją.

- A nie mówiłem, Scrimshaw? - rzekł, gładząc swego ulubieńca. - Widzę obiecującą przyszłość przed panem Connorem Tempestem. Bardzo obiecującą przyszłość.

Przez resztę dnia Connor wciąż był pobudzony. Kiedy tylko pomyślał o pierwszej lekcji szermierki, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Cate obiecała mu kolejną o tej samej porze następnego ranka i nie mógł się już doczekać.

Tymczasem jednak miał inne obowiązki. Do najnowszych należało czyszczenie „dział obrotowych”, czyli niewielkich dział ustawionych na dziobie. Dostał kawał irchy i jakąś obrzydliwie cuchnącą pastę, której zapachu starał się nie wdychać. Nie było tak źle, póki czyścił górną część działła, ale teraz pracował przy dolnej i musiał położyć się na pokładzie, jak przy naprawie samochodu. Pracował szybko, gdyż chciał jak najprędzej zakończyć to nieprzyjemne zadanie.

- Słyszałam, że jesteś świetnym szermierzem.

Connor przesunął się naprzód i tuż obok siebie zobaczył Cheng Li, przyglądającą mu się z góry z krzywym uśmiechem.

- Zastanawiam się - dodała - czy czyszczenie dział to odpowiednia praca dla czołowego młodego wojownika na pokładzie Diabła.

Connor wstał, wdzięczny za tę przerwę.

- Kapitan Wrathe powiedział, że wszyscy pracujemy równo - odparł, dociskając pokrywkę na puszcze z pastą.

- Jaki grzeczny młody pirat zrobił się z ciebie, Connorze. I to w tak krótkim czasie.

Chłopca trochę zmroził wyraźny sarkazm w jej głosie. Co takiego zrobił, że ją rozdrażnił? Uznał, że najlepiej będzie nie zwracać na to uwagi.

- Cate dała mi masę broni do wypróbowania - oświadczył z entuzjazmem. - Najbardziej podobał mi się rapier.

- A nie pałasz, jak twojemu przyjacielowi?
- Nie. Zbyt nieporęczny. Wolę broń bardziej precyzyjną.
- Jeśli zależy ci na precyzji, przyjrzyj się tym...

- Cheng Li uniosła ramiona nad głowę i jednym płynnym ruchem wyjęła z pochew na plecach oba miecze. - To katany - wyjaśniła, obracając groźnie wyglądające klingi. - Zrobione na moje zamówienie przez płatnerza z wyspy Lantao. Prezent z okazji dyplomu. Dla samej siebie.

Miecze wydawały się lekkie jak piórka, a przy tym ostre niczym brzytwy. Dziewczyna machnęła nimi raz jeszcze i wsunęła do pochew. Connor był zachwycony.

- A co z dodatkowym mieczem? - zapytał.
- Dodatkowym mieczem?

Wskazał na zdobioną mosiężną pochwę, wiszącą jej u pasa na skórzanej pętli.

Li posmutniała nagle. Nie wydobyła kordu.

- To była broń mojego ojca. Może kiedyś o nim słyszałeś.
- Chang Ko Li - odparł Connor. - Najlepszy z najlepszych. Bart mi mówił.

Cheng Li skinęła głową.

- Najlepszy z najlepszych - powtórzyła dziwnie obojętnym głosem.

Spojrzała na pochwę, opierając palce na rękojeści kordu. - Przynieśli mi to, kiedy zginął. Trzymam ten miecz dla pamięci. Connor pokiwał głową. - Dobrze jest mieć coś, co go przypomina. Szkoda, że mnie nic nie zostało po ojcu. - Nie zrozumiałeś, chłopcze. Nie noszę tego kordu, żeby przypominał mi ojca. Noszę go, by pamiętać, że choćbyś był nie wiem jak wielki, a twoje imię nie wiadomo jak znane, wystarczy jedno pchnięcie czyjś miecza, żeby to skończyć na zawsze. Mój ojciec, mimo swej reputacji i sławy, zginął jak zwykły złodziej. I to jest właśnie smutna prawda o wielkim Chang Ko Li.

Cofnęła dłoń od pamiątkowej broni. Connor domyślał się, że jest poruszona, choć jej nieruchoma twarz nie zdradzała niczego.

- Lepiej wracaj do czyszczenia - poradziła. - Spójrz, wojownik, ominałeś ten kawałek.

Rozdział 22

Zupa i chleb

Kiedy Grace wychodziła z kapitańskiej kajuty, w głowie wirowały jej myśli o Connorze. Kiedy do niej dołączy? Gdzie jest teraz?

Kiedy dziewczynka przeszła przez drzwi, znalazła się nie na pokładzie, jak się tego spodziewała, ale na korytarzu z szeregami zamkniętych kajut po obu stronach.

Pokój kapitana musiał mieć dwa wyjścia, uświadomiła sobie. Ale nie śmiała tam wracać, żeby wyjść drugimi drzwiami. Zresztą, na pewno da się trafić na pokład z tego korytarza.

I rzeczywiście, kiedy doszła do końca, znalazła po lewej stronie drzwi na zewnątrz. Po prawej zauważyła schody opadające stromo w dół, ku ciemnym głębiom statku. Powinna skręcić w lewo, wrócić do bezpiecznej kajuty albo na opuszczony, zalany słońcem pokład.

Ale schody proponowały kuszącą alternatywę. Kapitan nie zakazał jej badania statku. Prosił tylko, by wróciła do siebie, zanim zabrzmiał Dzwon Mroku. Dzień był jeszcze młody, miała więc dość czasu na szybką wycieczkę i rozejrzenie się pod pokładem, by lepiej poznać statek, póki jego załoga leży pogrążona we śnie.

Schody doprowadziły ją do kolejnego korytarza. Słabo paliły się w nim latarnie, ledwie oświetlając rzędy drzwi po obu stronach. Na szczęście na podłodze leżał dywan - choć mocno już wytarty - tłumiał odgłos jej ostrożnych kroków.

Panowała dziwna cisza, a może Grace tylko tak się wydawało, kiedy wyobrażała sobie wszystkich tych ludzi - nie, stwory - które zamieszkiwały kajuty wokół niej. Korytarz był długi i miała już ochotę zawrócić i zakończyć swoją badawczą wyprawę.

Nie, powiedziała sobie. To głupie. Czy nie spotkała już dwóch wampirów? Bo chociaż nie chciała myśleć o nich w tak sposób, jednak właśnie wampirami byli Lorcan i kapitan. A czy wyglądali na demony? Lorcan nie mógłby być mniej demoniczny, może z wyjątkiem tej chwili, kiedy rysy jego twarzy nagle się wyostrzyły - ale trwało to tak krótko, że mogło być tylko złudzeniem.

Co do kapitana - oczywiście, jego maska i peleryna budziły lęk, i niełatwo było się przyzwyczaić do tego dziwnego, bezcielesnego szeptu. A jednak chciał się nią zaopiekować. I poprzez wizję Connora dał jej nadzieję.

Zatem oba poznane wampiry okazały jej troskę i opanowanie. Dlaczego reszta załogi miałyby się okazać inna, bardziej niebezpieczna? Mimo to ani kapitan, ani Lorcan nie wydawali się ucieszeni myślą, że Grace spotka pozostałych. Postanowiła więc zachować czujność.

Szła dalej korytarzem i po drodze liczyła drzwi, by jakoś ocenić liczebność załogi. Przy dwudziestych przerwała. Gdyby tylko dwa wampiry spały w każdej z kajut, w prostym rachunku dawałoby to czterdzieści. Gdyby każdą zajmował tylko jeden, nadal byłoby... byłoby to coś, o czym wolała nie myśleć.

Trzęsąc się trochę, szła dalej, ostrożnie krocząc pewnym, ale cichym krokiem wzdłuż środka dywanu. Przypominało jej to czasy dzieciństwa, kiedy - pod wpływem jakiegoś filmu czy książki - przez całe miesiące starała się nie nadeptywać na szczeliny między płytami chodnika, na wypadek, gdyby miała przez nie wpaść prosto w legowiska lwów, tygrysów i niedźwiedzi.

Na końcu korytarza znalazła następne schody. Zawahała się, ale teraz, kiedy dotarła już tak daleko, nie warto było rezygnować ze zbadania, dokąd ją prowadzą.

Zobaczyła kolejny korytarz, podobny do poprzedniego; był co najwyżej trochę węższy i paliło się w nim mniej lamp. Czyżby tutaj też mieszkały wampiry? Na pewno. Przeszła, licząc, a po trzydziestych drzwiach stanęła.

Znowu musiała sobie przypomnieć, że Lorcan i kapitan obiecali jej ochronę. Przypomniała sobie słowa kapitana:

- Myślisz, że chodzi nam o twoją krew? W tej chwili nasza załoga jest pod tym względem dobrze zaopatrzona.

Co miał na myśli - zastanawiała się, oczekując niemal, że zaraz natrafi na ładownię wypełnioną beczkami krwi; groteskową parodię piwniczki z winem. Ta myśl wzbudziła w niej dreszcze. Może jednak powinna teraz wrócić do swojej kajuty?

Odwróciła się, by ruszyć drogą, którą przyszła.

Wtedy właśnie usłyszała niemożliwe do pomylenia skrzypienie otwieranych drzwi. Znieruchomiała. Które to? Przyciśnięta do ściany spoglądała tam i z powrotem, czekając, aż oświetlona szczelina zdradzi jej odpowiedź.

Wstrzymała oddech, gdy jakiś człowiek wyszedł chwiejnie z kajuty, kilka drzwi od miejsca, gdzie stała. Gdyby skręcił w prawo, odkryłby ją natychmiast. Nie wiedziała, co się wtedy stanie, ale była właściwie pewna, że nie będzie to radosne przeżycie - w każdym razie nie dla niej.

Mężczyzna wydawał się trochę oszołomiony; przez chwilę stał niepewnie przed otwartymi drzwiami. Grace uświadomiła sobie nagle, że to ten sam nieszczęśnik, którego widziała przez okno, jak uciekał przed Sidorciem.

Powinna do niego podejść? Bała się, że może go wystraszyć. Poza tym może wcale nie jest takim słabym staruszkiem, na jakiego wygląda... A jeśli też jest wampirem - wampirem, który tak bardzo pragnie krwi, że chce wędrować po korytarzach i prosić o nią? Postanowiła iść za nim i obserwować, nie nawiązując kontaktu. Przynajmniej dopóki nie dowie się o nim czegoś więcej. Zdawało się, że jest pogrążony w transie. Czyżby w takim właśnie stanie wyczerpania funkcjonowały wampiry za dnia, nawet nie wystawione bezpośrednio na światło słońca?

Nie mogła już dłużej wstrzymać oddechu. Żałując, że nie chodziła częściej na zajęcia z pływania, z ulgą zobaczyła, że człowiek rusza korytarzem w przeciwnym kierunku. Zataczał się trochę, a od czasu do czasu wystawiał ręce, by podeprzeć się o ściany wąskiego korytarza.

Grace odetchnęła głęboko i ruszyła za nim, bardzo wolno i cicho, trzymając się cienia i zachowując bezpieczną odległość.

Zniknął jej z oczu, ale wciąż słyszała kroki, więc uznała, że znalazł schody prowadzące na inny poziom. Rzeczywiście, po chwili sama stanęła na ich szczycie. Prowadziły jeszcze głębiej pod pokład. W dole widziała przez moment jego głowę, zanim podążył korytarzem piętro niżej. Oczekała kilka sekund i zeszła za nim.

Ten korytarz wyglądał inaczej. Nie miał dywanu na podłodze i tak wielu drzwi z obu stron. Przed nią jedne były otwarte, a na zewnątrz wylewało się jaskrawe światło. Wampir przyspieszył kroku i zniknął we wnętrzu za nimi. Grace przemknęła za nim i ukryła się w cieniu za drzwiami.

Przez wąską szczelinę między skrzydłem drzwi a ścianą widziała sporych rozmiarów kuchnię i kubryk. Czuła też zapach jedzenia - bardzo kuszący. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest głodna, ale aromat był tak oszałamiający, że nie potrafiła mu się oprzeć. Wyszła z cienia w światło. Równie dobrze mogłaby stanąć w blasku reflektora na scenie. Odkryła, że

spogląda do wnętrza kuchni, wprost na starego wampira i znękaną kucharkę, chyba trochę zirytowaną jej przybyciem.

- Nie stój tak, panienko - zwróciła się do niej kucharka, pulchna kobieta o rumianej twarzy. - Wejdz i klapnij sobie. Zaraz się tobą zajmę, poczekaj na swoją kolej.

Odwróciła się, a Grace posłusznie przysunęła sobie stół i usiadła przy kontuarze.

- Jamie! Jamie! Gdzie ten chłopak się znowu podział?

Westchnęła ciężko i wróciła do wampira, którego śledziła Grace. W jasno oświetlonej kuchni jego skóra wydawała się jeszcze bledsza i bardziej krucha niż papier.

- Zaczekaj tu, Nathanielu - poprosiła kucharka. - Zaraz przyniosę ci talerz pysznej zupy.

Zupy? Przecież wampiry raczej nie jedzą zupy, prawda?

Ale kucharka rzeczywiście zanurzyła chochlę w garnku pełnym parującej cieczy i przelała jej zawartość do głębokiego talerza. Ten postawiła na tacy, dołożyła kawał ciemnego chleba - odcięty ze świeżo upieczonego bochenka - i podała to wszystko wampirowi.

Wampiry nie jedzą też chleba - Grace była tego prawie pewna. Może więc ten osobnik nie jest wampirem?

Osobnik tymczasem wsunął nos w smugę pary nad talerzem, po czym szeroko rozciągnął usta w uśmiechu.

- To cię postawi na nogi, Nathanielu - powiedziała kucharka.

Nathaniel skinął jej głową i wolno wyszedł z kuchni, oburącz niosąc tacę. Grace zastanowiła się, czy zdoła wrócić do swojej kajuty, nie upuszczając po drodze jedzenia.

- A dla ciebie co? Też talerz gorącej zupy? - Kucharka nie czekała na odpowiedź i znowu zanurzyła chochlę w garnku.

- Jamie! - krzyknęła przez ramię. - Jamie, mam nadzieję, że nie zasnąłeś! Roboty po uszy, a ja mam tylko dwie ręce! Jamie! Skończ z tym leniuchowaniem i weź się do pracy!

Grace nie była pewna, czy czerwone rumieńce kucharki brały się z pary i ciepła w kuchni, czy z tego, że ciągle krzyczała. Czy nie obawiała się, że obudzi załogę, wyrwie ich ze snu? Snu śmierci, pomyślała smętnie.

- Masz tutaj. Zajadaj. - Kucharka postawiła talerz na kontuarze przed Grace i odkroiła solidną pajdę chleba.

Grace przysunęła się bliżej i zaczęła łakomie jeść. Zupa była wspaniała, choć Grace nie była pewna, czym właściwie smakuje - z pewnością niczym, czego kiedykolwiek próbowała. Miała ciemnoróżowy kolor, zresztą po chwili talerz znów był biały i czysty.

- No, ktoś tu był bardzo głodny - stwierdziła kucharka. - Może jeszcze kropelkę? No pewnie, niegrzecznie jest odmawiać.

Po czym chwyciła talerz i ponownie napełniła go po brzegi.

Grace dziwiła się intensywności uczucia głodu. Oczekiwanie, aż stanie przed nią druga porcja, było niemal bolesne. Niecierpliwie stuknęła nogą o stół, gdy kucharka kroїła jej jeszcze kawałek chleba. Uświadomiła sobie, że jej ciało pragnie jedzenia... tego jedzenia.

Cudowną ulgę przyniosło dopiero ponowne zanurzenie łyżki w talerzu i nabranie zupy do ust. Zjadła ją do ostatniej kropli. Ciemny chleb także smakował doskonale. Rozerwała kromkę na kawałki i wytarła nimi wszystkie pozostałe w talerzu ślady zupy.

- Widziałeś coś takiego, Jamie? - odezwała się kucharka. - Ci nowi zawsze są najgorsi, nie?

Zaciekawiona Grace uniosła głowę, jednocześnie zlizując ostatnie krople zupy z kącików ust. Ci nowi?

Jacy nowi? Już miała zapytać, kiedy nagle ogarnęło ją przemożne zmęczenie. Kucharka i stojący przy niej chłopiec rozmyli się; Grace zamknęła oczy. Upuszczona łyżka brzęknęła o podłogę, ale dźwięk zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Grace przechyliła się do tyłu i spadła, wylądowała jednak szczęśliwie na czekającej parze rąk. Potem zapadła w głęboki, kojący sen.

Rozdział 23

Na stanowiska

Connor i Bart zjedli obiad z drugą zmianą. Obaj byli wygłodniali po porannym wysiłku i nabrali gigantyczne porcje rybnej zapiekanki, której towarzyszyło purée ze słodkich ziemniaków i gotowanych wodorostów. Wodorosty były nie tylko twarde, ale też smakowały dość paskudnie, więc Connor odsunął je na brzeg talerza.

- Mają dużo minerałów - oświadczył Bart i przerzucił jego porcję na swój talerz. - Pomagają rozwijać mięśnie.

Connor spróbował jeszcze trochę. Przypominało to jedzenie skrawków gumy.

Kiedy Bart zapalił skręta i poszedł po herbatę, Connor ziewnął szeroko. Miał za sobą ciężki ranek i był gotów do sjesty. Rozejrzał się po mesie i zauważył, że inni piraci zdradzali podobne odczucia. Kilku drzemało przy stołach, leżało na ławach albo opierało się bezwładnie o sąsiadów. Jakiegoś nieszczęśnika zmęczenie pokonało najwidoczniej podczas jedzenia, bo upadł twarzą w ziemniaki. Connor uśmiechnął się - owszem, był znużony, ale przecież nie aż tak.

Nagle głośno zabrzmiał dzwon. Connor aż podskoczył. Dzwon zadźwięczał znowu. Piraci - jeszcze przed chwilą chrapiący głośno - wrócili do życia i wybiegli z mesy, całkowicie przytomni, z mieczami kołyszającymi się u pasów. Wszyscy z wyjątkiem tego marudera z twarzą w talerzu.

- Chodź, kolego, ale szybko.

Bart wcisnął Connorowi w ręce emaliowany kubek pełen herbaty.

- Zabierz go ze sobą - powiedział.

- Dokąd idziemy?

- Na główny pokład - zawołał Bart, przekrzykując gwar. - Kapitan wzywa na odprawę.

- Na odprawę?

- Zobaczysz. Chodź, ruszaj się! Bo zajmą nam dobre miejsca!

Kiedy dotarli na pokład, zebrał się już spory tłum. Mimo to Bart przeciskał się naprzód, ciągnąc za sobą Connora. Nie był to łatwy wyczyn z pełnym kubkiem herbaty i chłopiec ściągnął na siebie niejedno gniewne spojrzenie, kiedy gorący płyn chlapał na czyjąś kurtkę albo buty. Jakoś jednak udało im się dostać do pierwszego rzędu. Connor usiadł ze skrzyżowanymi nogami i zobaczył, że ma miejsce u stóp kapitana Wrathe'a, pogrążonego w rozmowie z Cate Kord. Scrimshaw, jak zauważył, owinał się kapitanowi na ramieniu i zdawało się, że uważnie słucha słów Cate. Za nimi na sztalugach stała duża czarna tablica. Mówiąc coś do kapitana, Cate przesuwała po niej ręką, pozostawiając plątaninę skomplikowanych kredowych znaków.

Wreszcie dzwon zabrzmiał po raz trzeci. Na pokładzie zjawiała się Cheng Li, wyraźnie niespokojna.

- Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił? - rzuciła gniewnie w stronę Cate, która tylko wzruszyła ramionami i odwróciła się do tablicy.

- Panie kapitanie, muszę z panem porozmawiać - oznajmiła Cheng Li.

Ale kapitan nie chciał o tym słyszeć.

- Po odprawie, pani Li - odparł.

- Ale panie kapitanie, naprawdę...

- Po odprawie! - W jego głosie zadźwięczała nieugięta stal.

Connor widział, że stosunki między dowódcą i pierwszym oficerem pogarszają się z dnia na dzień. Nic dziwnego, że Cheng Li była tak złośliwa wobec każdego, kto stanął jej na drodze. Jej władza na statku na każdym kroku była poddawana w wątpliwość. Nie pomagało też, że piraci odnosili się do Cate Kord z takim naturalnym szacunkiem i sympatią, jakby to ona była zastępcą kapitana.

Molucco Wrathe zwrócił się do wyczekującej publiczności.

- No dobrze... Wszyscy są?

- Tak jest! - odpowiedziało mu kilku piratów.

Jeśli to miał być apel, uznał Connor, to nieszczególnie dokładny.

- A czy wszyscy mają ochotę stać się obrzydliwie bogaci? - zapytał kapitan.

Tym razem liczniej odpowiadano „tak”.

- Świetnie, świetnie - oświadczył kapitan Wrathe, a oczy skrzyły mu się jak szafiry, które nosił na palcach. - Otóż, drodzy przyjaciele, otrzymałem wiadomość o statku, który niedawno wypłynął z Puerto Paradiso, wyładowany... tak jest, wyładowany wszelkimi skarbami.

W tym momencie uwagę kapitana zwróciło przybycie jednego z jego ludzi.

- Przepraszam za spóźnienie, kapitanie.

Ofermowaty pirat, z twarzą umazaną ziemniakami, wcisnął się na miejsce obok Barta.

- Nie szkodzi, Młody Bobby. Akurat kończysz obiad, co?

Rozległy się śmiechy, ale kapitan uciszył je gestem ręki.

- Jak już mówiłem, statek zmierza ku brzegowi. Jak się zdaje, jeden z najbogatszych dżentelmenów z Puerto Paradiso wysłał część najpiękniejszych skarbów do swojego letniego domu.

- Och, jego letni dom! Ale szyk! - zawołał jeden z piratów.

- W samej rzeczy, panie Joshua, prawda? - Kapitan Wrathe był wyraźnie rozbawiony. - Mówię „dom”, ale w rzeczywistości to raczej pałac.

Connor niezłe się bawił. Podobało mu się, jak kapitan Wrathe żartuje z załogą. Czuł się tak, jakby oglądał przedstawienie.

- No więc, czy ktoś z was, chłopcy, ma ochotę się tym zająć? - zapytał kapitan.

- Aye, kapitanie!

- Przepraszam. - Molucco Wrathe uniósł dłoń do ucha. - Trochę słabo słyszę.

- AYE! - ryknęli piraci.

Connor krzyczał razem z pozostałymi. Kapitan usłyszał go i mrugnął porozumiewawczo.. Zdawało się, że Scrimshaw także patrzy chłopcu prosto w oczy. Connor wciąż odczuwał niepokój, będąc pod obserwacją węża.

- Doskonale - podjął Molucco Wrathe. - Według naszych obliczeń i kursu, jakim płynie statek, powinniśmy dogonić go w porze herbatki, dokonać abordażu i wrócić z łupami akurat na kolację. Słyszysz, Bobby? Na kolację!

Bobby, który wciąż zlizywał z twarzy puree, pokiwał głową z entuzjazmem.

- Wszyscy za? - krzyknął kapitan.

- Aye, kapitanie! - entuzjastycznie ryknął w odpowiedzi cały tłum.

Ale jeden głos nie przyłączył się do chóru.

- Kapitanie, jedno pytanie.

- Słucham, pani Li.

- Czy ten statek żegluje po naszym obszarze? Puerto Paradiso leży dość daleko.

- Rozmawialiśmy już o tym, pani Li. Nie interesuje mnie ten pomysł, żeby kapitanom statków pirackich przydzielać obszary działania. Jeśli widzę, że w pobliżu płynie statek ze skarbami, dlaczego mam pozwolić, by jakiś inny kapitan go przechwycił?

- Właśnie! Właśnie! - rozległ się w tłumie głośny okrzyk.

Cheng Li pokręciła głową.

- Z całym szacunkiem, kapitanie, ale takie są zasady ustalone przez Federację Piratów...

Molucco Wrathe udał, że ziewa, wywołując tym głośne śmiechy załogi.

- Zdaję sobie sprawę, że temat ten nudzi pana, kapitanie, ale... znów, z całym należnym szacunkiem... to ja potem muszę sprzątać cały bałagan, kiedy notorycznie łamiemy zasady.

- Przykro mi, że tak to na panią wpływa.

- Wpływa na nas wszystkich - odparła rozdrażniona Cheng Li. - Jeśli wtargniemy w obszar innego statku, nie tylko zlekceważymy prawa morza, ale też narazimy się na atak piratów, których obraziliśmy, naruszając granice ich akwenu.

- Dobrze - odparł spokojnie Molucco Wrathe.

- Dobrze, pani Li. Wyjaśniła nam pani swój punkt widzenia. A na Diabłu panuje demokracja. Poddajmy tę kwestię pod głosowanie. Wszyscy, którzy uważają, że z szacunku dla naszych towarzyszy piratów powinniśmy dać spokojnie przepłynąć temu statkowi pełnemu skarbów, niech teraz powiedzą „Aye”.

Odpowiedziała mu cisza. Connor skrzywił się z niesmakiem, widząc tak poniżoną Cheng Li. Mógł sobie tylko wyobrazić, jaką dziewczyna musi odczuwać wściekłość. Wiedział, że złość ta w końcu znajdzie jakieś ujście i miał tylko nadzieję, że nie będzie go wtedy w pobliżu.

Kapitan Wrathe ciągnął bezlitośnie.

- A teraz wszyscy, którzy sądzą, że powinniśmy wziąć te skarby i podjąć ryzyko...

Tym razem wrzask był ogłuszający. Connor czuł, jak wibrują deski pokładu. Serce zabiło mu szybciej i poczuł dreszcz na karku. Przeniósł spojrzenie z kapitana na Barta, który dołączył do entuzjastycznych krzyków, rozprzestrzeniających się niczym pożar stepu. Cały pokład był morzem piratów, wrzeszczących i wymachujących rękami w dowód poparcia dla swego kapitana.

- Chyba ma pani odpowiedź, pani Li.

- Istotnie - odparła, rezygnując z użycia jego tytułu.

Connor zastanowił się, czy kapitan zarzuci jej to, ale chyba wolał nie zauważyć tej dosadnej nieuprzejmości.

- Mam jednak nadzieję, że mimo to zechce pani walczyć wraz z nami, pani Li. Jest pani jednym z najbardziej brutalnych wojowników i bez wątpienia chcielibyśmy mieć panią w samym sercu tego szturmu.

- Jestem pierwszym oficerem Diabła - odparła lodowato Cheng Li. - Oczywiście, że spełnię swój obowiązek.

- No to świetnie - rzekł kapitan. - Świetnie. A teraz słowo czy dwa na temat strategii wygłosi moja szanowna koleżanka, pani Catherine Morgan, znana powszechnie w tej okolicy jako Cate Kord.

Kapitan Wrathe cofnął się, a Cate wystąpiła naprzód. Dwaj piraci podskoczyli, żeby przysunąć bliżej tablicę.

- No dobrze, chłopcy - zaczęła Cate, rzeczowa jak zawsze. Trzymała w palcach kawałek niebieskiej kredy. - Dzisiaj pracujemy w trzech grupach, w formacji 4-8-8. Wiecie, jak to działa...

Odwróciła się do tablicy i niebieską kredą nakreśliła krzyżyki na swoim wyjściowym rysunku. Connor zorientował się, że przypomina on widziany z góry pokład.

- Wywiad informuje, że nasz cel jest typowym galeonem. Kiedy ostrzelamy ich z dział, grupy czołowe wkroczą tutaj, tutaj i tutaj. Joshua, Lukas, Bartholomew... poprowadzicie resztę ludzi z pałaszami. Wiecie, co robić. Chcę, żeby takielunek był pocięty w kawałki, kiedy ci z rapierami wejdą na pokład.

Kreda przejechała po tablicy, zakreślając koła wokół wyrysowanych wcześniej krzyżyków.

- Grupy z rapierami... Wiecie, kto gdzie należy. Idziemy zaraz za nimi. Uważać, co się dzieje z przodu i dotrzymywać tempa. Nie chcę nawet cała odstęp, jasne? Kiedy oni uwolnią teren, wy go zajmujecie. Tamta załoga ma być pokonana, zanim zda sobie sprawę z tego, co się dzieje. To klucz do powrotu ze skarbami. I jeszcze coś...

Cate odwróciła się od tablicy i spojrzała na zebranych piratów. Twarz miała poważną.

- Minimum rozlewu krwi. Tu chodzi o łupy, nie o ofiary po tamtej stronie. Niektórzy z nas okazywali pewną nadgorliwość w tej kwestii. Javier? De Cloux? Powstrzymajcie się, chłopcy, rozumiano? Większej sztuki wymaga miecz, który nie wraca z pokrwawioną klingą.

Connor słuchał tego z ulgą, ale też z pewnym zdziwieniem. Po wykładzie Cate podczas lekcji szermierki odniósł wrażenie, że krew i flaki były dla niej i reszty załogi normalną, codzienną pracą.

- Mądre słowa, Cate - pochwalił kapitan, stając obok niej. - I mam nadzieję, że wszyscy uważnie słuchali. W końcu to wy, doświadczeni piraci, powinniście dawać dobry przykład rekrutom.

Załoga ucichła, przez chwilę rozważając słowa Cate i dowódcy.

- A teraz... - Kapitan znów się uśmiechnął. - Przypilnujcie, żeby miecze były naostrzone. Wciągnijcie żagle, kurs na zachód, i szykujcie się do bitwy! Szykujcie się na słodkie łupy! Jeśli dobrze się sprawicie... a wiem, że tak będzie... obiecuję wam noc rozkoszy w tawernie Mamy Kettle.

Krzyk radości wzniósł się nad pokładem. A potem piraci rozbiegli się równie szybko, jak przedtem przybyli.

Bart wstał, żeby porozmawiać z Cate. Cheng Li odeszła gniewnie, nie odzywając się ani słowem. Connor stanął przed kapitanem Wrathe'em.

- Chłopak potrzebuje broni, Cate - rzekł stanowczo kapitan.

Jeszcze raz mrugnął do Connora, klepnął Barta w ramię i odszedł, by szykować statek do bitwy.

Cate i Bart spojrzeli na Connora.

- Na pewno jesteś do tego gotowy? - spytała Cate.

Connor wzruszył ramionami.

- Jest gotowy - oświadczył Bart.

Wracając do kajuty, Connor spotkał Cheng Li. Wpatrywała się w morze i wyglądała na bardzo przygnębioną. Zawahał się. Nie miał odwagi do niej podejść, czuł jednak, że winien jest jej wsparcie. Kapitan Wrathe okrutnie upokorzył ją przed innymi piratami, jeszcze bardziej podkopując jej i tak już chwiejny autorytet. Cheng Li potrafiła zachowywać się arogancko i władczo, ale to przecież ona ocaliła Connora od śmierci. I chociaż czasem dziwnie to okazywała, nie miał wątpliwości, że dziewczyna troszczy się o niego.

- Halo...

Obejrzała się. Na jej twarzy widział zwykle jedynie surową maskę wojownika. Teraz wyglądała bardziej jak młoda dziewczyna. Kapitan Wrathe odebrał jej nie tylko szacunek, ale też bojowość - jej wewnętrzny ogień.

- Jak ci się podobał ten pokaz? - spytała z goryczą.

- Niespecjalnie. - Connor potrząsnął głową. - Dobrze się czujesz?

- Tak - odparła, przyglądając mu się z zaciekawieniem. - Oczywiście, że tak. Przyzwyczaiałam się do szaleństw Molucca Wrathe'a, nawet jeśli to było bardziej skrajne niż zwykle. Właściwie to on mi pochlebia.

- Pochlebia? - Connor nie zrozumiał.

- Musi się czuć bardzo zagrożony, nie sądzisz? Żeby próbować w ten sposób mnie uciszyć. Widzisz, młody przyjacielu, on wie, że chociaż ci kretyni w załodze wiwatują na każdą jego sylabę, za mną stoi prawdziwa władza.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Świat piratów się zmienia, mój chłopcze, a tacy ludzie jak Molucco Wrathe zostają w tyle. Piractwo to dla nich dobra zabawa. Tacy ludzie jak ja: ludzie, którzy robią swoje, którzy mają kontakty... oni są przyszłością.

Connor ze zdziwieniem słuchał tej przemowy, ale podejrzewał, że po scenie urządzonej przez kapitana lojalność Cheng Li została wystawiona na ciężką próbę. Może był jedyną osobą, przy której czuła, że może dać ujście swym emocjom.

- Istnieje o wiele większy świat piractwa, niż możesz zobaczyć na tym statku, chłopcze. Diabło jest... wybacz sformułowanie... ledwie kroplą w morzu. Nadchodzi czas, niezbyt już odległy, kiedy Moluccowie Wrathe'owie tego świata wypadną z gry. Wtedy zobaczysz coś niezwykłego: nowy wspaniały świat piractwa.

Cheng Li rozbudziła w sobie coś zbliżonego do dawnej zaciętości. Connor był dumny, że podzieliła się z nim swoją wizją przyszłości. Ale to ciepłe uczucie nie trwało długo.

- Nie mogę tak stać tu i gadać z tobą do wieczora, mój chłopcze. Przed bitwą muszę nasmarować katany.

Odwróciła się i odeszła.

Cheng Li z pewnością miała charakter. Nawet to poniżenie, jakie niedawno przeżyła, nie stłumiło jej zapału. Jeśli już, czyniło ją to jeszcze silniejszą i groźniejszą. Connor obserwował bliźniacze miecze, podskakujące na jej plecach. Przypomniawszy sobie, jak Cate upominała piratów,

żeby nie ranili ludzi bez potrzeby. Jakoś wątpił, czy pani Li będzie zwracać uwagę na te słowa. Zguba czeka każdego, mężczyznę czy kobietę, kto dzisiaj stanie jej na drodze.

Rozdział 24

Dzwon Mroku

- Jamie, gdzieś ty się podział? Jamie! Grace budziły już przyjemniejsze odgłosy, ale trudno było zaprzeczyć skuteczności ostrych krzyków kucharki. Otworzyła oczy i natychmiast znalazła się na powrót wśród oparów, gorąca i bezustannego stukania kubryka. Leżała na podłodze, przykryta wykrochmalonym obrusem niczym kołdrą.

Kucharka hałaśliwie sprawdzała rondle, unosząc pokrywki i opuszczając je jak perkusista z wyraźnym, choć trochę niepewnym wyczuciem rytmu. Jamie, jak się zdawało, znowu gdzieś zniknął.

- Gdzie jesteś, chłopcze? Mam przecież tylko dwie ręce! Nie, to już zbyt wiele jak dla kobiety w moim wieku!

- Mogę w czymś pomóc? - odezwała się Grace. Wstała niepewnie i złożyła obrus wzdłuż głębokich fałd.

- Ty? - Kucharka znieruchomiała nagle. - To trochę nieprzepisowe. Owszem, przydałoby mi się pomoc, ale nie, ty masz tylko odpoczywać i nabierać sił.

Grace potrząsnęła głową.

- Dziękuję, ale czuję się świetnie. Nie wiem, co takiego było w tej zupie, że jestem pełna energii.

Kucharka uśmiechnęła się do niej.

- Dziękuję, panienko. Miło mi to słyszeć. Dobrze, co tam, darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby. Tylko nie licz na to, że zdradzę ci swoje tajne składniki.

Machnęła na Grace chochlą w sposób daleki od groźby.

- Absolutnie - obiecała dziewczyna. - Od czego mam zacząć?

- No, te marchewki przydałoby się pokrajać w kostkę, na początek.

Grace spojrzała na górę marchewek - było ich więcej, niż w życiu widziała naraz, nawet na targu w porcie. Niezniechęcona, chwyciła garść i ułożyła je na desce.

- Bardzo dobrze - pochwaliła kucharka, obserwując jej pracę. - Akurat właściwy rozmiar. Prawdziwe błogosławieństwo, że się zjawiłaś, ot co.

Po czym ruszyła doglądać garnków. Grace pracowicie cięła marchewki. Zawsze lubiła tę powtarzalność kuchennych zajęć - dawały jej poczucie spokoju i opanowania, zwłaszcza gdy gdzie indziej tak jej ich brakowało. Przypomniała sobie wieczory w latarni, kiedy ojciec przyrządzał uczyty dla ich trojga, a ona i Connor pomagali przy krojeniu i mieszaniu, a także - co najlepsze - przy kosztowaniu.

- Jak ci idzie?

Rozpromieniona buzia wynurzyła się z drugiej strony kontuaru. Nie była to kucharka, ale nieuchwytny Jamie.

- Całkiem dobrze - odparła Grace.

- Szybko pracujesz - stwierdził, wrzucając sobie do ust kawałek marchewki.

Grace wzruszyła ramionami.

- Kuchnia jest ostatnią rzeczą, jakiej bym się spodziewała na tym statku.

- Ludzie muszą coś jeść, panienko.

- Ludzie tak, ale nie... - Zniżyła głos. - Ale nie wampiry.

Spojrzała Jamiemu w oczy.

- Och, to jedzenie wcale nie jest dla nich - wyjaśnił, zbierając z deski następne posiekane kawałki marchewki.

- Więc dla kogo? - zdziwiła się Grace.

- Jamie, Jamie, nie przeszkadzaj dziewczynie i weź się za coś użytecznego. Wyjmij stek z lodu.

- Obowiązek wzywa - rzucił Jamie i zniknął, zanim Grace zdążyła przycisnąć go bardziej i skłonić do odpowiedzi.

Kucharka poklepała Grace po ramieniu.

- Szybko ci to idzie, dziewczyno - pochwaliła.

- Muszę chyba porozmawiać o tobie z kapitanem. To straszne marnotrawstwo, przecież mogłabyś mi pomóc w kuchni. Przydałaby mi się dodatkowa para rąk zamiast tego urwisa, mojego siostrzeńca Jamiego.

Marnotrawstwo? O czym ona mówi? Grace przypomniała sobie słowa kucharki, które usłyszała, zanim zapadła w sen.

Ci nowi zawsze są najgorsi, nie?

O co w tym wszystkim chodziło? Zaczęła w niej wzbierać panika. Za jej plecami Jamie przyniósł z chłodni gorę mięsa.

- Co się tutaj dzieje? - zawołała Grace, wypuszczając nóż. - Dla kogo jest to jedzenie?

- Ostrożnie, moja panienko - zwróciła jej uwagę kucharka. - Popatrz no tylko, wzięłaś i się skaleczyłaś.

Grace spojrzała. Rzeczywiście, nóż zrobił wąskie nacięcie i na skórze rosła kropla krwi.

Zanim się zorientowała, kucharka zamknęła jej rękę w mocnym uścisku.

- Szybko, Jamie, ruszaj się! No szybciej, niezdaro! Oj, co za strata!

Grace drżała, ale nie mogła wyrwać ściskanej jak w imadle ręki. Gdy uniosła wzrok, odkryła ze zgrozą, że twarz kobiety się zmienia. Oczy się zaszklily i przybrała nieobecny wyraz, jak gdyby życie opuściło skorupę ciała i przeniosło się gdzie indziej. Grace przypomniała sobie, jak w kajucie przemieniły się rysy Lorcana. To, co widziała tutaj, było jednocześnie podobne i całkiem inne. Czyżby kucharka też była wampirem? A Jamie? Sądziła, że będzie tu bezpieczna, w tym ciepłym i pracowitym zakątku statku. Jak mało wiedziała...

Jamie stanął obok ciotki i sięgnął ku dłoni Grace. Wytarł jej palec i owinął go wąskim bandażem.

- To powinno zatamować krew - powiedział.

Otępiąła Grace patrzyła na swój obandażowany palec.

- Niewiele brakowało - stwierdziła kucharka.

Nagle, znowu wesoła, puściła dłoń Grace.

- Kuchnia to nie miejsce na niedbałość w sprawach higieny! Lepiej przrzuć te marchewki do rondla. A ty, panienko, zrób sobie przerwę. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście się nadajesz do pracy w kuchni. Za bardzo jesteś nerwowa. Może jednak sposób kapitana jest najlepszy.

- Jaki jest sposób kapitana? - spytała Grace.

- Proszę, niech pani przestanie mówić zagadkami i wytłumaczy mi, co się tu dzieje!

- Chyba znasz swoją rolę - odparła kucharka z odrobiną złości w głosie. - Jesteś nowym donorem, prawda? Stary Nathaniel odchodzi i ty masz zająć jego miejsce.

Donorem? Grace nie była pewna, o co kobiecie chodzi, ale nie brzmiało to dobrze. Chciała pytać dalej, ale kiedy otworzyła usta, nie mogła wykrztusić ani słowa. Przypomniała

sobie, jak stary Nathaniel chwiejnie podązał do kuchni, blady i wychudły, jakby całkiem pozbawiony krwi. Co takiego chciała powiedzieć nagle wroga kucharka? Że stary Nathaniel nie jest jednak wampirem? Więc czym?

Jesteś nowym donorem.

Jeśli zdecydujesz się zostać z nami trochę dłużej, zobaczysz, o czym mówię”.

Wszystko zaczynało nabierać sensu. Może myliła się, ufając pewnym osobom. Poczula nagły chłód i zadrzała.

I wtedy zadzwieczał dzwon. - Czy to już czas? Szybko, Jamie, bierz się do pracy, inaczej nigdy nie zdążymy na Ucztę.

Uchtę?

Dzwon zabrzmiał znowu.

- Czy to Dzwon Mroku? - Grace zwróciła się do Jamiego.

Skinął głową. Podrzucił w górę czerwone jabłko i złapał je zębami. Ma wyjątkowo ostre zęby, pomyślała Grace, kiedy wgryzł się przez skórkę w jasny kremowy miąższ. Ale wampiry nie jedzą normalnej żywności, prawda?

Trudno było się w tym wszystkim połapać.

- Muszę iść - oświadczyła, czując mdłości. - Muszę wracać.

- No to pa.

Jamie uśmiechnął się do niej, otworzył usta i zgryzł resztę jabłka - razem z pestkami, ogryzkiem, ogonkiem i wszystkim.

Rozdział 25

Atak

Connor czekał ze swoją grupą, aż działa dadzą sygnał do rozpoczęcia szturmu. Serce było mu mocno z podniecenia. Tylko mniej więcej połowa piratów miała wziąć udział w ataku. Cel, do którego szybko się zbliżali, był mniejszy od ich statku, wyznaczono więc sześćdziesięciu ludzi, mężczyzn i kobiet.

Byli podzieleni na trzy dwudziestoosobowe zespoły - a każdy dzielił się dalej na mniejsze grupy czterech, ośmiu i ośmiu osób. Stąd ta formacja „4-8-8”, o której mówiła Cate. Connor miał sporo doświadczenia w grach zespołowych, więc szybko zrozumiał jej strategię. Była zresztą dość prosta. Czwórki składały się z ludzi uzbrojonych w pałasze, którzy uderzą pierwsi, by śmiertelnie przerazić broniącą się załogę i swoją ciężką bronią spowodować jak najwięcej powierzchownych uszkodzeń w takielunku i innych częściach statku. Tylko powierzchownych - statek nie powinien być ciężko uszkodzony, ponieważ istniała niewielka szansa, że kapitan Wrathé postanowi go przejąć dla siebie.

Kiedy grupy z pałaszami wywołają chaos i trwogę na pokładzie, tuż za nimi wkroczą pierwsze z grup ośmioosobowych. Uzbrojone w lżejszą i groźniejszą broń - rapiery, szpady i sztylety, mają zidentyfikować ludzkie cele i zneutralizować je. Jak w końcowej odprawie przypomniawsza swojej grupie Cate, chodzi o zmuszenie obrońców do kapitulacji i wydania ładunku, a nie o pozabijanie ich.

Zadaniem drugich ósemek - do jednej z nich dołączył Connor Tempest - było wsparcie ataku. Pierwszych ośmiu walczących miało wyższy status i mogli zażądać pomocy. Każdy z pierwszej ósemki tworzył parę z kimś z drugiej. Connora spotkał zaszczyt bycia wsparciem samej Cate.

- To najbezpieczniejsza pozycja w grupie - wyjaśnił mu Bart. - Cate warta jest trzech mężczyzn. Ale będziesz blisko akcji, co do tego nie ma wątpliwości. Słuchaj jej. Rób wszystko, co ci każe, a wszyscy bezpiecznie wrócimy do domu na imprezę.

Bart wciągnął skórzane rękawice i uściśnął Connorowi dłonie.

- Życzę szczęścia, panie Tempest.

- Wzajemnie.

Jak zawsze uśmiechnięty, ale skupiony Bart pobiegł dołączyć do pozostałych trzech osiłeków, tworzących jego czwórkę.

Connor podszedł do swojej grupy, która przygotowywała się do ataku podobnie jak drużyny sportowe, w których od najmłodszych lat grywał Connor. Niektórzy rozgrzewali się - wychylali, żeby rozluźnić mięśnie nóg, albo skręcali tułów na boki, by zadbać o jak największy zasięg ruchów. Inni ćwiczyli cięcia i pchnięcia. Myśl o tej broni w rzeczywistym działaniu wywołała u Connora dreszcz i lekkie mdłości.

Musnął palcami rękojeść rapiera, który wisiał u jego boku. Cate omówiła zadania podczas ataku i zapewniła, że istnieje tylko nikła szansa, by został wezwany i musiał użyć broni do czegokolwiek prócz zastraszania. Ale nie chodziło o zabawę. Nie było żadnych gwarancji.

Czuł ciężar rapiera. Ciężał mu, ale nie tak, jak rosnący lęk przed jego użyciem. Może w rzeczywistości nie nadawał się na pirata? Jednak było już za późno, żeby się wycofać - nie mógł zawieść tych, którzy na nim polegali.

Nagle u jego boku stanęła Cheng Li. Sądził, że należała do którejś z pierwszych ósemek. Ale może przyszła tylko, żeby mu życzyć szczęścia.

- Dołączam do tej grupy - oznajmiła Cheng Li.

- Johnna, zajmiesz moje miejsce w pierwszej ósemce. Właśnie zostałam awansowana. Zostanę z tyłu, żeby mieć oko na Tempesta.

Druga pirat - Johnna - była wyraźnie uszczęśliwiona. Zasalutowała i odbiegła do swojego zespołu. Connor zerknął na Cheng Li. Czy naprawdę postanowiła się wycofać, zastanowił się, czy też ją zdegradowano? Jej ciemne oczy ostrzegały, żeby lepiej się nad tym nie zastanawiał.

Nagle tuż nad głową Connora rozległ się ogłuszający hałas. Spojrzał i zobaczył opadający w dół ciężki metalowy pomost. Odruchowo odskoczył w bok, lecz wąska kratownica znieruchomiła wychylona pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Dwie podobne konstrukcje pojawiły się w równych odstępach wzdłuż burty. Sterczały groźnie, jak na wpół uniesione zwodzone mosty.

- Co to takiego? - zapytał Connor Cheng Li, od razu podejrzewając najgorsze.

- Jak myślisz, w jaki sposób przedostaniemy się z naszego statku na tamten?

Connor raz jeszcze spojrział na wąski pomost, wiszący, mu nad głową. Statek kołysał się i pomost nie wydawał się stabilny.

- Kiedy padnie wystrzał - tłumaczyła Cheng Li - opadną na dół, tworząc mostki.

Connor nie był przekonany.

Pirat stojący po drugiej stronie szturchnął go porozumiewawczo.

- Nazywamy je „Trzy Życzenia” - powiedział.

- Bo wszystko, czego można sobie życzyć, to aby przeleźć jakoś na tamten statek, a potem cało wrócić do domu.

- Dzięki - mruknęła kwaśnym tonem Cheng Li.

- To bardzo pomocne.

Connor czuł, że jest mu niedobrze.

Padł wystrzał z działa.

Piraci podплыnęli do swej ofiary, bez trudu dościgając mniejszy statek - jak rekin, który dogania delfina.

Zrównały się burty.

Zagrzmiało ogłuszająco, kiedy znów wystrzeliły działa, Trzy Życzenia opadły do poziomu, łącząc Diabła z drugim statkiem.

Kiedy metalowe kratownice ze stukiem trafiły na miejsca, trzy grupy uzbrojonych w pałasze piratów natychmiast popędziły po wąskich konstrukcjach, wysoko nad spienionymi falami. Connor zauważył, że każdy pomost ma wąskie poręcze z obu stron, jednak mimo wszystko nie wyglądały na solidne; podskakiwały gwałtownie i opadały, kiedy oba statki kołysały się na falach.

- Nie dam rady - stwierdził Connor, czując falę paniki ogarniającą go jak lodowata woda.

- Oczywiście, że dasz - odparła Cheng Li. - Sztuka polega na tym, żeby biec jak najszybciej. Im wolniej się poruszasz, tym mniej jesteś stabilny. I cokolwiek się zdarzy, Connorze, absolutnie nie patrz w dół.

Ale Connor nie mógł się powstrzymać. Daleko poniżej metalowych kratownic zobaczył spieniony ocean, czekający, by znów pochwycić go w swe zimne objęcia.

Zadygotał. Nigdy nie czuł się dobrze na wysokościach - nawet mieszkanie w latarni morskiej nie wyleczyło go z tego. Czuł mdłości i dopływ adrenaliny do żył. W jednej chwili miał wrażenie, że ciało ma ciężkie jak ołów, w następnej - kruche i lekkie jak piórko. W żaden sposób

nie zmusi się, by stanąć na pomoście. Jedno poślizgnięcie, jeden niepewny krok, a runie w lodowatą głębinę. Chciałby teraz odpełznąć gdzieś na bok i się ukryć. Dlaczego kapitan Wrathe wybrał go do udziału w ataku? Nie da sobie rady.

- Owszem, dasz radę.

To znowu był głos taty. Rozbrzmiewający wprost w głowie.

- Potrafisz to zrobić, Connorze.

Spokój i pewność tego głosu dodały mu odwagi. Zmniejszył się dopływ adrenaliny i Connor na chwilę się opanował.

- Pierwsze ósemki naprzód! - krzyknęła nagle Cate, wyrwała się z grupy i przemknęła po pomoście.

W chwilę później trzy grupy piratów przebiegły po metalowych konstrukcjach - jak stada psów, przeskakując z jednego statku na drugi w pościgu za zdobyczą.

Connor i pozostali z jego zespołu ustawili się w rzędzie przy burcie. On był przedostatni - za nim stała tylko Cheng Li.

To było to. Ta chwila. Nie wiedział, jak toczy się walka. Nie mógł zobaczyć, co się dzieje na drugim statku.

Przed nim kołysało się Życzenie. Choć do tej pory przebiegło po nim dwunastu piratów, Connor wciąż obawiał się najgorszego. Ale jaki miał wybór? Był częścią zespołu, a Connor Tempest nigdy nie zawiódł swojej drużyny. Jeżeli nie miał natury pirata, to był przynajmniej urodzonym sportowcem.

- Drugie ósemki! - dobiegło wołanie.

Piraci przed nim pomknęli przez Życzenie, nie dotykając nawet linowej poręczy. I wtedy przyszła jego kolej. Zawahał się na moment, ale Cheng Li pchnęła go do przodu.

- Postaraj się, chłopcze. Pokaż mi, że nie ratowałam tchórza.

Connor nabrał tchu, wskoczył na Życzenie i nie patrząc w dół, nie wyciągając rąk na boki, ruszył naprzód. Po kilku krokach wylądował ze Stukiem na deskach pokładu. Udało mu się.

- Świetnie, chłopcze! - krzyknęła Cheng Li, zeskakując obok.

Nie mieli czasu na dalsze rozmowy. Connor porzucił Cheng Li - jego obowiązkiem było odszukać Cate i wykonywać jej polecenia.

Wokół niego pierwsze ósemki toczyły starcia jeden na jednego. Connor był tak podniecony, że miał ochotę się włączyć, ale instrukcje Cate były bardzo wyraźne. Działał tu

pewien system i należało się go trzymać. Przed sobą zobaczył Cate, która wzywała go do siebie. Podbiegł. Jej szpada zawisała nad dwójką mężczyzn, których twarze mówiłyby o kapitulacji, nawet gdyby ich ciała nie drżały jak trzciny na wietrze.

- Przypilnuj ich tutaj, a ja idę dalej - poleciła Cate.

Connor dobył rapier i wysunął ostrze ku jeńcom, mając nadzieję, że nie zauważą jego niepewności. Słyszac po ich jękach, nie zauważyli.

- Nie zadzierajcie z Tempestem - poradziła im Cate. - To jeden z naszych najbardziej krwiożerczych piratów.

Mrugnęła dyskretnie do Connora i ruszyła dalej.

Może jednak nie tak trudno jest być piratem? Connor odetchnął głęboko i uśmiechnął się do swoich jeńców. Zdawało się, że ich to przeraziło.

- Zwyczajna uprzejmość - mruknął, złośliwie przesuważac ostrze rapiera bliżej pokonanej pary.

Poczuł stuknięcie w plecy i odwrócił się błyskawicznie. Jeden z obrońców przedarł się przez linię starc i stał przed nim z rapierem w dłoni. Musiał odebrać broń komuś z załogi Diabla. Nie nosił żadnej osłony, ale oczy miał pełne nienawiści.

- Przeklęci piraci - rzucił. - Myślicie, że będziemy łatwym łupem, co? No to pomyślcie jeszcze raz.

Pchnął, ale Connor zauważył ruch i odskoczył.

Mężczyzna zaatakował znowu i tym razem rapier drasnął Connora w ramię. Chłopiec poczuł ostry ból. Ale nie ucierpiał mocno. Nawet zyskał - skaleczenie było niczym pobudka. Opanował się. Stali teraz naprzeciw siebie, waząc wszystkie możliwości. Connor skoncentrował się, przypominając sobie lekcje, które odebrał od Cate i Barta.

- Jesteś tylko chłopcem - prychnął jego przeciwnik. - Kończą wam się już prawdziwi piraci i bierzecie uczniów?

Nie wolno mu chwycić przynęty. Mężczyzna starał się wyprowadzić go z równowagi. Connor wpatrywał się w jego oczy - i to się opłaciło. Kiedy tamten ciął ponownie, przewidział ten atak i zablokował ostrze własną klingą. Potem z całych sił pchnął rapier przeciwnika w dół. Ból przeszył mu ramię - wysięk był zbyt wielki i poczuł, że z rany spływa ciepła strużka krwi.

Nie mógł pozwolić, by odwróciło to jego uwagę. Musiał pierwszy wyprowadzić następny atak... i zrobił to. Cofnął rapier i rzucił się na przeciwnika, czując w żyłach dopływ adrenaliny.

Wpatrzony w tamtego, pchnął w pierś. Jednak pokład był wilgotny od brudu i krwi, i Connor się pośliznął. Rapier nie sięgnął piersi mężczyzny, ale siła ataku pchnęła tamtego w tył, aż uderzył głową o maszt. Osunął się na pokład, a krew jak wodospad spłynęła mu z głowy na twarz.

Serce Connora biło jak szalone, kiedy schylił się i wyrwał broń z bezwładnej dłoni przeciwnika. Kiedy cofnął rękę, była mokra od krwi. Wytarł ją o spodnie.

Nie chciał, by ten człowiek umarł. Musiał się bronić, ale nie chciał, żeby tamten zginął. Rozejrzał się po pokładzie - walka dobiegała końca. Piraci z Diabła zwyciężyli. Ale sam Connor nie czuł się jak zwycięzca.

Podbiegł do dwójki jeńców, których Cate kazała mu pilnować. Widzieli jego pojedynek i teraz kulili się przerażeni.

- Litości! - krzyknął jeden z nich. - Ściągaj chustę - polecił chrapliwie Connor. - Ściągaj swoją chustę. Ale już! Mężczyzna drżącymi palcami rozwiązał chustę. - Chodź ze mną. - Błagam, litości! - Chodź! - Connor ledwie mówił, ale starał się utrzymywać stanowczy ton. Chwytał mężczyznę za przeguby i pociągnął za sobą do masztu, gdzie leżał jego niedawny przeciwnik, cały zalany krwią z rany na głowie. Wziął chustę i przycisnął ją do czaszki rannego, by powstrzymać upływ krwi.

- Trzymaj teraz - polecił, kładąc dłoń mężczyzny na przesiąkniętej krwią chuście. - Trzymaj ją tutaj i przyciskaj mocno. Rana jest ciężka, ale nie śmiertelna.

- Jesteś miłosierny! Dziękuję ci! - zawołał mężczyzna, szcękając zębami.

Connor stał nieruchomo i oddychał gwałtownie. Poczł czyjąś dłoń na ramieniu.

Nie mógł już się bić. Nie pozostało w nim nic z chęci walki.

Odwrócił się.

- Dobra robota, chłopcze - pochwaliła go Cheng Li. - Może trzeba będzie popracować nad twoim instynktem zabójcy, ale i tak nieźle sobie poradziłeś.

Podbiegła Cate.

- Connorze, słyszałam, co się stało! Brawo! Świetnie! Cheng Li...

- Tak?

Cheng Li i Cate stały naprzeciw siebie, z bronią w rękach.

- Fantastyczna robota, pani Li. Jak zwykle. Dziękuję za pilnowanie Connora, ale przy następnym starciu chcę panią z powrotem na pierwszej linii. Zawstydzą pani pozostałe ósemki. Piękne, precyzyjne cięcia. Musi mnie pani kiedyś nauczyć kilku manewrów katanami.

- Jak pani sobie życzy - odparła Cheng Li nonszalancko, jednak Connor widział, że jest zadowolona z pochwały.

Cate odbiegła, by przekazać oficjalne wieści o kapitulacji statku. Diabło dwa razy wystrzelił z działa, by zasygnalizować zwycięstwo, pokonany statek wystrzelił raz, uznając swą klęskę. Walka dobiegła końca tak szybko, jak się zaczęła.

Kapitana statku nie trzeba było długo przekonywać. Wiedział, że napastnicy mają przewagę. Kiedy Cate wyprowadziła go z kajuty, jęczał tylko przerażony, co powie swojemu zwierzchnikowi, gdy ten się dowie, że stracił cenny ładunek.

- Powiesz mu, że kapitan Molucco Wrathe z Diabła przesyła serdeczne pozdrowienia - odezwał się znajomy głos.

Kapitan Wrathe wynurzył się z dymu dział. Wyglądał nienagannie, z bronią schowaną już w srebrnych pochwach.

- Uprzejmie dziękujemy za twój ładunek - powiedział. - A jeśli pomożecie nam i wyniesiecie go na pokład, nie będziemy dłużej zabierać wam czasu.

Na rozkaz Cate Connor z rapierem w ręku zaprowadził parę jeńców do ładowni. Wracali cztery razy, wynosząc ukryte pod pokładem skarby. Byli zbyt przerażeni, by protestować.

Wreszcie zdobycz leżała w stosach na pokładzie. Piraci znów podzielili się na dwie grupy. Pierwsze ósemki pilnowały załogi pokonanego statku, drugie zaś razem z czwórkami zbierały bogactwa i przenosiły je po Trzech Życzeniach na pokład Diabła. Po kilku trasach tam i z powrotem Connor zapomniał niemal o początkowym strachu.

- Możesz mi z tym pomóc, kolego? - zawołał Bart.

Rozpromieniony chłopak chwycił z jednej strony ostatnią skrzynię i razem przenieśli ją przez Życzenie.

Powróciła reszta grup uderzeniowych, tryumfalnie zeskakując z Trzech Życzeń na pokład. Potem stalowe siatki zostały uniesione niczym zwodzone mosty i schowane do następnego ataku.

Powracających witały okrzyki, uściski i poklepywania.

- Dobrze się sprawiłeś! - Bart serdecznie klepnął Connora po ramieniu.

- Rzeczywiście, dobrze! - krzyknął kapitan. - Piękna akcja, moi drodzy. Piękna akcja. - Objął Cate ramieniem. - Znakomita robota, Cate, naprawdę znakomita.

Cate zarumieniła się gwałtownie.

- Udało się - powiedział Connor do Barta. - Udało się!

- Jesteś teraz piratem! - oświadczył Bart. - Niech Bóg ma cię w swojej opiece, ale jesteś prawdziwym piratem.

Connor spojrział na ocean i zobaczył, że pokonany statek oddala się szybko w stronę ciemniejącego horyzontu. Odszedł od pozostałych i stanął przy relingu.

- Mówiłem ci, że dasz radę - zabrzmiał znajomy głos w jego głowie.

- Tato! - powiedział na głos.

- Dobrze sobie dzisiaj radziłeś, Connorze.

- Gdzie jest Grace? - zapytał chłopiec. - Czy żyje? Gdzie jest?

Czekał, ale odpowiedziała mu cisza. Za sobą słyszał uradowaną załogę. Dlaczego tato zignorował ostatnie pytanie?

Znów zahuczały działa. Connor wciąż stał przy relingu, wpatrzony w horyzont. Czekał.

W końcu spokojny głos odezwał się w jego głowie raz jeszcze.

- Jeszcze nie, Connorze. Jeszcze nie. Ale już niedługo.

Rozdział 26

Galion

Grace odwróciła się na pięcie i wybiegła z ku-bryku na korytarz. Gdzie były schody? Jak wiele czasu jej zostało?

Dzwon zabrzmiał znowu.

Jak mogła tak zatracić poczucie czasu? Musiała spać o wiele dłużej, niż sądziła. Zastanowiła się, czy kucharka nie dodała jakiegoś tajemniczego składnika do chleba i zupy.

Przy następnym uderzeniu dzwonu dotarła już do korytarza, w którym stary Nathaniel wyszedł chwiejnie z kajuty. Teraz panowała tu kompletna cisza i wszystkie drzwi były zamknięte. Może jeszcze zdąży.

Rzuciła się na schody, przeskakując po dwa stopnie naraz. Nie przejmowała się już hałasem. Serce biło jej jak szalone. Musiała dotrzeć do swojej kajuty, zanim załoga się przebudzi.

I znowu zabrzmiał dzwon. Jak wiele uderzeń jej pozostało?

Była teraz w korytarzu pod głównym pokładem. Słyszała już pierwsze sygnały życia zza zamkniętych drzwi. Nie - raczej sygnały śmierci. Nawet o tym nie myśl, Grace, tylko biegnij!

Była już mocno zdyszana, kiedy dotarła do ostatnich schodów. Gdyby tylko była tak wysportowana jak Connor... Nie szkodzi, już niedaleko. Słyszała niemal jego głos, zachęcający ją do wysiłku.

Na szczycie schodów spojrziała w głąb korytarza i uświadomiła sobie, że istnieje krótsza droga. Drzwi tutaj - te, które zignorowała wcześniej - prowadziły na pokład. Tędy szybciej dotrze do swojej kajuty. Szarpnęła je i usłyszała kolejne uderzenie dzwonu.

Ciemność na zewnątrz była szokiem, choć przecież wiedziała, że zapadła noc. Ale panował całkowity mrok i musiała przystanąć, by zorientować się w swoim położeniu. Gdyby nadal biegła jak szalona, mogłaby łatwo wypaść za burtę, zderzyć się z masztem albo z inną niewidoczną przeszkodą.

Nagle z boku pojawiło się światło. Grace rozejrzała się z ulgą. Światło stało się tak mocne, że Grace widziała już, iż musi iść w lewo.

- Nie zatrzymasz się i nie przywitasz?

Był to dziewczęcy głos. Z tyłu. Grace wiedziała, że powinna schylić głowę i uciekać. Powinna być w swojej kajucie przed nocą... I prawie jej się to udało.

- Moim zdaniem to po prostu niegrzeczne. A ja nie lubię niegrzecznych osób. - Przepraszam. - Grace odwróciła się. Lepiej będzie rzucić szybkie „dobry wieczór” i odbiec.

Przed nią stała młoda kobieta, ostrzyżona równo na pazia, w staromodnej sukni. To miało swoją nazwę... Grace szukała w pamięci. Na chłopczycę, tak. Miała też opaskę na głowie i zatknięte za nią czarne pióro. I wszystko - suknia, opaska, bosa stopy dziewczyny - ociekały wodą. Twarz wyglądała fatalnie. Dziewczyna wyraźnie nosiła mocny makijaż, który ściekał teraz, przez co jej oczy pływały w kałużach czerni, a małe, kształtne usta spływały czerwienią.

- Niegrzecznie jest tak się gapić, wiesz? Nawet jeśli rzeczywiście jestem raczej piękna.

- Przepraszam - powtórzyła Grace. - Myślałam tylko... Jaką masz piękną suknię.

Nie tylko o tym myślała, ale jak się okazało, to właśnie należało powiedzieć. Wargi dziewczyny rozciągnęły się w uśmiechu.

- Dziękuję. To oryginalna kopia Chanel, wiesz? Zaraz się przebiorę, tylko dopełnię swoich wieczornych obowiązków.

Dziewczyna machnęła zapalonym knotem i uniosła go do latarni, która zakwitła blaskiem. Starannie zamknęła ją i przeszła - z gracją tancerki baletowej - do kolejnej, tuż obok Grace.

- Jesteś panną Flotsam? - spytała Grace, nagle kojarząc wszystkie fakty.

- Rzeczywiście - odparła i znów uśmiechnęła się pięknie. - Darcy Flotsam, piosenkarka i tancerka, dawniej na Titanii. A kim ty jesteś?

- Grace. Grace Tempest.

- Bardzo mi miło - zapewniła panna Flotsam, przerywając pracę, by wykonać niewielki dyg.

Jaka to niezwykła, lalkowata istota, pomyślała Grace.

- Więc to ty biłaś w dzwon?

- Istotnie. Zawsze biję w dzwon. Zawsze to ja pierwsza wstaję. Moim obowiązkiem jest uderzyć w dzwon, a potem zapalić latarnie. Wtedy dopiero mogę się przebrać z tych mokrych rzeczy w coś ładnego i suchego.

Minęła Grace i otworzyła szybką kolejnej latarni. Grace naprawdę powinna wracać do siebie, ale jej kajuta była już blisko, a pokład nadal wydawał się opuszczony, jeśli nie liczyć ich dwójki. Chyba nic złego się nie stanie, jeśli porozmawia jeszcze chwilę z Darcy Flotsam.

- A dlaczego jesteś taka przemoczona?

Panna Flotsam zachichotała. - Głuptasie, musiałam trochę popływać, oczywiście. Jak zawsze. To ważne, poruszać się trochę po całym dniu, zwłaszcza jeśli masz siedzącą pracę jak ja.

- Siedzącą pracę?

- W znaczeniu „odznaczającą się nieruchomą pozycją i brakiem ćwiczeń fizycznych”...

Pan Byron mi to wytłumaczył. On zna wiele takich słów.

- A na czym właściwie polega twoja praca? - zainteresowała się Grace.

Panna Flotsam odwróciła się i przyjęła baletową pozę, wyginając całe ciało w piękny łuk. Ręce splotła w talii za plecami i wysunęła twarz ku przodowi, z nosem skierowanym w niebo.

- To wskazówka - wyjaśniła.

Grace pokręciła głową, całkiem zagubiona.

- No, przecież jestem galionem tego statku. To łatwe.

Grace spojrzała w stronę dziobu i zauważyła, że istotnie jest teraz puste miejsce tam, gdzie przedtem tkwił galion. Czy to możliwe? Widocznie na tym statku wszystko jest możliwe.

- Galion za dnia, w galerii nocą - rzekła panna Flotsam. - Możesz mi wierzyć, moja droga, że gdybyś tkwiła w tej samej pozycji przez czternaście godzin bez przerwy, też byś na koniec musiała popływać.

- Ale jak zostałam galionem?

- Och, to długa i fascynująca opowieść. - Panna Flotsam zamknęła klosz lampy i z wdziękiem przeszła do następnej. - Byłam piosenkarką, chanteuse, na wielkim statku pasażerskim, Titanii. Śpiewałam po kolacji i wszystkie te eleganckie damy i dżentelmeni uwielbiali moje piosenki i tańce. Pamiętasz pewnie, co zdarzyło się tej tragicznej nocy, kiedy pośrodku oceanu Titanie trafiła potężna błyskawica.

Zatonęliśmy. Wszystkich nas rzuciło do wody, ale mnie przytrafiło się coś niezwykłego. Opadliśmy na dno, akurat w miejsce, gdzie spoczywał wrak starego galeonu. Nie wiedziałam o tym, naturalnie, dopiero dużo później... Spałam wtedy, rozumiesz. I przeszłam. Ale potem, kiedy wydobywali wrak, odkryli tę piękną figurę na dnie... To byłam ja. W jakiś sposób stopiłam się w jedno z tym galionem. No więc wyciągnęli mnie i zabrali do bardzo ważnego morskiego

muzeum. Dostałam specjalną etykietę i trafiłam do magazynu, a oni się zastanawiali, gdzie najlepiej mnie wystawić. Leżałam tam przez kilka dni, aż mi się znudziło. Więc pewnej nocy po prostu otworzyłam oczy, rozprostowałam nogi i wyszłam z tego bardzo ważnego morskogo muzeum.

- A zatem ty także jesteś wampirem jak pozostali - powiedziała Grace, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

- Nie jestem wampirem - odparła panna Flotsam i energicznie pokręciła głową, aż jej równo przycięte włosy zakołysały się na policzki. - Zapamiętaj sobie, że jestem wampiratem.

Grace uśmiechnęła się mimowolnie. Mimo zadziwiających wyznań panny Flotsam, niemożliwe wydawało się, by budziła przerażenie.

- A jaka jest twoja historia, Grace?

- Tak, jaka jest twoja historia?

To nie panna Flotsam zadała pytanie po raz drugi. To był posępny męski głos. Nie były już same.

Grace rozmawiała zbyt długo i zapomniała o swojej sytuacji.

Panna Flotsam drgnęła.

- Dobry wieczór, poruczniku Sidorio.

- Witaj, Darcy. Nie przedstawisz mnie swojej przyjaciółce?

Grace nabrała tchu i odwróciła się. Przed nią stał wysoki, łysy mężczyzna, którego muskuły zdawały się rozrywać ubranie - będące połączeniem kostiumu pirata i gladiatora. Rozpoznała go, ale on wyraźnie jej nie pamiętał.

- Grace Tempest, pozwól, że przedstawię ci porucznika Sidorio - rzekła panna Flotsam. - Panie poruczniku, zechce pan poz...

- Tak, tak - przerwał jej głosem przypominającym chrzęst żwiru. - Wiemy, o co chodzi, Darcy. A więc Grace, tak? Kiedy przywiało się na pokład, Grace? Gzy jesteś wampirem, czy donorem?

Znowu. Znowu to straszne słowo: donor.

Grace pomyślała o starym Nathanielu i jego bezkrwistej cerze.

Jesteś nowym donorem...

Masz zająć jego miejsce...”

I nagle zrozumiała, że znalazła się w pułapce.

Rozdział 27

Powolna parada

- No to jak? - Sidorio wpatrywał się w Grace. - Czym jesteś? Wampirem czy donorem? Grace patrzyła na niego bez słowa. Miała wrażenie, że stoi przed ścianą mięśni. Jego kark przypominał pień dobrze wyrosniętego drzewa, a ramiona miał grubsze niż jej nogi. - No świetnie - rzucił pogardliwie. - Akurat tego nam było trzeba: jeszcze jednej tępej. Grace była wściekła, ale milczała. W tej chwili stanowczo wołała go nie drażnić. - Sidorio! Hej, Sidorio! - usłyszała wołanie. Sidorio spojrział ponad jej głowę. Równocześnie otworzył usta i zaczął wydłubywać coś spomiędzy zębów. Grace uniosła wzrok i zobaczyła dwa wielkie wilcze kły, zrobione chyba ze złota. Wbijają się w ludzkie ciało jak nóż w masło, pomyślała. Krew stężała jej w żyłach.

- Wszędzie pana szukałem, poruczniku - rzekł Lorcan, wymijając Grace, jakby jej nie zauważył.

- Musimy pilnie porozmawiać. Rozkaz kapitana.

- Pewnie. - Sidorio bynajmniej się nie spieszył. Skinął głową na Grace. - Widziałeś najnowszy dodatek do załogi?

Lorcan obejrzał się.

- A tak. Grace - rzucił obojętnie. - Przepraszam, nie zauważyłem cię tutaj.

- Znasz ją?

- Tak, tak. - Lorcan zachowywał się, jakby miał ważniejsze sprawy. - To ja wyłowiłem ją z wody.

Sidorio stracił nagle zainteresowanie.

- Och, Lorcan, dobrze, że przyszedłeś - zaczęła Grace z ulgą, że widzi przyjaciela.

- Dla ciebie to kadet Furey, moja droga - upomniał ją Sidorio.

Lorcan nie próbował jej bronić, ale zmierzył ją takim samym zimnym spojrzeniem, a potem odwrócił się plecami.

Grace czuła się, jakby ją uderzył. Dlaczego Lorcan tak ją traktuje? Uważała go za przyjaciela. Do tej pory był taki uprzejmy...

- Naprawdę musimy porozmawiać, Sidorio - przypomniał Lorcan. - W cztery oczy.

Wyciągnął dłoń, ujął Sidorio za umięśnione przedramię i odciągnął na bok.

Grace była załamana. Została zignorowana, mężczyźni rozmawiali o niej lekceważąco...

Kiedy jednak odeszli kawałek, Lorcan obejrzał się i rzucił jej pełne troski spojrzenie błękitnych oczu. Z naciskiem wskazał palcem kierunek. Grace zrozumiała, że nakazuje jej wracać do kajuty.

Cóż, może wróci, a może i nie. Może już czas, by sama zaczęła o sobie decydować.

Panna Flotsam szturchnęła ją porozumiewawczo w bok.

- On tylko grał twardego, żeby zaimponować porucznikowi. Typowy mężczyzna.

Grace uśmiechnęła się słabo, czując jednak pewną ulgę.

- Myślę, że trochę się zadurzyłaś w kadecie Fureyu - dodała panna Flotsam. - Ale kto mógłby ci się dziwić? Bardzo jest przystojny. Te włosy... oczy...

Grace poczuła, że się rumieni.

- Oczywiście, dla mnie on nie jest odpowiedni. Jestem przeznaczona panu Jetsamowi, mej jedynej prawdziwej miłości. - Westchnęła. - Muszę zapalić resztę lamp. Nie mogę tak stać tu i rozmawiać z kimś takim jak ty. - Uśmiechnęła się. - Ale zobaczymy się jeszcze, Grace. Pożyczę ci jakąś piękną suknię. Chcesz przecież wypaść na Uczcie jak najlepiej.

Mrugnęła jeszcze i odeszła z knotem w dłoni.

Uczta? Grace pamiętała, że kiedy trafiła na statek, była mowa o jakiejś uczcie. Ale co to takiego? Czy to dzisiaj? Czy dlatego kucharka i jej chłopak tak gorączkowo pracowali w kuchni?

Jamie mówił, że całe to jedzenie nie jest przeznaczone dla wampirów. Oczywiście, że nie. Jest dla donorów. Może Uczta to takie wielkie przyjęcie dla nich. I podobnie jak kucharka, panna Flotsam uznała po prostu, że Grace jest donorem.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że istotnie musi być donorem. Z całą pewnością nie była wampirem, a według Sidorio jest się albo jednym, albo drugim. Wciąż nie do końca rozumiała, co robią donory. Najbardziej oczywistą odpowiedzią była ta, że oddają swoją krew wampirom. A jednak kapitan zapewnił ją, że nie chce jej krwi...

Myśli Grace krążyły niespokojnie. Musiała porozmawiać z Lorcanem. Wiele się dowiedziała od czasu, kiedy ostatnim razem wypytywała go o statek. Teraz miała bardziej konkretne pytania, na które powinien odpowiedzieć.

Dał jej znak, że powinna wrócić do kajuty, co wydawało się dobrym pomysłem. Tam mogą porozmawiać na osobności, bez przeszkód. Ruszyła więc przed siebie, starając się nie wychodzić z cienia i nie zwracać na siebie uwagi. Grupki wampirów zbierały się na pokładzie, choć wydawały się zbyt zajęte własnymi sprawami, by ją zauważyć.

Obserwowanie ich okazało się fascynującym zajęciem - stanowili prawdziwą zbieraninę różnych ludzi, wcale niepodobnych do wyobrażeń wampira, z jakimi dorastała Grace. Byli wśród nich tacy, którzy - jak Darcy Flotsam - wyraźnie zachowywali modę epoki, w której „przeszli”. Inni, jak Sidorio, ubierali się w sposób, który utrudniał umiejscowienie ich w czasie czy przestrzeni. Wielu, jak Lorcan, wybrało uniwersalny kostium pirata czy żeglarsza. Jeszcze inni nie przypominali nikogo ani niczego, co Grace by знаła - niewiarygodnie wspaniali i jakby nie z tego świata. Dziewczyna patrzyła, jak ta niezwykła parada mija ją leniwie, i pomyślała, że ich pozorny wiek nie pokazuje przecież, ile lat mają w rzeczywistości. Jak w ogóle obliczają wiek, zastanowiła się. Czy od dnia urodzin? Czy od czasu „przejścia”? I jakie historie mogli opowiedzieć o tym przejściu? Jeśli tak intrygujące, jak u panny Flotsam, Grace chętnie by ich wysłuchała. Może taką właśnie funkcję mogłaby objąć na statku, pomyślała, wspominając notatniki i ołówki w kajucie. Mogłaby zostać kronikarzem. Dzięki temu miałaby jakieś zajęcie - i to ciekawe - dopóki nie odnajdzie Connora. Na tym powinna się skoncentrować, a nie pozwalać, by przy każdej okazji jej uwagę odwracały różne niezwykłości tego statku. Musiała porozmawiać z kapitanem, skłonić go jakoś do pomocy - nawet do zatrzymywania każdego mijanego statku, jeśli tylko wystąpi taka konieczność.

Choć była już blisko swej kajuty, zatrzymała się jeszcze w cieniu, by przedłużyć ten czas pierwszego spotkania z załogą statku.

Z bezpiecznego mroku przyglądała się im i słuchała, gdy przechodzili. Wiele ich słów było zwykłymi uprzejmościami - zwykle towarzyskie rozmówki, często słyszane w porcie. Choć tutaj wydawały się bardziej oficjalne.

- Dobry wieczór, droga pani. Mam nadzieję, że spała pani spokojnie.

- Istotnie, panie. A pan? To dobrze. Oczywiście, pod koniec tygodnia zawsze czuję się nieco bardziej zmęczona.

- Tak, wiem, o co pani chodzi. Dziś wieczorem ledwie potrafiłem wstać z łóżka, ale zaraz przypomniałem sobie, że to noc Uczty.

- Na szczęście. Zanim zabrzmiał Dzwon Świtu, wszyscy się odrodzimy.

- W samej rzeczy. Sprowadźcie donorów, powiadam, i nie będzie to ani chwili za wcześnie.

To ostatnie wspomnienie o donorach wystarczyło, by wreszcie pchnąć Grace do kajuty. Gdy otworzyła drzwi, zobaczyła siedzącego już wewnątrz Lorcana z książką w ręku. Czy naprawdę tak długo kazała mu czekać?

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, uniósł głowę i odłożył książkę.

- Opowiedz mi o Uczcie - zażądała. Bez zdziwienia skinął głową i dał jej znak, żeby przysunęła sobie krzesło.

Rozdział 28

Podział zdobyczy

Pokład Diabła znów się wypełnił. Tym razem jednak nie ludźmi - powracający piraci - rozrzucili łupy, które przenieśli po Trzech Życzeniach. Połów był bogaty. Stały tu ciężkie dębowe skrzynie, których rozwarte wieka wypluwały na pokład mieszki pełne złota. Była biżuteria, obrazy i rzeźby, ozdobne zegary, antyczne urny, kryształowe żyrandole i wszelkiego rodzaju piękne przedmioty. Pokład dziobowy, zdaniem Connora, przypominał uliczny targ - ale taki, gdzie wszystkie towary są niezwykle rzadkie i cenne, i gdzie człowiek może być pewny, że znajdzie wyłącznie oryginały.

Przed tym wszystkim, niczym uliczny handlarz, stał kapitan Wrathe.

Cała załoga Diabła zebrała się na pokładzie. Sześćdziesięciu piratów, biorących udział w ataku, zajęło miejsca z przodu. Connor przyglądał się sąsiadom. Wszyscy byli spoceni i brudni po walce, ale rozradowani. Po powrocie dostali po flaszcze wody. Connor szybko wypił swoją do dna. Inni, którzy lepiej rozłożyli tempo, wciąż jeszcze pili. Kilku połało sobie wodą głowy, by się ochłodzić i jednocześnie oczyścić.

Kapitan Wrathe przemówił do załogi.

- A więc, moi drodzy, odnieśliśmy zuchwałe zwycięstwo, nieprawdaż? Brawo, naprawdę dobra robota. Trzykrotny okrzyk na cześć naszego militarnego geniusza, Cate Kord!

Wyciągnął Cate przed tłum i Connor ze zdumieniem zobaczył, jak się zaczerwieniła, kiedy piraci wiwatowali na jej cześć. Dołączył do tych okrzyków, a wraz z nim Bart, który nie mógł się oprzeć, by nie dodać jeszcze jednego „Hurra” od siebie.

- Dzisiaj oglądaliśmy piękny pokaz działań zespołowych - podjął kapitan. - Każdy z was odegrał swoją rolę i za to dziękuję wam wszystkim. Ale szczególny hołd pragnę złożyć pewnemu wyjątkowo dzielnemu chłopcu, który bez lęku wziął dziś udział w swoim pierwszym abordażu.

Poszukał wzrokiem Connora.

- Gdzie pan jest, panie Tempest? Proszę tutaj.

Connor stał znieruchomieły w tłumie, dopóki czyjaś mocna dłoń nie pchnęła go naprzód.

- No idź, kolego, ruszaj się.

Rzędy piratów rozstąpiły się przed nim, robiąc przejście. Wszyscy ściskali mu ręce albo klepali po ramionach.

- To właśnie on - rzekł kapitan. - Zaledwie czternaście lat, a już mistrz, naprawdę mistrz!

Objął Connora za ramię. Wszyscy teraz na niego patrzyli i chłopiec poczuł, że się czerwieni.

- Trzykrotny okrzyk na cześć pana Tempesta, chłopcy. Hip hip...

- Hurra! - wrzasnęli piraci.

Connor patrzył na morze przyjaznych twarzy. Ogarnęło go niezwykle uczucie - uczucie przynależenia.

Po ostatnim „hurra” poczuł smutek. Żałował, że ojciec i Grace nie mogą go teraz zobaczyć. On i Grace nigdy nie pasowali do reszty mieszkańców Zatoki Księżycowej; nikt prócz ojca nie cieszył się z ich sukcesów. Mimo jego sportowych zdolności, nie był przyjaźnie witany w drużynach. Inni chłopcy patrzyli na niego podejrzliwie, jak na dziwaka, syna odludka z latarni.

Tutaj stał się częścią grupy. Spojrzał na Cate i Barta - oboje patrzyli na niego z dumą. Nawet Cheng Li klaskała w dłonie i kiwała głową. Uświadomił sobie nagle, że nie tylko należeli do jednej załogi - byli jego przyjaciółmi.

- No dobrze - rzekł kapitan Wrathe, gdy Connor wrócił na miejsce. - Nasz dziób wskazuje kierunek na tawernę Mamy Kettle...

Głośnie okrzyki radości powitały te słowa.

-...Zanim jednak zdamy się na łaskę tej wesołej damy i jej antałków i oddamy się wszelkim przyjemnościom z nimi związanymi, musimy załatwić pewną sprawę. Czas, by jakoś podzielić tę cenną zdobycz, prawda?

Connor spodziewał się, że kapitan będzie wybierał pierwszy, jednak Molucco Wrathe nalegał, by pierwsza zrobiła to Cate. Po jej minie poznał, że to nieoczekiwany i zaszczytny przywilej.

Dziewczyna zmierzyła wzrokiem złożone na pokładzie bogactwa. Czy weźmie klejnoty? Może ozdobne zwierciadło? Albo obraz przedstawiający dawny Londyn, jeszcze sprzed potopu?

Cate ominęła te przedmioty i wybrała zwykły worek monet.

- To jest twój wybór? - upewnił się kapitan.

Kiwnęła głową.

Nie próbował jej odradzać. Najwyraźniej szanował Cate oraz to, że wie, czego chce.

Molucco Wrathe zatarł ręce i ruszył wolno, podziwiając kolejne skarby. Wyglądał jak doświadczony nabywca, który bada towar, zanim przystąpi do negocjacji ze sprzedawcą. Ale nie było tu sprzedawcy i nie musiał się targować. Kapitan mógł wziąć, co tylko zechce.

Piraci najwyraźniej dobrze się bawili tym elementem rytuału.

- Tutaj, kapitanie! To piękny obraz.

- Nie, ja bym na pańskim miejscu wziął tego rzeźbionego wieloryba.

- Wspaniały ten zegar!

Po długim namyśle Molucco Wrathe schylił się i ze skrzyni klejnotów wyjął duży szafir. Uniósł go w górę, a piraci krzyknęli z aprobatą. Connor miał wrażenie, że kapitan ani przez moment nie wahał się, co wybrać.

Gwar przycichł, kiedy następny pirat dokonywał wyboru. I cała ceremonia trwała, aż każdy z załogi obejrzał łupy i wziął coś dla siebie. Cała procedura sprawiała wrażenie równie dobrze zorganizowanej jak sam atak.

Connor zastanawiał się, w jaki sposób zrodziła się ta praktyka. Dziwną była myśl, że jeszcze kilka dni temu nic o tym świecie nie wiedział. Słyszał czasem na nabrzeżu historie o statkach pirackich, niekiedy zdawało mu się, że widzi je z okna latarni. A teraz sam był tutaj - jako część tego świata.

Chociaż zaczynał pojmować zasady życia pirata, niektóre jego elementy ciągle budziły w nim niepokój. Nie mógł zapomnieć, że wszystkie rozłożone tu skarby należały kiedyś do jakiegoś bogacza i jego rodziny. Czy bogactwo samo w sobie jest zbrodnią? I czy brak bogactwa jest dostatecznym usprawiedliwieniem do zagrabiania cudzej własności? Jeszcze bardziej komplikowało sprawę przekonanie, że sam kapitan Wrathe na pewno nie należy do ubogich. Obserwując, jak kolejni piraci niosą swoje skarby do schowków na dolnych pokładach, miał czas się zastanowić, czy rzeczywiście ktokolwiek - nawet najbardziej nędzny z pozoru członek załogi - jest tutaj biedny.

- Dalej, panie Tempest, proszę podejść i poszperać sobie.

Na te słowa kapitana piraci wokół Connora cofnęli się, by go przepuścić.

Connor z ociąganiem podszedł do rozłożonych skarbów. Przeglądał zdobycze: zegary, zwierciadła i klejnoty. Wreszcie jego spojrzenie spoczęło na stosie książek. Wzbudziły

wspomnienia domu w latarni. Książki były najcenniejszą rzeczą, jaką posiadał ojciec. Wypełniały wszystkie półki we wszystkich pokojach, czasami w podwójnych rzędach, zbierały się w stosach na podłodze... Sam Connor nie był entuzjastycznym czytelnikiem, ale tęsknił za ich widokiem wokół siebie. Może gdyby wziął którąś z tych tutaj, przywróciłoby mu to choć część tego, czym żył tato...

Przykucnął i wybrał jeden z tomów. Był to egzemplarz „Piotrusia Pana”, stary, z pięknymi ilustracjami. Całkiem podobny do tego, który ojciec czytał jemu i Grace. Connor przerzucił zacytowane kartki. Książka otworzyła się na stronie tytułowej. Była tam dedykacja.

Connor zamknął książkę. Była prezentem od innego ojca dla jego ukochanego syna. Nie sprowadzi z powrotem ojca Connora. Nic tego nie dokona.

I nagle ogarnął go gniew, że odebrano tę książkę dziecku, do którego należała. Złość na to, że on i Grace musieli uciekać z Zatoki Księżycowej, pozostawiając książki. Gniew, że los odebrał mu ojca. I Grace także. Zbyt wiele było tych przeżyć, zbyt ciężkich. Mógł udawać mężczyznę - pirata - ale naprawdę wciąż był chłopcem i chciał wrócić do domu. Tyle, że ten dom już nie istniał.

- Co się stało, panie Tempest? - zawołał kapitan Wrathe. - Nie znalazł pan niczego, co by pana skusiło?

Connor pokręcił głową. Łzy kłuły go pod powiekami, ale nie chciał, by kapitan Wrathe i załoga widzieli, że płacze. Przecisnął się przez szeregi piratów, chcąc jak najszybciej zostać sam.

Nikt nie zwrócił uwagi na ten incydent i większość z wdzięcznością przyjęła możliwość przesunięcia się jeszcze o cal do przodu, by lepiej widzieć pozostałe łupy.

Connor wyrwał się w końcu z tłumu i wspiął na górny pokład. Znalazł tu ławeczkę na samym dziobie. Za jego plecami piraci roili się przy skarbach, wyglądając bardziej drapieżnie niż kiedykolwiek. Connor odwrócił od nich wzrok i spojrzął w stronę ciemniejącego nieba i morza.

Scena pełna spokoju i piękna sprawiła, że znowu zatęsknił za towarzystwem Grace. Tato mówił, że siostra wróci, ale trudno było w to uwierzyć. Skąd mógł wiedzieć, że może zaufać temu głosowi? Czy to naprawdę jego zmarły ojciec, sięgający ku niemu przez czas i przestrzeń, czy raczej coś, co stworzył jego własny umysł? Jak już raz zasugerował mu kapitan Wrathe, mógł przecież pomylić to, co naprawdę czuje z tym, co chciałby czuć.

Wokół wciąż panował spokój i cisza, ale w głowie myśli wirowały szaleńczo, a żołądek zacisnął się w setkę gniewnych węzłów. Czy to znaczy, że Grace nie żyje? Czy zrezygnowała? Co się stało? Czyżby wampiraci ją zabili? Jego obawy i lęki wyrwały się spod kontroli.

Zawsze jednak istniał pewny sposób na takie sytuacje. Connor przymknął oczy i zaczął nucić...

Opowiem wam o...

Przerwał i otworzył oczy. Dawna szanta nie niosła już pocieszenia. Sprawiała tylko, że jeszcze bardziej lękał się o Grace.

Spojrzał w górę, na niebo pełne gwiazd. Wrócił wspomnieniem do tych nocy w pokoju lamp na szczycie latarni. Nocy, kiedy w porcie panował spokój, a Dexter Tempest sadzał swoje dzieci po bokach i uczył je nazw różnych gwiazd i konstelacji. Patrząc w niebo, Connor wspominał, jak z Grace rozpoznawali je na zmianę. Słyszał dziecięce głosy, wymawiające egzotyczne nazwy:

Andromeda

Baran

Bliźnięta

Byk

Cefeusz

Centaur

Cyrkiel

Delfin

- Tam jest!

Cate i Bart wyrwali go z zamyślenia, siadając po obu stronach.

- Wiesz, Connorze, martwiliśmy się o ciebie - powiedział z troską Bart.

- Po prostu chciałem zostać sam.

Cate kiwnęła głową.

- Miałeś pracowity dzień. I dużo przeszedłeś.

Choć zawsze była dla niego miła, dopiero pierwszy raz naprawdę odkryła swe emocje.

- Trzymaj, kolego - rzekł Bart. - Kapitan pozwolił nam wybrać za ciebie.

Otworzył dłoń i upuścił do ręki Connora srebrny medalion.

- Medalion? - Connor uśmiechnął się i spojrzał pytająco. - To ma być żart?

- To nie dla ciebie - wyjaśnił Bart z poważną miną. - To dla twojej siostry. Kiedy znowu ją zobaczysz.

Connor był zbyt wzruszony, by odpowiedzieć. Zamknął oczy i mocno ścisnął medalion.

- No wiesz... - wymamrotał Bart. - Cate i mnie przyszło do głowy...

Jego głos ucichł nagle.

- Uważamy, że jeszcze za wcześnie, by tracić nadzieję - dokończyła Cate, przychodząc mu na ratunek.

Connor poczuł, że łyży przestają już mu grozić.

- Nie tracę nadziei. Nigdy jej nie stracę. Rozpiął łańcuszek i zapiął go znowu na szyi. - Nie wygląda to dziwnie? - zapytał. - Nie, kolego, jak dla mnie pasuje. - Wcale nie dziewczynsko - dodała Cate, przyjaźnie kręcąc głową. - Ale w tawernie lepiej go schowaj - poradził Bart. - Wiele tam jest złych oczu i lepkich palców, a niektórzy mogliby zabić za taką błyskotkę.

Connor wsunął medalion pod koszulę. Metal na sercu był chłodny i kojący. Zdawało się, że to najlepsze dla niego miejsce.

- A w ogóle, co to jest ta tawerna Mamy Kettle? - zapytał. - Wszyscy się tym podniecają, a ja w ogóle nie wiem, czego się spodziewać.

- Prosta sprawa - odparł Bart. - Jedyne, czego w tawernie Mamy Kettle można być pewnym, to że trzeba się spodziewać niespodziewanego. To miejsce, gdzie przybywają wszystkie załogi pirackie z tego regionu, żeby się wyładować. Mają dobre napitki i złe towarzystwo. Popatrz tam. Jesteśmy już blisko.

Connor podążył wzrokiem we wskazanym kierunku. Rzeczywiście. Z ciemnego aksamitu nieba wyłaniał się kontur linii brzegowej. W dali wyrastał skalisty występ, niby kanciasta bryła węgla.

W ciemności błyskało światło neonu, z początku słabe i maleńkie, ale rosnące i mocniejsze w miarę, jak statek zbliżał się coraz bardziej.

- To właśnie Mama Kettle - oznajmił Bart. - Lepiej się przygotuj, kolego. Czeka cię noc, jakiej długo nie zapomnisz.

Connor odruchowo objął ramionami Cate i Barta. Ich podarunek wzruszył go bardzo.

W głowie raz jeszcze usłyszał głos ojca.

- Zaufaj fali przyływu, Connor. Bądź gotów. Już ci mówiłem.

- Tak, tato - odpowiedział, nie otwierając ust.

A potem znów zaczął żartować z nowymi przyjaciółmi.

Rozdział 29

Przygotowania do bankietu

- Dlaczego przedtem tak chłodno mnie potraktowałeś? - Grace musiała mu zadać to pytanie. - O czym ty mówisz? Ze smutkiem zwiesiła głowę. - Wiesz przecież. Lorcan zmarszczył brwi, ale odpowiedział łagodnym tonem. - Próbowałem tylko odciągnąć od ciebie porucznika Sidora. Byłoby lepiej, gdyby w ogóle cię nie widział. - Dlaczego? - Przecież już ci tłumaczyłem, Grace. Prawda? To nie jest zwyczajny statek i nie ma zwyczajnej załogi. Może i nie wyglądamy inaczej niż tacy jak ty, ale mamy potrzeby, których nie potrafisz pojąć.

Teraz, kiedy już wiesz, jaki to statek, sądziłem, że będziesz bardziej uważać.

- Na co uważać? - Grace przygotowała się do zagrania swoją atutową kartą. - Kapitan powiedział, że nic mi nie grozi.

- Doprawdy? - Lorcan przeszył ją spojrzeniem swych błękitnych oczu. - I pewnie powiedział ci także, żebyś włożyła się po pokładach i zawierała znajomości z połową załogi?

Grace zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

- Nie, nie powiedział.

- Tak właśnie myślałem.

- Prosił tylko, żebym wróciła przed Dzwonem Mroku. Ale zasnąłam w kubryku.

Lorcan patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Byłaś w kubryku? Grace!

- Tak - odparła zniecierpliwiona. - Kapitan naprawdę pozwolił mi rozglądać się po całym statku, bylebym tylko przed Dzwonem Mroku wróciła do kajuty.

- Ale postanowiłaś go nie posłuchać.

- Nie - zapewniła. - Oczywiście, że nie chciałam być nieposłuszna. Ale w kubryku dostałam zupę i z jakiejś przyczyny mnie to uspiło. Musiałam spać dość długo, bo ledwie się obudziłam, a już uderzył dzwon. Mimo to prawie udało mi się wrócić na czas, ale wpadłam na

pannę Flotsam, a ona zaczęła ze mną rozmawiać, więc nie chciałam być niegrzeczna, a potem, zanim się zorientowałam...

Lorcan wstał i gniewnym gestem odsunął krzesło z impetem.

- Zanim się zorientowałaś, prowadziłaś już miłą pogawędkę z porucznikiem Sidoriem?

- Nie nazwałabym tego pogawędką - odparła Grace, zaskoczona agresją chłopaka.

Lorcan zasłonił oczy dłońmi i z desperacją pokręcił głową. Potem opuścił ręce.

- Nie widzisz tego? Nie rozumiesz? Staramy się ciebie chronić, ale ty w tym nie pomagasz!

- Ale przed czym chcecie mnie chronić? - spytała Grace. - Sam kapitan mi powiedział, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Lorcan westchnął i zaczął krążyć przed nią tam i z powrotem, aż zdołał uporządkować myśli.

- Kapitan to wspaniały człowiek i nigdy nie zrobiłbym niczego, co mogłoby podważyć jego autorytet. Wiele lat temu zaczął dowodzić tym statkiem; dał mnie i takim jak ja spokój, jakiego nie spodziewaliśmy się znaleźć. Zaspokaja nasze potrzeby podczas cotygodniowych uczt. Ale... - Nabrał tchu.

- Są na tym statku tacy, którzy uważają inaczej. Woleliby nie ograniczać zaspokajania głodu do jednego posiłku w tygodniu. Chcieliby sami decydować, ile i jak często. Uważają, że nadszedł czas, by robić wszystko inaczej. Prawda jest taka, że nie mam pewności, czy kapitan w ogóle może jeszcze udzielać ci jakichkolwiek gwarancji bezpieczeństwa.

Usiadł zasmucony. Nie mniej niż Grace wydawał się zaskoczony własnymi słowami.

- Do niedawna, Grace, w ogóle bym o takich sprawach nie myślał, ale zjawiłaś się wśród nas w okresie wielkich przemian i nic już nie jest pewne. A tutaj, w głębi - stuknął palcem w pierś - gdzie kiedyś miałem serce, zaczynam nabierać przekonania, że im prędzej opuścisz ten statek, tym lepiej.

Widziała cierpienie na jego twarzy. Zdała sobie sprawę, że popełniła błąd, nawet przez chwilę wątpiąc w Lorcana Fureya. Naprawdę chodziło mu jedynie o jej dobro. Ale teraz wzbudził w niej lęk. Jeśli nie potrafi jej ochronić... Jeśli nawet kapitan nie zdoła... Co wtedy?

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, ktoś zastukał. Serce Grace uderzyło gwałtownie. Oboje z Lorcanem odwrócili się w stronę drzwi, uświadamiając sobie nagle, że wchodząc, nie zamknęła ich na klucz. A teraz gałka w kształcie globusa przekręciła się i zgrzytnęły zawiasy.

Panna Flotsam wbiegła do kajuty, ciągnąc za sobą zapach świeżych róż. W ręku trzymała kilka sukien na obszytych jedwabiem wieszakach.

- Obiecałam, że pożyczę ci coś ładnego na Ucztę - zwróciła się do Grace. - A ja zawsze dotrzymuję słowa. Lorcan pokręcił głową z nieukrywaną ulgą i niedowierzaniem. - Proszę nic nie mówić - rzuciła mu panna Flotsam. - Gdyby orientował się pan cokolwiek w kobiecym punkcie widzenia, kadecie Furey, wiedziałby pan, że my, damy, chcemy być dumne z naszego wyglądu. Prawda, Grace?

Przymierzając do niej kolejne suknie, panna Flotsam przyglądała się Grace z miną artysty.

- Stanowczo nie jasnoniebieska - stwierdziła, odkładając suknię w tym kolorze na łóżko i sięgając po następną.

Żadna z nich nie wzbudziła u Grace zachwytu. Mogła sobie wyobrazić, że wszystkie pięknie by wyglądały na pannie Flotsam, ale ona sama musiała mocno wysilić pamięć, by sobie przypomnieć, kiedy w ogóle ostatnio chodziła w sukience. A już z pewnością nigdy w życiu nie nosiła tak wyszukanej jak te, z szyfonem, jedwabiem, paciorkami i perłowymi guzikami.

- Myślę, że albo różowa, albo ta bladożółta - uznała panna Flotsam. - Rzućmy okiem, jak w nich wyglądasz, i wtedy wybierzemy.

Zaczęła zdejmować suknie z wieszaków. Grace nie miała ochoty przymierzać ani jednej, ani drugiej. Spojrzała błagalnie na Lorcana.

- Grace nie potrzebuje takich toalet - oznajmił.

- Nie idzie dziś wieczorem na Ucztę.

Panna Flotsam odwróciła się zaskoczona.

- Nie idzie? Przecież to śmieszne! Wszyscy idą na Ucztę.

Lorcan pokręcił głową.

- Ale nie Grace.

- To niemożliwe - uznała panna Flotsam i mimo wszystko podała Grace bladożółtą suknię.

Lorcan wyjął jej suknię z rąk.

- Grace nie idzie na Ucztę, Darcy. Rozkaz kapitana.

Zdawało się, że wymówił magiczne zaklęcie. Panna Flotsam szybko wzięła od niego suknię i starannie zapięła wszystkie guziki. Przytuliła ją do siebie, jakby żegnała się z drogą przyjaciółką.

- Taka piękna sukienka - szepnęła z jawnym smutkiem.

Grace miała wrażenie, że jej znajoma za chwilę się rozpłacze.

- Może sama ją włożysz, Darcy? - zaproponował delikatnie Lorcan. - Powinnam? Kiwnął głową. - Biegnij się przebrać, ale szybko. Słyszę już, że zaczyna grać muzyka. Grace także ją słyszała. Był to dziwnie spokojny utwór perkusyjny. Zasadniczy rytm przypominał bicie serca, z nałożonym na niego bardziej natrętnym kontrapunktem. Po chwili przypomniała sobie odgłosy, jakie słyszała podczas swej pierwszej nocy na pokładzie.

- Tak, pójdę zaraz i się przebiorę - rzekła panna Flotsam, na wpół do siebie.

Chwyciła żółtą suknię i ruszyła do drzwi.

Zanim jednak do nich dotarła, znowu się otworzyły. Panna Flotsam stanęła jak wryta. Wielki czarny cień wypełnił dużą część kajuty, przesłaniając światło...

Sidorio przestąpił próg.

Z okrutnym uśmiechem spoglądał to na pannę Flotsam, to na Grace, to na Lorcan.

- Cóż to, kadecie Furey? Wiem, że żaden z ciebie mężczyzna, ale czyżbyś teraz dyskutował z paniami o modzie?

Lorcan nie odpowiedział, tylko przesunął się w stronę Grace. Zrozumiała, że zajmuje pozycję, by jej bronić.

- Ogłuchliście na muzykę? - spytał Sidorio. - Uczta zaraz się zacznie.

- Istotnie - zdawkowo przyznał Lorcan. - Zaraz tam będę.

- Nie mówiłem do ciebie, panie Furey. Mówiłem do donora.

Jego ciemne oczy wpatrywały się w Grace. Teraz naprawdę była przerażona. Muzyka zabrzmiała głośniejsze i nad podwójnym rytmem perkusji dał się słyszeć głos fletu.

- Grace nie jest donorem - oświadczył Lorcan.

- To pomyłka.

- Nie ma żadnej pomyłki - warknął Sidorio.

- Stary Nathaniel nie jest w stanie przyjść dzisiaj na Ucztę. A przy stole nie może być wolnych miejsc. Zresztą, tej chudej znajdzie przydałby się dobry posiłek.

- Grace nie jest donorem - powtórzył Lorcan, stając przed Sidoriem, choć tamten był niemal dwa razy większy.

- A ja mówię, że jest. I tak samo mówi kapitan.

Lorcan pokręcił głową.

- Kapitan nigdy by...

- Jeśli mi nie wierzysz - przerwał mu Sidorio - to idź i sam go zapytaj. Albo lepiej chodźmy razem i zostawmy panie ich fatalaszkom.

Spojrzał pogardliwie na Lorcana. - Chyba że chcesz tu zostać i wplatać im wstążki we włosy? Zaśmiał się lekceważąco i wyszedł z kajuty. Panna Flotsam nadal stała nieruchomo jak wrośnięta w podłogę.

Lorcan spojrzał na Grace okropnie udręczonym wzrokiem.

- Przykro mi, Grace. Nie chciałem, żeby do tego doszło.

- Nic nie szkodzi - odparła, mimo zdenerwowania, spokojnym głosem. - Nie szkodzi. Wiem, że zrobiłeś, co tylko możliwe. Jeśli tak być musi, niech tak będzie. Panno Flotsam, jednak pożyczę tę żółtą suknię. Skoro już idę na Ucztę, to chcę wyglądać jak należy.

Rozdział 30

Uczta

W muzyce było coś uspokajającego. Grace słyszała ją lepiej, gdy w bladożółtej sukni wyszła ze swej kajuty. Oczywiście, suknia była na nią trochę za długa, ale panna Flotsam pokazała jej, jak zebrać fałdy i trzymać je w dłoni. Idąc teraz korytarzem, ubrana bardziej elegancko niż kiedykolwiek w życiu, Grace czuła się trochę jak panna młoda, a trochę jak owca przeznaczona na ofiarę. Mimo to regularny rytm bębnow uspokajał ją.

Panna Flotsam musiała ją opuścić.

- Wampiry i donorzy nie wchodzą na ucztę jednocześnie - wyjaśnił Lorcan. - Donorzy przybywają pierwsi.

Teraz Grace wracała korytarzami i schodami coraz dalej w głąb statku, w miejsca, które tak niecierpliwie badała za dnia. Przed nią z kajut wychodzili inni donorzy. Pod każdym względem wyglądali jak zwykli ludzie, choć była w nich jakaś ospałość, apatia, jak gdyby ktoś już wyssał z nich krew. Co oczywiście się działo, raz w tygodniu. Najwyraźniej odbijało się to na nich - może wszyscy staną się w końcu tacy jak nieszczęsny Nathaniel, niewiele się różniący od pustej skorupy.

Wszyscy wydawali się starsi od niej. W pewien sposób rozbudziło to w niej nadzieję - może jest za młoda, żeby być prawdziwym donorem. Tylko że Sidorio chyba tak nie uważał. Szła więc dalej, próbując uśmiechać się nerwowo do innych.

Po wyjściu Sidoria niewiele już miała czasu, by wypytać o wszystko, co chciała wiedzieć. Gdy jednak panna Flotsam zajęła się jej garderobą, Lorcan obiecał, że porozmawia z kapitanem. Nie mógł uwierzyć, że zmienił zdanie w kwestii Grace - to na pewno jakaś intryga Sidoria. W ostatnich słowach przypomniał jej tylko, że nawet gdyby miała być donorem, nie zostanie śmiertelnie zraniona.

To w końcu kwestia opinii, myślała Grace. Wiedziała, że nie zginie - ale będzie musiała oddać komuś część swojej krwi. Może Sidorowi. I szczerze mówiąc, czy to los aż tak lepszy od śmierci?

Stłumiła wszystkie te myśli, kiedy dotarła do ostatniego korytarza i za innymi donorami podążyła do jadalni. Było to wielkie pomieszczenie, przypominające wytworną salę balową, oświetloną kryształowymi żyrandolami. Długi bankietowy stół ciągnął się aż pod ścianę. Był nakryty damaszkowymi obrusami, na których rozłożono piękną porcelanę, rżnięte szkło i lśniące srebrne sztuce. Jednak nakrycia leżały tylko po jednej stronie.

Po tej stronie ustawiali się donorzy. Zatrzymywali się przy krzesłach i stali nieruchomo, czekając, wciąż przy dźwiękach hipnotycznej muzyki. Wzdłuż osi stołu stała długa linia migoczących świec. Nikt się nie odzywał.

Po chwili przybyły wampiry. Każdy z nich, jak wyjaśnił jej Lorcan, był przypisany do jednego donora i teraz szukali swoich towarzyszy. A kiedy ich znajdowali, stawali naprzeciw, kłaniali się uprzejmie i siadali po dwóch stronach stołu.

Grace patrzyła, jak wchodzi panna Flotsam, która szybko odszukała mężczyznę będącego jej donorem. Dygnęła nisko i uśmiechnęła się słodko, nim zajęła miejsce naprzeciwko. Po chwili do sali wkroczył Lorcan. Twarz wciąż miał zmartwioną i spojrzał na nią niespokojnie, nim odnalazł swojego donora i skłonił się oficjalnie przed młodą kobietą. Oni także usiedli.

I tak to trwało. Każdy z wampirów przebiegał wzrokiem szereg przy stole i powtarzał ten - właściwie pełen gracji - rytuał. Grace przypomniała sobie wędrówkę po statku i próby policzenia członków załogi - było ich więcej, niż sobie wtedy wyobrażała. Jadalnia ciągnęła się chyba przez całą długość statku.

Po chwili tylko garstka donorów stała jeszcze obok krzesel. A potem już tylko dwoje - ona i mężczyzna obok, na samym końcu stołu.

Wreszcie pojawiły się ostatnie dwa wampiry. Sidorio maszerował z typową dla siebie arogancją, kilka kroków przed kapitanem. Pozostały im tylko dwa wolne miejsca - naprzeciw Grace i jej sąsiada. Z narastającym poczuciem grozy Grace czekała, aż Sidorio się zbliży. I gdy uniosła głowę, stał już przed nią. Nie uśmiechnął się i nie ukłonił, skinął tylko niedbale głową. U innych wampirów dało się dostrzec uprzejmość i szacunek dla donorów - być może w uznaniu dla nadchodzącej ofiary - ale Sidrio niczego takiego nie okazywał. Odsunął tylko krzesło i już miał usiąść, kiedy stanął obok niego kapitan.

- Nie, poruczniku. Może usiądzie pan obok?

Grace z ulgą usłyszała znajomy szept.

- Tutaj mi dobrze, kapitanie. Już wybrałem mojego nowego donora. - Sidorio nie wypuszczał krzesła ze swoich rąk.

- Nie, poruczniku. Nalegam. Proszę zamienić się ze mną miejscami.

I chociaż był tylko szeptem, głos kapitana brzmiał rozkazująco. Sidorio spojrzał wzdłuż stołu, najwyraźniej oceniając możliwe wyjścia. Kapitan czekał cierpliwie.

W końcu porucznik odsunął się na bok, ledwie kiwnął głową mężczyźnie obok Grace i usiadł.

Kapitan skłonił się nisko, odsunął poły płaszcza i zajął miejsce przed nią. Grace nie była pewna, czy została uratowana, czy też czeka ją inny, ale równie straszny los. Mimo to z pewną satysfakcją przyjęła porażkę Sidorio. Uśmiechnęła się do niego przez zaciśnięte zęby.

- Nie kuś go, Grace...

Słowa kapitana odezwały się w jej głowie, więc odwróciła się szybko, skupiając uwagę na muzycznym rytmie.

Bankiet był niezwykle wykwintny. Nic dziwnego, że kucharka i Jamie tak się denerwowali. Każdemu z donorów serwowano prawdziwe kulinarne rozkosze. Zaczęło się od piezonego homara, który, zdaniem Grace, sam wystarczyłby za cały posiłek. Wciąż zbierała z talerza jego wspaniałe soki, kiedy zabrano jej nakrycie i podsunięto następne, ze stekiem i całą tęczą warzyw - od pomidora poprzez dynię po cukinię. Mięso rozpływało się w ustach, tak samo jak poprzednio homar. I tak jak wcześniej, przy zupie, Grace ogarnął wielki i zadziwiający głód. Nie mogła zrozumieć, w jaki sposób kucharka potrafiła przygotować równocześnie tyle dań, mając tylko Jamiego do pomocy. To była prawdziwa tajemnica.

Bankiet trwał nadal, a tu i ówdzie rozległy się uprzejme pogawędki. Nie było jednak ogólnej rozmowy. Wampiry odzywały się tylko do swoich donorów, jak gdyby nie siedziały przy długim stole, ale przy dwuosobowych stolikach. Grace słyszała, jak panna Flotsam trajkocze bezustannie, nie zostawiając przeznaczonemu jej donorowi czasu na odpowiedź. Trochę dalej widziała, jak Lorcan kiwa głową i uśmiecha się do młodej kobiety. Czując ukłucie zazdrości, próbowała odgadnąć, o czym mówią. Uważała Lorcana za kogoś bliskiego i dziwnie było patrzeć na niego, będącego w tak zażyłych stosunkach z kimś innym.

Sidorio nie próbował się nawet odzywać, mimo godnych podziwu prób sąsiada Grace, by wciągnąć go w rozmowę. Burczał tylko, mamrotał niezrozumiale i co chwila bębnił po stole wielkimi palcami. Nawet Grace dostrzegła jego zawód. Było tylko kwestią czasu, kiedy ogarnie go wściekłość.

Co do kapitana, ten również mówił niewiele. Wydawał się czymś pochłonięty. Może właśnie Sidorio był przyczyną jego zamyślenia? To zrozumiałe: jeśli Lorcan się nie mylił, Sidoriovi niewiele już brakowało, by rzucić wyzwanie władzy kapitana.

Ale choć się do niej nie odzywał, w jego obecności Grace czuła się bezpieczna. Poznawała zmarszczenie maski, oznaczające uśmiech. Dodawał otuchy w stopniu dostatecznym, by mogła rozkoszować się każdym kęsem jedzenia i nie martwić zbyt tym, co nastąpi później.

Przez cały czas grała ta sama muzyka, nigdy jednak nie stała się nużąca ani monotonna. Po deserze - mocno aromatycznej galaretki owocowej - muzyka zabrzmiała głośniej. Po raz pierwszy Grace rozejrzała się po sali, szukając muzyków. Nie znalazła jednak nikogo.

Nakrycia znikły i stół był pusty po obu stronach. Pośrodku migotały tylko świece, rzucając ciepły blask na twarze. Po chwili wampir i donor na końcu podnieśli się w idealnej harmonii i razem wyszli z jadalni.

Ich sąsiedzi uczynili podobnie i, niczym fala, kolejne pary wstawały z miejsc i zmierzały do wyjścia. Nikt się nie spieszył, nikt nie zgubił tempa. Grace pomyślała, że zapewne kieruje nimi rytm muzyki.

Wreszcie przyszła kolej na nią. Sidorio i jego donor ruszyli do drzwi, więc ona i kapitan podnieśli się i znowu stanęli naprzeciw siebie. Potem odwrócili się i poszli wzdłuż stołu, po obu jego stronach.

Serce Grace biło szybko. Choć starała się uspokoić je, doprowadzić do zgodności z równym rytmem bębnow, wciąż wrywało się jak ryba, która nie daje się schwytać.

Wreszcie, gdy dotarli do drugiego końca stołu, kapitan podał jej ramię. Odruchowo chwyciła, go pod rękę, jakby chciała z nim zatańczyć. W progu kapitan obejrzał się i wszystkie świece w sali zgasły równocześnie.

Potem, przez swą bezokłą maskę, rzucił Grace długie i przenikliwe spojrzenie.

- Nie lękaj się, dziecko - szepnął.

Odwrócili się, ruszając w ślad za tamtymi, i w milczeniu skierowali się do jego kajuty.

Rozdział 31

Głód

W kajucie kapitan zajął miejsce w swoim fotelu na biegunach przed kominkiem. Pelerynę, jak przedtem, ułożył starannie w równe fałdy. To mogłaby być miła scena, pomyślała Grace. Gdyby nie był kapitanem statku wampirów. Gdyby miał ludzkie oczy i wargi, i nos do wdychania i wydychania powietrza, zamiast mrocznej pustki w miejscu, gdzie powinna być twarz. Gdyby we wszystkich innych kajutach reszta załogi nie zaspokajała swego głodu krwi. Tak, gdyby nie to wszystko, scena mogłaby być naprawdę miła.

Jaki los ją czeka, zastanawiała się, gdy dokładał do ognia, a skóra na tylnej części jego głowy przypominała, że wciąż zachował jakieś związki ze swą ludzką formą. Uratował ją przed Sidoriem, owszem, ale może naprawdę nie została ocalona, a tylko wymieniona. Może wykorzystał swą kapitańską władzę, by mieć jej krew dla siebie. Kiedy szli korytarzami, Grace widziała, jak zamykają się kolejne drzwi, gdy wampiry wchodziły za donorami do kajut. Donorzy wchodziłi pierwsi, bez wyjątku, jak zauważyła. Tak, jakby robili to z własnej i nieprzymuszonej woli. Albo może by nie mogli uciec...

- Drzysz, moje dziecko. Usiądź obok mnie przy ogniu.

Jak poprzednio szeptał się docierać bezpośrednio do mózgu.

Gdy Grace podeszła niepewnie, zwrócił ku niej twarz swej maski.

- Ach... Widzę, że to nie chłód jest przyczyną drżenia. Czemu więc? Powiedziałem przecież, że nie masz się czego obawiać.

Raz jeszcze dziewczynka pomyślała o zamykających się drzwiach. I o tym, jak donorzy z apatią przyjmują swój los.

- Co się dzieje w pozostałych kajutach?

- Rzeczywiście, powinnaś wiedzieć. Może więc usiądź tu wygodnie, a ja postaram się odpowiedzieć na twoje pytania.

Potrafił mówić spokojnie i rozsądnie, jakby omawiali zadania w jej pracy domowej, a nie okrutne akty, rozgrywające się teraz na całym statku.

Grace usiadła w fotelu na biegunach obok niego, ale na samym brzegu, stawiając stopy na podłodze, by fotel się nie kołysał.

- Jak sama widziałaś, dziecko - zaczął - każdy z członków załogi ma swojego donora. Muszę cię zapewnić, że bardzo o nich dbamy. Są obficie karmieni i mają wszelkie wygody.

To kwestia dość dyskusyjna, pomyślała Grace. Jakie można mieć wygody, jeśli co tydzień trzeba oddawać komuś własną krew?

- Dobre pytanie - stwierdził kapitan. Grace zdenerwowała się trochę łatwością, z jaką odczytywał jej niewypowiedziane myśli. - Ale moment dzielenia się, jak to nazywamy, wcale nie jest bolesny i trwa raczej krótko.

Grace uniosła stopy z podłogi i usiadła głębiej, wygodniej. Natychmiast poczuła senność i stłumiła ziewnięcie.

- Dieta donorów jest bardzo starannie dobrana, niezwykle bogata w składniki odżywcze. Dlatego właśnie - dodał z uśmiechem - może powodować senność.

Grace otrząsnęła się i uniosła głowę. Kapitan mówił dalej.

- Takie pożywienie może być wstrząsem dla organizmu. Ale domyślasz się zapewne, że jego efektem jest bardzo wysoka jakość krwi. W ten sposób udało nam się ograniczyć dzielenie się do jednego razu w tygodniu. Robimy to podczas specjalnej uczty, rytuału. Jak sądzę, nie tylko po to, by jak najbardziej zwiększyć odżywczą wartość krwi, ale też by okazać szacunek donorom. Jesteśmy im wdzięczni za ich dar: dar życia. Co tydzień, rozumiesz, załoga się odradza.

Przerwał i znowu dołożył do ognia.

- A jeśli ktoś z załogi chce pić więcej krwi? Albo częściej?

- Nie ma takiej możliwości, Grace, dopóki ja tu jestem kapitanem. Nie potrzebują ucztować częściej, nie potrzebują więcej niż pewna dawka krwi. Więcej byłoby zagrożeniem nie tylko dla donora, ale i dla nich samych. Zakłóciłoby równowagę, spowodowało... jak to się określa? Huśtawkę nastrojów. Kłopot, widzisz, polega na tym, że im więcej krwi pijesz, tym więcej wydaje ci się, że potrzebujesz. Ale istnieje bardzo poważna różnica między tym, czego ci trzeba, a tym, czego wmawiasz sobie, że pragniesz.

- Ale co by się stało - Grace nie ustępowała - gdyby znalazły się pod pańską komendą wampiry, które chciałyby pić krew w sposób mniej kontrolowany?

- Musiałyby opuścić statek i same radzić sobie w świecie. Tutaj tak nie postępujemy, Grace. Wampiry stały się obiektem wielu oszczerstw. Byliśmy demonizowani. Przypomnij sobie choćby tę szantę:

O tak, okrutni są piraci, wampiry znaczą śmierć... Wiesz dobrze, że to prawda. I oczywiście rozumiem przyczyny takiej postawy. Czuliśmy głód i wokół niego obracała się cała nasza egzystencja. Ale ja odkryłem inne wyjście. I sam nie potrzebuję już krwi.

Ta informacja uspokoiła Grace. Zaczęła z wolna prostować zaciśnięte na poręczach palce. Ale jak to możliwe?

- Są wśród nas tacy, którzy to potrafią... Pragnienie krwi jest tak naprawdę łaknieniem prany, energii. Nauczono mnie, bym żywił się nią bezpośrednio.

- Czyli pobiera pan od donora energię?

- Ja nie mam donora, Grace - odparł. - I nie, nie szukam go, więc możesz się uspokoić. Przyjmowanie prany odbywa się inaczej. Jest dość skomplikowane, więc sądzę, że zostawimy ten temat na inną okazję. Pewnie już w głowie ci się kręci od wszystkiego, co widziałaś i słyszałaś dzisiejszej nocy. Wydajesz się zmęczona i muszę ci wyznać, że ja również tak się czuję. Ale pozwól się zapewnić, że to naturalne zmęczenie i nie muszę pobierać od ciebie energii. Mam nadzieję, że wyjaśniłem twoje wątpliwości i teraz będziesz mogła wrócić do siebie i odpocząć.

- Tak. - Grace wstała z fotela. - Tak, wyjaśnił pan. Dziękuję.

- To dobrze. - Usiadł wygodnie i spuścił głowę na pierś.

Ogień przygasł lekko. Grace wydało się, że żyły w jego płaszczu lśnią delikatnie, ale może tylko odbijały żar z kominka.

Odwróciła się cicho i podeszła do drzwi. Już w progu usłyszała w myślach słowa:

- Lubię te nasze rozmowy, Grace.

Uśmiechnęła się.

- Ja także. Miłych snów.

Pchnęła drzwi i wyszła na ciemny, opustoszały o tej porze pokład.

Dmuchała lekka bryza i Grace znowu stanęła przy relingu. Odwróciła się i spojrzała na żagle statku, tak podobne do skrzydeł. Księżyc zawisł nisko i rzucał na nie swe promienie, aż lśniły niczym peleryna kapitana. Mogłaby przysiąc, że takie same żyłki widziała na spodniej stronie tkaniny. Właściwie co to za materiał? Czy ten sam, z którego zrobiony jest płaszcz kapitana?

- Mamy dziś pełnię, co?

Nie była już sama. Nie oglądając się nawet, rozpoznała ten głos. Należał do Sidorio. Krew zastygła jej w żyłach.

- A kiedy księżyc jest w pełni, cierpię głód.

Odwróciła się i zobaczyła coś bardziej przerażającego, niż mogła się spodziewać. W swych potężnych, żyłastych ramionach Sidorio niósł człowieka - mężczyznę, który siedział naprzeciw niego podczas Uczty. Bezwładny, sprawiał wrażenie śpiącego, jednak promień księżyca ujawniał, że z tego snu nie zbudzi się już nigdy. Sidorio wyssał mu zbyt wiele krwi.

Wampir przeszedł po czerwonych deskach pokładu i bez chwili wahania rzucił ciało za burtę. Grace usłyszała plusk, gdy wpadło do wody. Dźwięk niczym wystrzał odbił się echem w jej głowie. Nigdy jeszcze nie czuła się tak zagrożona. Nigdy nie była tak całkowicie samotna.

Sidorio podszedł do niej. Kiedy stanął w świetle księżyca, zobaczyła, że twarz znowu ma zniekształconą, oczy jak otchłanie czerwonego ognia.

Najwyraźniej wciąż cierpiał straszliwy głód. Krew nieszczęsnego donora nie zaspokoila go, ale - tak jak przepowiedział kapitan - zbudziła nienasycony apetyt.

Grace nie mogła uciekać. Samo ustanie na nogach kosztowało ją tyle wysiłku, że odebrało wszelką energię i chęć oporu.

Sidorio rozchylił wargi w straszliwym uśmiechu, a światło błysnęło na dwóch złotych zębach, ostrych jak sztylery.

- Chodźmy do twojej kajuty - powiedział.

Rozdział 32

Tawerna Mamy Kettle

Bart i Cate nie kłamali. Tawerna Mamy Kettle nie przypominała niczego, co Connor w życiu oglądał. Kiedy zeskoczył na nabrzeże, Bart klepnął go w plecy.

- Witaj po ciemnej stronie - szepnął mu do ucha. - Jak ci się tu podoba?

To było naprawdę niesamowite - połączenie starego pubu i mola. Ustawione na drewnianych palach jakieś cztery metry ponad wodą, wyglądało całkiem niestabilnie, jakby lada moment cała konstrukcja miała zapaść się i zatonać w morzu. Z tyłu umieszczone było wielkie koło wodne, obracające się z głośnym pluskiem, niczym morski potwór wypijający wodę oceanu i wypluwający ją na powrót.

Gdy Connor podążył za Bartem i Cate do tawerny, spojrzął w dół, pod nogi. W pomoście były fragmenty z solidnych desek, na których stały długie stoły i ławy. Między nimi jednak ziały szerokie szczeliny, odsłaniające wodę. Nie było jasne, czy drewno przegniło z czasem, czy po prostu zabrakło go, by porządnie ułożyć podłogę.

Całkiem łatwo, myślał Connor, byłoby spaść przez te deski... Rzeczywiście, idąc ostrożnie, zauważył w dole więcej niż jednego podpitego pirata, chlapiącego się w wodzie. Z drewnianych belek w regularnych odstępach zwisały liny, zapewne po to, by ci, którzy spadną, mogli wspiąć się z powrotem - jeśli potrafią. Jeśli nie, ich szalona noc w tawernie kończyła się przedwcześnie.

Nieustraszone służące biegały po wąskich deskach zwinnie i pewnie jak gimnastyczki, donosząc czekającym piratom kufle spienionego piwa. Jednak nie należało ich zaczepiać. Bart szturchnął Connora znacząco, widząc, jak Bezzębny Jack szepcze coś do ucha jednej z dziewcząt. Odsunęła się, uśmiechnęła do niego, po czym energicznie zepchnęła z pomostu. Odskoczyła przed fontanną wody i ruszyła dalej. Mrugnęła porozumiewawczo do Barta i Connora.

- To powinno go otrzeźwić - powiedziała zadowolonym głosem.

- Po prawdzie to jeszcze nie zaczął pić - zauważył Bart.

Dziewczyna ze śmiechem pokręciła głową.

- Spotkamy się później, chłopcy. Gdybyście czegoś potrzebowali... czegokolwiek... pytajcie o Ciasteczko.

Poszła dalej, a obaj chłopcy spoglądali za nią oczarowani.

- Chyba się zakochałem - oświadczył Connor.

- A niech mnie... - westchnął Bart. - Myślę, że wreszcie znaleźliśmy jakiś powód do niezgody.

- Nie marnujmy czasu, chłopcy - zawołał Molucco Wrathe, obejmując ich za ramiona i popychając naprzód. - Mama Kettle zarezerwowała nam stół, czy może trzy, w sekcji dla specjalnych gości. Zbierzcie załogę i zaczynamy zabawę, zanim pani Li nam powie, że to wbrew przepisom.

O ile Connor mógł to ocenić, zabawa trwała już w najlepsze. Ponad pluskiem wodnego koła słyhać było orkiestrę grającą bardzo hałaśliwą muzykę - dziwną mieszaninę jazzu, rocka i szant. Connor nigdy takiej nie słyshał, ale była głośna i zabawna, jak wszystko dookoła.

Tak jak zapowiadał kapitan, kilka drewnianych stołów odgrodzono linami. Pośrodku stała ciężka drewniana tablica z wymalowanym napisem: „Diablo”. Pod obrazkiem widniały słowa „Zarezerwowane dla kapitana Wrathe’a i jego załogi”.

- Wszyscy ważniejsi kapitanowie takie mają - wyjaśnił Connorowi Bart. - Tak jak ci mówiłem, to miejsce spotkań pirackich załóg z całego regionu. Nie ma drugiego takiego.

Zasiedli na ławach i niemal natychmiast pojawiły się przed nimi dwa kufle pianistego piwa. Bart uniósł swój.

- Do dna!

- Poczekaj chwilę! - To była Cate Kord. - Czy Connor może pić piwo?

- Nie powinien - zgodził się kapitan, siadając przy nich. - Jest o wiele za młody. Dajcie temu chłopcu ponczu!

Cate z niedowierzaniem pokręciła głową, ale uśmiechnęła się.

- Wszyscy mają co pić? - krzyknął kapitan.

- Aye aye, kapitanie! - odpowiedziały mu krzyki z ław, gdzie siedziała już cała jego spragniona załoga.

- Doskonale! - Kapitan wskoczył na stół. - A zatem toast, moi drodzy! Za udany dzień i za najlepszą piracką załogę, jaka pływała po tych morzach!

- Coś ty powiedział, Wrath?

Connor obejrzał się szybko i zdążył zobaczyć, jak któryś z obecnych kapitanów wskakuje na pobliski stół, grmiąc butami o blat przy lądowaniu.

Orkiestra uznała, że szkoda tracić przedstawienie, i ucichła.

Connor rozejrzał się. Trzech innych groźnie wyglądających piratów także wskoczyło na stoły. A potem sześciu następnych.

Niez pomieszany Molucco Wrath uśmiechnął się szeroko.

- Dobry wieczór, koledzy kapitanowie! Widzę, że dzisiejszej nocy lokal Mamy Kettle jest pełny! A jak, jeśli wolno spytać, płynie wam czas tego pięknego wieczoru?

- Płynął całkiem dobrze, dopóki żeś się nie zjawił - krzyknął któryś z tamtych.

Jego załoga ryknęła śmiechem, przytupując.

- A płynąłby jeszcze lepiej, gdybyś przestał sterować tym swoim zadzumionym statkiem na nasze akweny!

- Właśnie! - zgodził się inny. - Wszyscy gramy według reguł, ale tylko ty zygzakujesz po oceanie jak pijany kaszalot!

Znowu huknął śmiech, ale pełen wrogości.

- Panowie! - Kapitan starał się zachować żartobliwy ton. - Może rzeczywiście ostatnio byłem trochę niesforny, ale tutaj...

- Niesforny? - parsknął pierwszy z piratów. - Nie wykręcisz się z tego tak łatwo!

- Właśnie - poparł go drugi. - Chcemy dostać to, co słusznie się nam należy!

- A co wam się słusznie należy?

- Łup, Wrath! Wiemy dobrze, że dzisiaj urządziłeś sobie połów na naszym terenie! I wszystko, co zdobyłeś, należy teraz do nas!

Na te słowa załoga mówiącego wrzasnęła z aprobatą i zaczęła uderzać kuflami o blaty.

- Tak się wyśpisz... - mruknęła Cheng Li.

Connor zauważył, że Cate spojrzała na nią gniewnie. W narastającym hałasie zaczął się obawiać nie tylko o bezpieczeństwo kapitana, ale o samą niepewną konstrukcję tawerny.

Kapitan Wrath wydawał się nieco zaskoczony, ale szybko się opanował.

- Przykro mi, że uraziłem moich towarzyszy piratów. Spotkajmy się zatem rano i spróbujmy jakoś dojść do zgody. Tak? Trudno jest nauczyć starego psa nowych sztuczek, ale spróbuję poprawić swoje nieregularne zachowanie. Jednak dziś wieczorem, chłopcy, dajmy temu spokój. Co?

Spoglądał kolejno na kapitanów. Mieli ponure miny, ale Molucco Wrathe krzyknął znowu:

- Nie wypijecie ze mną toastu? No dalej, niech nikt dzisiaj nie ma do mnie żalu... bo jestem w sentymentalnym nastroju. Podnieście kufle!

Connor rozejrzał się. Krzyki i tupanie ucichły. Wszyscy piraci wpatrywali się w kapitana Diabła. Przypomniawszy sobie, co mówił mu Bart: Molucco Wrathe cieszył się wielką sławą. Najwyraźniej przyjaciel się nie mylił.

- Za życie pirata! - zawołał kapitan, obracając się przy tym, by przemówić do wszystkich załóg.

- Krótkie życie, ale za to wesołe! I jednym haustem wypił piwo. Ciasteczko szybko zabrała jego pusty kufel i podała pełny.

Przez chwilę w tawernie panowała cisza, po czym wszyscy kapitanowie i ich załogi unieśli kufle i zawołali:

- Za krótkie życie, ale za to wesołe!

Znów zatupały buty, a kufle uderzyły o blaty. Każdy wzniósł toast. Cała konstrukcja zadygotała.

Kapitan Wrathe uniósł dłoń, uciszając hałas.

- Gdzie jest Mama Kettle? - huknął. - Chcę każdemu opryszkowi w tej tawernie postawić jeszcze coś do picia! Możecie uznać, że kapitan Diabła jest głupcem, ale niech nikt nie powie, że nie ma gestu!

Zabrzmiały wesołe okrzyki i niemal natychmiast służące przebiegły po belkach, w tajemniczy sposób utrzymując w równowadze tace zastawione spienionymi kuflami. Connor obserwował wszystko zachłannie. Nigdy jeszcze nie widział takiego spektaklu.

- Patrzcie, kogo tu fala przyniosła - odezwał się wyraźny, nieco schrypnięty głos. - I kto narobił takiego hałasu, że wyrwał mnie z drzemki.

Bart szturchnął Connora, który rozlał swoje piwo na stół i na buty.

- Nie chciałbyś tego stracić, kolego.

Connor obejrzał się. Zobaczył oszłamiającą kobietę w szerokiej, czarnej sukni balowej, jak kołysząc biodrami, zbliża się do stołu. Kiedy podeszła, zauważył, że suknia zrobiona jest ze zszytych razem czarnych flag z czaszką i piszczelami. Choć starsza od swoich „dziewcząt”, Mama Kettle była piękną kobietą, z oczami jak klejnoty i szopą krwistoczerwonych włosów, spiętych tiarą w kształcie kordu.

- Zróbcie dziewczynie stopnie - powiedziała, stając obok stołu.

Bez dalszej zachęty sześciu piratów skoczyło na równe nogi, wyciągnęło ramiona i postawiło Mamę Kettle na blacie.

- Dziękuję wam, panowie - rzuciła, dygając z gracją, po czym ruszyła po stole na spotkanie kapitana Wrathe'a.

- Sporo czasu minęło, Lucky - powiedziała, obejmując go serdecznie.

Zdobne szafirami dłonie kapitana przytuliły ją mocno.

Connor zauważył, że Mama Kettle ma z tyłu na sukni haftowaną z kryształów górskich czaszkę i skrzyżowane kości. U kogoś innego mogłoby to się wydać zbyt krzykliwe, jednak do niej pasowało idealnie.

- Kitty... - Kapitan odsunął się i spojrzał na nią rozpromieniony, nie wypuszczając jej dłoni. - Moja słodka Kitty, równie piękna jak wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Kiedy to było? Pamiętasz, moja droga?

- Może nie ustalajmy zbyt dokładnie. - Mama Kettle uśmiechnęła się pięknie. - Ale oczywiście pamiętam ten dzień, kiedy moje oczy pierwszy raz odnalazły mojego Lucky'ego. Byłeś najprzystojniejszym piratem, jakiego widziałam w życiu. I szczerze ci powiem, kochanie, że te lata tylko dodały ci smaczku. Stary rozbójniku.

Connor ze zdumieniem zobaczył, że kapitan Wrathe jest czerwony jak pomidor.

- Kitty, skarbie, wyobraź więc sobie, że mam w załodze nowego chłopaka. Bardzo niezwykłego i zdolnego chłopaka. I strasznie chciałbym ci go przedstawić.

Wskazał ławę, gdzie między Bartem i Cate siedział Connor.

- Och... Witaj, Bartholomew! - Mama Kettle pomachała do nich. - To jest przystojny mężczyzna. Gdybym miała z dziesięć lat mniej... No dobrze, może dwadzieścia czy trzydzieści...

Bart posłał całusa, a ona udała, że go chwyta.

- Dobrze, Kitty, ale spójrz obok tego przystojniaka, na jego młodego sąsiada. Panie Tempest, proszę tu podejść i przedstawić się pirackiej arystokracji.

Connor wstał nieco chwiejnie, wspiął się na stół i podszedł do Mamy Kettle. Nie wiedząc dokładnie, co powinien zrobić, a czując już wpływ wypitego alkoholu, zdecydował się na ukłon.

- Prawdziwy skarb - stwierdziła Mama Kettle.

- Wspaniały młody pirat, od razu widać. A wierz mi, że widziałam ich sporo. Trzymaj się Lucky'ego, młody człowieku, a na pewno nie pobledziesz.

Mrugnęła do Connora, po czym krzyknęła przez ramię.

- Ciasteczko, skarbie, dopilnuj, żeby dziewczęta dzisiaj były wyjątkowo miłe dla pana Tempesta. A gdyby ktoś go próbował zaczepić, przyłóżcie mu i powiedzcie, że ma zakaz wstępu aż do wiosny!

- Aye aye, Mamo - odpowiedziała Ciasteczko, salutując żartobliwie.

- Dziękuję - wymamrotał zaczerwieniony jak burak Connor.

Zszedł ze stołu, mocno zakłopotany poświęcaną mu uwagą.

Mama Kettle odciągnęła kapitana na bardziej prywatną rozmowę podczas tańca.

- No dalej! - krzyknęła na orkiestrę. - Grajcie! Nie za to wam płacę, żebyście stali i się gapili!

- W ogóle nam nie płacisz! - zawołał kontrabasista.

- Och, Johnny, zamknij się i graj! Connor roześmiał się. Ktoś klepnął go w ramię. Obejrzał się i zobaczył za sobą Cheng Li. - Chodźmy się przejść i porozmawiać - rzuciła szybko. Connor wstał, z pewnym trudem utrzymując równowagę. - Lepiej zostaw tu swoje piwo, kolego - zaśmiał się Bart. Cheng Li wyprowadziła Connora z lokalu na ułożony z desek chodnik między rzędami drzew jacarandy, obwieszonych migającymi światełkami. Było tu pusto i - kiedy oddalili się już od baru - znacznie ciszej.

- Minął pełny tydzień od dnia, kiedy cię uratowałam, chłopcze - zaczęła Cheng Li. - I wiele się w tym czasie wydarzyło.

- To prawda - zgodził się Connor.

- Zaimponowałaś mi. Szczególnie dzisiaj.

Pękał z dumy, słysząc te pochwały.

- Okazałeś wielką odwagę, ale także okazałeś miłosierdzie.

Nie był całkiem pewien, czy to komplement.

- Przed atakiem powiedziałam kilka rzeczy. Takich, którymi pewnie nie powinnam cię obciążać. Każde z nas musi samo prowadzić swoje bitwy. Jestem w końcu pierwszym oficerem.

Potarła bransoletę na ramieniu, jakby chciała dodać klejnotowi połysku.

- Gramy w jednej drużynie - odparł Connor.

- Pochlebilo mi, że zechciałaś mi się zwierzyć. I nigdy z nikim nie dyskutowałbym o tym, co usłyszałem.

Cheng Li zatrzymała się w miejscu. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Zasłużysz tym na moją wdzięczność.

- Żaden problem.

Po raz pierwszy Connor miał uczucie, że rozmawia z nią jak równy z równym.

- Ale co najbardziej mi u ciebie zaimponowało, Connorze, to że nie pozwoliłeś, by na twoje postępowanie wpłynęła rozpacz po utracie siostry.

Uśmiechnął się.

- Ale kiedy widzisz, ja wiem, że Grace jest cała i zdrowa. Niedługo do mnie wróci.

- Co ty opowiadasz? Nie rozumiem...

Zmarszczyła brwi.

- Mój tato mi powiedział - wyjaśnił z uśmiechem Connor. - Nie będę już długo czekał.

Grace żyje i wkrótce się spotkamy.

- Przecież twój ojciec... wybacz... nie żyje.

Na jej twarzy pozostał wyraz zdumienia.

- Tak, ale niekiedy słyszę jego głos.

- Słyszysz głos martwego człowieka?

- Tak. Pewnie myślisz, że zwariowałem.

- Nie. - Pokręciła głową. - Umysł mam otwarty na takie kwestie. A co właściwie ci powiedział?

- Niewiele - przyznał Connor. - Żebym był gotów i żebym zaufałem fali przyływu.

- Zaufał fali przyływu? To ciekawe.

- Myślałem, że może tylko sobie to wyobrażam, ale naprawdę tak nie sędzę. To bardzo wyraźnie był jego głos. Słyszę go w sercu. Grace jest zdrowa. Wiem, że jest.

Kiedy wymówił imię siostry, zdawało mu się, że medalion na sercu zadrżał lekko.

- A zatem, Connorze Tempest, odwaga to nie jedyna twoja niezwykła cecha. Po raz kolejny jestem pod wrażeniem. Zastanawiam się... Czy twoja siostra również jest tak uzdolniona?

- O tak - zapewnił. - Jest o wiele mądrzejsza ode mnie. Czyta książki i ma talent do czytania w ludziach. I jest silna... może nie tyle fizycznie, co psychicznie. Grace nigdy się nie poddaje.

Cheng Li pokiwała głową. Dotarli na koniec ścieżki i stanęli nad wodą.

- Można pomyśleć, że to bardzo niezwykła młoda dama. Chciałabym ją poznać.

Cheng Li stanęła przed nim.

- Mówiłam ci już, Connorze - rzekła. - Świat piratów się zmienia. Dla takich jak ty i Grace otwierają się fantastyczne możliwości. Możliwości, o których sama myśl mogłaby cię oszołomić.

Zaintrygowała Connora. Chętnie dowiedziałby się czegoś więcej.

- Porozmawiamy jeszcze. Na razie jednak musimy wrócić do pozostałych. - Oczy Cheng Li błysnęły. - Postawię ci czarkę gorącego ryżowego wina i wypijemy za naszą piękną przyszłość.

Ruszyli z powrotem.

- I jeszcze coś... - odezwała się Cheng Li.

- Tak?

- Myślę, że powinniśmy zatrzymać tę rozmowę tylko dla siebie, Connorze. Wiem, że masz na Diabłu wielu przyjaciół, i to dobrze... Oczywiście, że dobrze. Ale pewnych spraw tacy ludzie jak ty i ja nie mogą dzielić z innymi. To brzemień wielkości. Widzę przed tobą wspaniałą przyszłość. Bez trudu prześcigniesz tych, których dzisiaj uważasz za towarzyszy... a nawet tych, których uważasz za zwierzchników. Ale nie będzie to łatwa droga... Tego się nie spodziewaj. Jednakże łatwa droga nie jest warta skóry twoich podeszew, chłopcze. Tylko szlaki, które sprowadzają cię do samego jądra wydarzeń, wyprawy, które zdzierają ci ubranie z grzbietu, mieszają w głowie i poruszają ducha... tylko takie warto podejmować w życiu. Pokazują nam, jacy jesteśmy naprawdę.

Jej słowa były brutalne, jak często u niej bywało. Gdy jednak szli dalej w przyjaznym milczeniu, Connor pomyślał, że chyba już trochę rozumie, o czym mówiła.

Rozdział 33

Koniec mojej historii

Grace nie opierała się. Po co? Sidorio był zbyt silny, by mogła mu się przeciwstawić. Zamknął za nimi drzwi kajuty, przekręcił klucz i dla bezpieczeństwa wsunął go do kieszeni.

Wypełniał sobą pomieszczenie - nie tylko fizycznie, ale również aurą groźby i przemocy. Nagle pokój nie był już jej sanktuarium, tylko miejscem, gdzie groziło jej niebezpieczeństwo. Tutaj, uświadomiła sobie, może nastąpić nagły i brutalny koniec jej historii.

Aż nazbyt dobrze zdawała sobie sprawę z ciszy na zewnątrz. Nie zauważyła nikogo, kiedy wyszła z kajuty kapitana. Noc skończyła się wcześniej z powodu rytuału dzielenia. Kapitan zasnął. Lorcan się pożywiał. Nawet gdyby zaczęła teraz krzyczeć, nikt jej nie usłyszy. Jediną osobą, która mogłaby ją teraz ocalić, była ona sama. Ale w jaki sposób?

- Czego ode mnie chcesz? - spytała, by mieć już najgorsze za sobą.

Uśmiechnął się z wyższością.

- Twojej krwi, oczywiście - odparł.

Taką bezpośredniość można by pewnie uznać za odświeżającą. Był chyba jedyną poznaną na statku osobą, która nie mówiła zagadkami.

- Ale dlaczego mojej?

Wzruszył ramionami.

- Bo jest. A ja jestem głodny.

Wyraźnie widziała jego twarz. Całkiem jakby była ulepiona z wosku - topiła się i zmieniała. Widziała to do tej pory trzy razy - najpierw u Lorcana, potem na twarzy kucharki, wreszcie przed chwilą u samego Sidorio, na zewnątrz. To pewnie jest oblicze, jakie wszyscy trzymają za zamkniętymi drzwiami, a kiedy narasta w nich głód, ono rozbija te drzwi niczym fala.

- Ale możesz przecież zdobyć krew o wiele lepszą od mojej - oświadczyła Grace, gdy nowa myśl przyszła jej do głowy. - Od niedawna jestem na statku. Przez ten czas zjadłam tylko

jeden pełny posiłek. Moja krew jest mniej odżywcza niż kogokolwiek innego! Na pewno łatwo znajdziesz lepszą!

Zdawało się, że trafia mu do przekonania. Przez chwilę przyglądał się jej z zaciekawieniem... Ale pokręcił głową.

- Krew to krew.

- Kapitan mówił mi co innego. Samo wspomnienie o kapitanie wywołało niechętny grymas na twarzy Sidorio. Może nierozsądnie było o nim mówić, ale Grace nie miała lepszego pomysłu.

- Kapitan lubi ustalać niemądre regułki - rzekł Sidorio. - Lubi te cotygodniowe bankiety. Lubi, kiedy tłumimy nasz naturalny apetyt i udajemy, że jesteśmy cywilizowani. Ale wiesz co? Wcale tacy nie jesteśmy. Jesteśmy wampirami, demonami... nazywaj to jak chcesz. A wampiry potrzebują krwi. Proste i jasne.

- No tak, ale czy naprawdę jej potrzebujesz? - spytała Grace. - Przecież już się dzisiaj pożywiłeś. Może więcej ci nie trzeba. - Przypomniała sobie, co mówił kapitan. - Wiem, że jej pragniesz, ale naprawdę jej nie potrzebujesz. Tylko chcesz.

- Potrzebuję. Chcę. Co za różnica? - Ziewnął.

- Nudzisz mnie.

Grace odsunęła się od Sidorio, jak mogła najdalej. Plecami dotykała już biurka. Kiedy odchyliła się jeszcze, stosik notatników i ołówki posypały się na podłogę. To podsunęło jej inną myśl.

- Opowiedz mi swoją historię - poprosiła.

- Co? - spojrzał na nią zdziwiony.

- Opowiedz, jak przeszedłeś. Kim byłeś przedtem. Jakie życie prowadziłeś.

Przyglądał się jej tępo. Czy jego śmiertelne życie zakończyło się już tak dawno, że go nie pamiętał? Panna Flotsam z wielką chęcią opowiedziała swoją historię... On jednak nie był jak panna Flotsam. Zdawało się, że zatracił ostatnie resztki człowieczeństwa. Ale czy naprawdę?

- Byłem piratem - powiedział, a oczy błysnęły mu nagle. - W miejscu zwanym Cilicia, w pierwszym wieku przed obecną erą. - Uśmiechnął się na wspomnienie. - Tak, to było naprawdę dobre miejsce i czas, żeby być piratem! Panowaliśmy nad całym Morzem Śródziemnym i rzuciliśmy na kolana rzymskie imperium.

Zapalał się wyraźnie. Grace zaryzykowała i wskazała mu krzesło. Zdziwiła się trochę, kiedy posłuchał jej i usiadł.

- Prowadziliśmy zdrowy handel niewolnikami - opowiadał. - Niewolnicy... To była moja specjalność. Tym bogatym pozwalaliśmy kupić sobie wolność, a resztę wieźliśmy na targ. Zrobiliśmy na tym majątek.

Kiwał głową, gdy jedno wspomnienie budziło następne. I nagle otrząsnął się z zamyślenia.

- Dlaczego chcesz to wszystko wiedzieć?

- Zbieram historie o przejściu - wyjaśniła Grace, myśląc szybko. - Przyszło mi do głowy, że mogłabym je spisywać. Panna Flotsam opowiedziała mi już swoją.

- Moja jest lepsza - zapewnił Sidorio. - Moja jest najlepsza!

Grace uśmiechnęła się dyskretnie. Najwyraźniej odkryła bogatą żyłę próżności.

- Opowiedz - poprosiła. - Opowiedz mi ją.

Chwyliła notatnik i pióro. Z początku ręka drżała jej trochę, ale opanowała się i zaczęła szybko zapisywać.

- Słyszałaś o Juliuszu Cezarze?

Kiwnęła głową.

- Arogancki rzymski drań - prychnął Sidorio.

- Porwaliśmy go, ja i moi kumple.

Grace szeroko otworzyła oczy. To było naprawdę ciekawe. Na lekcji w szkole nie uważała zbytnio, ale była pewna, że zapamiętałaby coś takiego.

- Bezczelny śmieć, i tyle. Uważał się za uczonego i płynął na Rodos studiować retorykę, czy jak tam się to nazywa. Zdobyliśmy jego statek w pobliżu wyspy Farmacusy. Wzięliśmy go na zakładnika. Nawet wtedy puszył się i tłumaczył nam, jakim jest ważnym typem. I kiedy wyznaczaliśmy okup, powiedział, że za swoją wolność zapłaci nam z własnej kieszeni ponad dwa razy więcej.

Sidorio westchnął.

- Niektórzy z naszych byli słabi. Nabral ich na te przechwałki. Zapominali, że jest jeńcem. Ja nie zapomniałem. Nienawidził mnie. - Uśmiechnął się.

- Rzucal na mnie wszystkie przekleństwa, jakie znał. I groźby. Lubil takie napuszone gadki.

Znów umilkł. Grace przewróciła kartkę i spojrzała na niego wyczekująco. Powinien mówić. To był jej ratunek. Dopóki mówi, ona zyskuje na czasie. Przeciągnie tę rozmowę do świtu, jeśli będzie trzeba, a potem wystawi go na promienie słońca.

- Co się stało potem? - spytała.

- Zapłacił nam okup - odparł Sidorio. - Okazało się, że jednak był ważnym typem. Właściwie powinienem się domyślić. Wyszliśmy go na brzeg niedaleko Miletu, dogadał się tam z gubernatorem, żeby opóźnić nasz proces.

Znów przerwał.

- A potem?

- Potem... - Sidorio przeszył ją spojrzeniem swych ciemnych oczu. - Potem Cezar wziął prawo we własne ręce. Wrócił po nas i zemścił się. Zabił mnie.

- Zabił cię Juliusz Cezar? Sidorio z uśmiechem kiwnął głową. - Mówiłem ci, że moja historia jest najlepsza. Zajrzał do notatnika, wyraźnie zadowolony z tego, że jej pismo pokryło kolejne strony. Wyjął go z ręki Grace i obejrzał. Nie była pewna, czy rzeczywiście czyta. Ale po chwili rzucił notatnik na podłogę.

- Znowu się nudzę - oznajmił. - I jestem głodny. Chodź tutaj.

Pokręciła głową.

Jeśli chce wypić jej krew, niech sam po nią przyjdzie... Czowała, że ogarnia ją odrętwienie. Więc to już? Wiedziała, że jeśli Sidorio zacznie pić, to będzie jej koniec. Był jak zwierzę, zbyt długo trzymane w klatce i nagle uwolnione, które chce nadrobić stracony czas. Jeśli teraz weźmie jej krew, potraktuje ją z całym okrucieństwem, którego od dawna musiał sobie odmawiać.

Tego była pewna.

Wstał i zbliżył się do niej, a Grace wbrew sobie skuliła się przerażona. Nie, proszę, nie tutaj, nie w ten sposób...

Sidorio wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy z szyi. Dotyk był lekki, ale groza przeszła ją niczym błyskawica. Wszystkie lęki, które tłumila podczas pobytu na statku, teraz wypłynęły na powierzchnię. Adrenalina strzeliła do żył jak fajerwerki. A potem, równie nagle, wszystko się uspokoiło. Miała wrażenie, że jest całkiem bez czucia, że dryfuje...

Ale w tej właśnie chwili dał się słyszeć dziwny odgłos - brzęczenie. Wypełniało kajutę coraz głośniejsze, aż w końcu nawet Sidorio znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Skąd dobiegało? Z zewnątrz czy z wnętrza? Trudno było to ocenić. W każdym razie rozbrzmiewało głośniejsze i

głośniej. I w końcu, gdy zdawało się już, że rozsadzi im bębenki, ściana za Sidoriem zaczęła wyginać się i kołysać.

Wyleciał z niej rój owadów. Zaczęły krążyć po kajucie, a ściana znowu znieruchomiła. Jednak hałas stał się nie do zniesienia. Grace zatkała uszy, a Sidorio uczynił to samo. Patrzyła zdumiona, jak czarna chmura małych stworzonek opada Sidoria, który zasłania rękami głowę i krzyczy ze zgrozy. Owady wkręcały mu się do uszu, do oczu, opadały na niego niczym ciemny płaszcz. I wtedy, na oczach Grace, rój zmienił się rzeczywiście w czarny płaszcz ze skórzastego materiału, ze lśniącoymi żyłkami, pulsującymi, jakby oddychały.

- Sidorio - rzekł wolno kapitan, wypuszczając porucznika z uścisku. - Natychmiast opuścisz mój statek.

Sidorio nie próbował protestować ani walczyć. Zdawało się, że mimo nienawiści do kapitana, wreszcie uznał moc rywala, która przewyższa jego własną. Tak jak kiedyś w końcu zrozumiał, iż Cezar jest potężniejszy i sprytniejszy od niego.

Sidorio stał przy relingu, naprzeciwko Grace i kapitana. Poza nimi na pokładzie nie było nikogo. Okryta rękawicą dłoń kapitana spoczywała uspokajająco na ramieniu dziewczyny.

Sidorio z uśmiechem potrząsnął głową.

- Nie ma pan dla mnie jakiejś drobnej ceremonii pożegnalnej, kapitanie?

- Nie daje mi to zadowolenia - odparł kapitan.

- Ale nie pozostawiłeś mi wyboru. Twoje zasady nie są zasadami panującymi na tym statku.

- Nie - zgodził się Sidorio. - Nie są.

- Od tej chwili nie jesteś już wampirem. Nie mogę pozwolić, byś dłużej przebywał na pokładzie.

- Kapitan uniósł głowę i spojrzał w dal. - Choć drzę na myśl, jakiego spustoszenia tam dokonasz.

- Niech pan będzie gotów na coś naprawdę oszałamiającego.

Sidorio wspiął się na reling. Obejrzał się jeszcze na kapitana i Grace.

- Jeszcze o mnie usłyszycie - powiedział. - To nie koniec mojej historii.

Po czym odwrócił się i skoczył do morza. Grace widziała, jak objęły go ciemne fale.

- Chodź, Grace. - Kapitan odciągnął ją od relingu. - Wracajmy do środka.

Zanim zdążyła przemyśleć sobie niedawne wydarzenia, usłyszała tupot biegnących stóp i nagle stanął przy niej Lorcan. Był przerażony i zdyszany.

- Grace, wielkie nieba! Przechodziłem koło twojej kajuty i zobaczyłem otwarte drzwi. Ujrzałem krew na pokładzie. A Sidorio gdzieś zniknął... Pomyślałem... Przestraszyłem się...

- Jak pan widzi, kadecie Furey, Grace jest zdrowa i bezpieczna. Jednakże jestem panu winien przeprosiny. Sądziłem, że przesadnie ją pan ochrania, ale okazało się, że nie znam własnej załogi tak dobrze, jak mi się wydawało. Dziś wieczorem Sidorio przerwał życie swojego donora.

- Ale... - Lorcan próbował jakoś to wszystko poukładać. - Co się stało? Gdzie jest jego donor? Gdzie jest Sidorio? Czy on cię skrzywdził, Grace?

- Ta księga jest już zamknięta, kadecie Furey - odparł kapitan.

Jak zwykle jego słowa były tylko szeptem, a jego autorytet nie podlegał dyskusji. Wyprostował się.

Grace zadrżała, pamiętając, jak Sidorio wyrzucił za burtę bezkrwawe ciało donora. A teraz kapitan zaciągał kurtynę nad tym zdarzeniem. Czy ludzkie życie naprawdę jest tak nieważne?

- Nie chcę, by Grace cokolwiek jeszcze zagroziło w czasie jej pobytu na statku. Mianuję cię zatem jej oficjalnym protektorem. Nie spuszczaaj jej z oka. Rób wszystko, co niezbędne, by nie spotkała jej żadna krzywda. Zrozumiałeś?

Lorcan z poważną miną kiwnął głową.

- Ma pan moje słowo, kapitanie. W jej obronie będę walczył do ostatniego tchu.

Rozdział 34

Przybysz

Była już późna noc, kiedy pływak wyszedł na nabrzeże. Mięśnie miał trochę zmęczone, jednak wypełniała go nowa energia i satysfakcja z wysiłku. Nie pamiętał już, kiedy był tak pobudzony. Myśli szalały mu w głowie, a energia wylewała się z każdej komórki ciała.

Wyprostował się i spojrzał na ocean, z którego się wynurzył. Zbyt długo już oglądał te fale i przyjemnie było mu stać na suchym lądzie. Ruszył wolno w stronę dobiegających dźwięków, próbując pochwycić słowa unoszące się w nocnym powietrzu.

Opowiem ci o wampiratach

- wieść stara, lecz prawdziwa - tak,

w tej historii statkiem starym

straszna załoga pływa.

O tak, zaśpiewam o statku starym,

Co pruje bezmiar fal, budząc paniczny strach.

To był chłopięcy głos, zauważył pływak. Głos właśnie rozpoczynający mutację.

Przed sobą widział gospodę... jego wycucie kierunku okazało się jak zwykle bezbłędne. To jest to miejsce. Tu właśnie zbierają się piraci. I choć noc była już późna, rzeczywiście siedzieli tam, stłoczeni wokół chłopaka z mutacją, który śpiewał piosenkę do starej melodii.

Podarte żagle tego statku są niby skrzydła ptaków,

a sam kapitan twarz swą zakrył, żeby nie mnożyć strachu.

Śmiertelnie bladą skórą, martwym wyrazem oczu, zębami jak u diabła.

O tak, kapitan twarz swą zakrył

I nie ogląda światła.

Oj, lepiej dobry bądź i prawy, nie żałuj na to sił,

bo cię zamienię w wampirata i w dal odpłyniesz w mig.

Chłopak miał w sobie coś... coś znajomego. Pływak nie potrafił odgadnąć, co to takiego. W głowie mu pulsowało - zaczęło się odzywać zmęczenie po długim pływaniu. I jeszcze głód. Głód, jakiego nie czuł już od bardzo, bardzo dawna.

Tak, lepiej dobry bądź i prawy, bo - spójrz! Czy widzisz to: jest czarny statek w porcie dziś, ma w pustym luku miejsca dość (Dla ciebie miejsca dość!).

Chłopak zauważył go i choć nadal śpiewał, opuścił jedną czy dwie nuty, gdy jego uwagę odwróciły od melodii ciężkie kroki pływaka. Zresztą, czyjej uwagi nie przyciągnąłby ktoś taki? Przybysz, którego sam wzrost i muskularna budowa wystarczały, by przesłonić nawet księżyc.

Skoro piraci są tak podli, a gorsze od nich wampiry, po kres mych dni wciąż się modłę, by mimo mej szanty o wampiratach, nie spotkać ich na swej drodze.

*O tak, okrutni są piraci,
Wampiry znaczą śmierć.
Modłę się co dzień, chcę,
byś wiedział,
żebyś nie ujrzał wampirata,
by nie dosięgła cię ich ręka.*

Piosenka dobiegła końca. Chłopak stał wpatrzony w pływaka, który zatrzymał się kilka kroków od stołu. Teraz inni także się oglądali, by sprawdzić, czemu się przygląda. I nagle wszyscy równocześnie patrzyli na przybysza.

Ten otworzył usta.

- To ja wam teraz opowiem o wampiratach - powiedział.

Wtedy jednak jego zmęczenie i głód zwyciężyły. Oczy zaszyły mu mgłą. A potem wszystko ogarnęła ciemność.

Connor przyglądał się, jak Bart wlewa obcemu do ust kolejną kroplę rumu. Mężczyzna był przemoczony. Skąd się tu wziął w środku nocy? Ubranie miał dziwaczne, jakby nie z tego czasu i miejsca. I bardzo dziwnie spoglądał na Connora, gdy ten śpiewał szantę o wampiratach. Może tak go zaszokowała, że zemdlął...

Mężczyzna zakrztusił się, otworzył oczy i odwrócił głowę, by wypluć rum.

- Tutaj, kolego, łyknij jeszcze trochę. Dobrze ci robi - zachęcił go Bart.

Obcy pokręcił głową.

- Już nie.

- Może w takim razie chcesz wody? - zaproponowała stojąca obok Cate.

- Nie - odparł wolno obcy.

Co ciekawe - teraz, kiedy odzyskał przytomność, wydawał się w pełni sił. Nie chciał nawet, by pomogli mu wstać - podniósł się sam i osunął na ławę.

- Jak się nazywasz, przybyszu? - zapytał kapitan Wrathe. - Skąd przychodzisz?

Mężczyzna milczał, ale odwrócił głowę i spojrział na ocean.

- Przyplynałeś z jakiegoś statku? - zapytał z zaciekawieniem Bart.

- Dajcie mu trochę czasu - rzekł kapitan. - Chyba jest w szoku.

- To szanta - powiedział Connor. - Usłyszał, jak śpiewam o wampiratach.

Słyszając to słowo, obcy gwałtownie odwrócił głowę w stronę Connora. - Wam-pi-ra-ci - powtórzył bardzo powoli. Connor z podniecenia nie mógł złapać tchu. - Opowiem wam o wampiratach - odezwał się znowu mężczyzna cichym, schrypniętym głosem.

Connor nie mógł się dłużej powstrzymać.

- Szukam statku. Statku wampiratów. Czy nie z niego tu przybyłeś?

Czuł, że medalion wibruje mu na piersi; serce biło mocno. To musi być ważne. To musi być jego droga do Grace...

Ale mężczyzna patrzył na niego szeroko otwartymi, pustymi oczami.

Connor nie rezygnował.

- Myślę, że na tym statku jest moja siostra. W moim wieku. Jesteśmy bliźniakami. Ma na imię Grace.

Twarz obcego zmieniła się, zanim jeszcze Connor skończył mówić. Na wspomnienie Grace uśmiechnął się szeroko. Uśmiech rozpoznania? Popatrzył Connorowi w oczy i pokiwał głową.

- Bliźniaki. Grace.

Rzeczywiście coś wiedział. Pytania tłoczyły się w głowie Connora i nie mógł zdecydować, które zadać jako pierwsze. Nim zdążył podjąć decyzję, odezwała się Cheng Li.

- Opowiedz nam o wampiratach - powiedziała.

- Jak można z nimi walczyć? Czy spróbują wysać nam krew?

Obcy przyglądał się jej zdziwiony. Skrzywił się boleśnie. Potem skinął głową.

- Czy tobie też wysały krew? - spytała z niezwykłą u siebie delikatnością. - O to chodzi? Byłeś więźniem wampiratów? Wysały ci krew, zanim uciekłeś? Dlatego jesteś taki słaby?

- Krew...

Tyle tylko powiedział i znowu zamknął oczy.

- Nie! - jęknął Connor. - Proszę, nie odchodź teraz. Musisz nam zdradzić, gdzie jest ten statek. Musimy wiedzieć, czy jest tam moja siostra.

- Grace - oświadczył obcy. - Niebezpieczeństwo.

- Zbieramy się - zdecydował kapitan Wrathe.

- Nie ma czasu do stracenia. Zwołać załogę i przygotować statek. Jego zabierzemy ze sobą.

Spojrzał na nieszczęsnego przybysza, którego oczy błysnęły przez moment, nim się zamknęły.

- Straszne to muszą być demony, skoro osłabiły tak silnego człowieka - westchnął kapitan. - Gdybyśmy tylko odkryli jakąś szczelinę w ich pancerzu... Gdybyśmy mieli jakąś wskazówkę...

Obcy znów otworzył oczy i chwycił Connora za rękę.

- Chce nam coś powiedzieć - uznał Bart. - Może dać mu jeszcze rumu?

Obcy pokręcił głową i jeszcze raz ścisnął rękę chłopca. Choć był osłabiony, dłoń miała siłą i Connor skrzywił się z bólu.

- O co chodzi? - zapytał. - Co takiego koniecznie chcesz nam powiedzieć?

- Atakujcie, kiedy noc zmienia się w dzień...

- Zdawało się, że z ogromnym trudem wypowiada każde słowo. - Najśłabsze za dnia...

Wysiłek okazał się chyba za wielki. Zamknął oczy i osunął się, oparty o stół.

Connor miał wrażenie, że za chwilę eksploduje. Nareszcie, nareszcie znalazł trop wiodący do siostry! A jeśli jest już za późno? Jeśli pożywili się nią i osłabili jak tego tutaj? Jeśli pozostała z niej tylko krucha powłoka?

- Connor! - Kapitan Wrathe zauważył jego lęk.

- Uspokój się, słyszysz? Miej wiarę, że jest cała i zdrowa. I możesz mi wierzyć, młody przyjacielu, że jeśli te demony ją skrzywdziły, zemścimy się. Ten człowiek ofiarował nam cenny dar. Doprowadzi nas do ich statku, a my załatwimy resztę. Znajdziemy twoją siostrę, mój chłopcze, i zniszczymy demony.

Leżąc na ławie z mocno zamkniętymi oczami, Sidorio miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Ci nieszczęśni głupcy złapali się na jego przedstawienie, połknęli haczyk razem z żyłką i

spławikiem. Zapomniał już, jaka to zabawa, tak manipulować umysłami śmiertelników. I nie mógł się doczekać, by zobaczyć, jak zareaguje kapitan wampiratów, kiedy statek pełen żądnych zemsty piratów pojawi się za dnia. Czy to możliwe, by zemsta była tak prosta? Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna z rozkoszną niecierpliwością oczekiwał świtu.

Rozdział 35

Tak się zaczyna

Lorcan i Grace stali na pokładzie. Dziewczyna nie miała ochoty od razu wracać do kajuty, po tym wszystkim, co zdarzyło się tam z Sidorciem.

- Możemy iść do mnie, jeśli wolisz - zaproponował Lorcan. - Ale musimy schować się wewnątrz, i to niedługo.

- Nie, nie, wszystko w porządku. Kiedyś przecież muszę tam wrócić. Ale daj mi, proszę, jeszcze choć kilka minut - powiedziała. - Bardzo tu pięknie pod gwiazdami.

- No dobrze, ale najwyżej chwilę. Robi się późno i niebo jest coraz jaśniejsze. Wiesz przecież, że muszę zejść z pokładu, zanim Darcy uderzy w Dzwon Świtu.

Grace skinęła głową. Pamiętała, jak wcześniej w jej kajucie uciekał przed światłem dnia. Nie narazi go znowu na takie cierpienie.

Diabło sunął po otwartym oceanie, ścigając statek wampiratów. Obcy oprzytomniał dostatecznie, by wskazać kapitanowi kurs, choć wciąż miał kłopoty z przypomnieniem sobie własnego imienia. W końcu zwrócił się do kapitana i z leciutkim uśmiechem powiedział: „Cezar”.

Teraz Cezar zajął sobie miejsce tuż obok kapitana Wrathe'a, a za nimi stanęli Connor, Bart, Cate oraz Cheng Li.

Na pokładzie zebrała się cała załoga. Szybko rozeszła się wieść, że bliźniacza siostra Connora żyje, ale grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Wszyscy piraci szykowali się do walki swego życia. Connora wzruszyło ich bezwarunkowe wsparcie.

- Jesteś teraz jednym z nas, Connorze - powiedział mu kapitan. - A każdy pirat staje za swojego brata.

Cate Kord i Cheng Li przekazały załodze informacje i przykazały, by strzec się nieprzyjaciela, o którym prawie nic nie wiedzą. Cate naciskała na Cezara, by powiedział coś więcej, on jednak powtarzał tylko:

- Zaatakujcie, kiedy noc zmienia się w dzień, a wasze będzie zwycięstwo.

W końcu dostrzegli przed dziobem cień statku. To na pewno on... Kapitan spojrział pytająco na Cezara, a ten skinął głową. Serce Connora biło szybko. Bart położył mu dłoń na ramieniu.

- Już niedługo... - rzekł.

Pokład statku przeciwnika wyglądał na opuszczony. Kapitan Wrathie zwolnił, by zbliżyć się niepostrzeżenie. Chciał jak najlepiej wykorzystać element zaskoczenia. Działa były załadowane, a Trzy Życzenia czekały w gotowości. Wkrótce rozpęta się piekło - ale aż do ostatniej chwili chciał zachować ciszę.

W końcu zwrócił się do Cate.

- Proszę zacząć końcowe przygotowania do szturm.

- Jeszcze nie - sprzeciwił się Cezar. - Jest zbyt ciemno.

- Nie możemy dłużej ryzykować - odparł kapitan. - Bardzo nam pomogłeś, Cezarze, ale teraz będziemy już działać sami.

- Poza tym - wtrąciła Cheng Li - na wschodzie widać już światło.

Cezar zadygotał, a oczy znów mu błysnęły, tak jak w tawernie.

- Dobrze się czujesz? - spytała Cheng Li.

- Trochę mi zimno - odparł niepewnie i przymknął oczy. - Może, skoro nie jestem już potrzebny, zejść pod pokład i odpocznę?

Kapitan przyzwalająco kiwnął głową.

- Odprowadzę cię do kajuty - zaproponowała Cheng Li.

Chwyliła go po ramię i pociągnęła - słabego, nieszczęsnego inwalidę - przez pokład.

Kapitan Wrathie znów zwrócił się do Cate.

- Zajmij się przygotowaniami, Cate. Natychmiast.

- Nie.

Connor wystąpił naprzód.

Pozostali spojrzeli na niego zdziwieni.

- Patrzcie, pokład jest właściwie pusty. Widzę tylko dwie osoby i wydaje mi się, że jedna z nich to Grace. Załatwmy to inaczej. Pójdę tam sam.

Cate pokręciła głową.

- Niemożliwe, Connorze. Przykro mi, ale po prostu masz za małe doświadczenie bojowe. Poza tym nie chcemy cię stracić.

- Jestem pewien, że to Grace. Jeśli zaatakujemy wszyscy, przestraszymy tego, kto stoi przy niej, i nie wiadomo, co wtedy zrobi. Może jeśli pójde sam, dam radę zdjąć go cicho, nie alarmując reszty załogi.

- To zbyt niebezpieczne - upierała się Cate.

Ale kapitan Wrathé pokiwał głową.

- To decyzja Connora - rzekł. - To jego siostra jest na tamtym statku i musimy postępować tak, jak on mówi.

Connor uśmiechnął się do dowódcy. - Dziękuję panu - powiedział z wdzięcznością. - A może ja pójde z tobą jako wsparcie? - zaproponował Bart. - Nie, Bart. Dziękuję i jestem ci wdzięczny, ale muszę to załatwić sam. - Weź przynajmniej to... - rzekła Cate, wręczając Connorowi swój beczenny rapier. - Nie mogę... - Nie zmuszaj mnie, żebym wydała ci rozkaz - powiedziała, wciskając rękojeść w okrytą rękawicą dłoń Connora.

- Dziękuję ci. Dziękuję wam wszystkim.

Cate odeszła, by wyjaśnić piratom, że nastąpiła zmiana planów.

Connor stanął na przednim pokładzie, pomiędzy kapitanem i Bartem.

- Od chwili, kiedy pana zobaczyłem, panie Tempest - rzekł kapitan - wiedziałem, że kiedyś zostanie pan bohaterem. Ale wie pan co? Już pan nim jest.

Connor słyszał te słowa, ale nie odpowiedział. Dwa statki niemal się zrównały i teraz całkowicie skoncentrował się na obserwacji tamtego pokładu. Wszystko, przez co przeszedł, prowadziło go właśnie do tej chwili.

Widział tam Grace, przynajmniej był prawie pewien, że widział. Ale teraz pokład był pusty.

Powyżej piraci ostrożnie opuścili jedno z Życzeń. Nasmarowali je po ostatnim ataku i teraz działało o wiele ciszej. Mimo to każdy zgrzyt metalu budził u Connora nerwowy dreszcz. Nic nie powinno uprzedzić wampiratów, że nadchodzi. Nic nie może zmniejszać jego szansy na sukces.

Gdy tylko pomost opadł do poziomu, zwrócił się w stronę kapitaana, Barta i Cate. Nie było czasu na długie pożegnania. Zresztą, wróci tu za chwilę razem z Grace. Prawda?

- Ruszaj się - ponaglił go Bart. - Chcielibyśmy poznać twoją siostrę, póki jest jeszcze młoda.

Connor uśmiechnął się, wskoczył na Życzenie i przebiegł na pokład statku wampiratów.

- Co to było? - zdziwił się Lorcan.

- Co takiego?

- Ten hałas...

- Nic nie słyszałam.

Lorcan zmarszczył brwi.

- Ktoś jest na pokładzie. Słyszałem kroki.

- To pewnie panna Flotsam - domyśliła się Grace. - Idzie uderzyć w Dzwon Świtu. - Nie, Darcy chodzi lekko... To są męskie buty. Jest tam jakiś mężczyzna. Zależniona Grace szeroko otworzyła oczy. - Chyba nie Sidorio? - Mam nadzieję, że nie - odparł Lorcan. - Ale lepiej sprawdzę. - Nie możesz teraz wychodzić. Za kilka minut będzie już całkiem jasno. Nie rozumiem, co robi panna Flotsam.

- Coś tu się nie zgadza - uznał Lorcan. - Wychodzę. A ty zostań tu i zamknij się na klucz.

Pchnął drzwi kajuty Grace i wyskoczył na pokład. Ruszyła za nim.

Connor szedł po pokładzie najciszej jak potrafił. Nadal nikogo nie widział, choć gdzieś z bliska usłyszał stłumione głosy. W tym jeden dziewczęcy.

- Grace! - zawołał. Nie zdołał powstrzymać tego okrzyku.

- Connor?

Wymówiła jego imię. Wyraźnie. A więc żyła! Zdążył na czas. Przebiegł wzdłuż burty statku.

I zobaczył ją.

- Connor! - powtórzyła, z niedowierzaniem wznosząc ręce do ust.

Dopiero wtedy Connor zobaczył stojącego obok mężczyznę. Nie, nie mężczyznę - wampirata...

Mocniej chwycił rapier i pobiegł ku nim.

Lorcan zaniepokoił się, widząc, że Grace wyszła za nim na pokład, a jeszcze bardziej obcym, biegnącym w ich stronę z mieczem w ręku.

- To Connor! - szepnęła Grace bez tchu. - To mój brat! Odnalazł mnie wreszcie!

Chwilę trwało, nim do Lorcana dotarło znaczenie tych słów, ale potem, gdy chłopak już się zbliżył, przekonał się, że to prawda. Byli bliźniakami. Nie identycznymi, ale podobieństwo było wyraźne. Lorcan odsunął się, gdy Grace skoczyła Connorowi w ramiona. Uścisnęli się po długiej rozłące.

Lorcan odwrócił wzrok. Dzień budził się już na dobre i zaraz będzie musiał ukryć się wewnątrz.

Ale choć wschodziło słońce, widoczność spadała, gdyż zaczęła unosić się mgła. Ale czy to nie statek pojawił się obok nich? Oczywiście. Jak inaczej chłopak mógłby się dostać na pokład? A teraz, kiedy wyteżył wzrok w gęstniejącej mgle i coraz jaśniejszym świetle, Lorcan zobaczył hordę ludzi stojących na sąsiednim pokładzie i uzbrojonych w miecze.

Obejrzał się na Grace, która wciąż obejmowała brata. Czy to jakaś sztuczka? Czy naprawdę tamten statek chce ich zaatakować?

Właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi i na pokład wyszła niepewnie Darcy Flotsam.

Spojrzała na niebo i pobiegła do dzwonu. Uderzyła, nie tracąc już ani chwili. Dopiero wtedy zauważyła Grace, Lorcana... i kogoś obcego. Co się tu działo? Co robi tu Lorcan o tej porze? Kim jest ten obcy? Gdyby tylko nie zasnęła...

- Lorcan! - zawołała. - Wracaj pod pokład! Już prawie dzień!

Gdy zadzwieczał dzwon, Connor odsunął się od Grace.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Wszystko w porządku. - Uśmiechnęła się radośnie. - To tylko Dzwon Świtu.

Na Diabłu przyjaciele Connora usiłowali zobaczyć cokolwiek poprzez mgłę.

Kiedy uderzył dzwon, Bart ścisnął ramię Cate.

- Co to?

- Nie wiem, Bart. Jakiś alarm?

- Connor potrzebuje naszej pomocy - uznał Bart, chwytając miecz.

- Tego nie wiesz.

- I nie będę czekał, żeby się przekonać.

Przebiegł po Życzeniu, na moment został oślepiiony kłębamii mgły. Poczł pod nogami deski pokładu i ruszył biegiem w kierunku słabo widocznych postaci.

Był tam Connor i dziewczyna. To pewnie Grace. Widać podobieństwo, a Connor się uśmiecha... Ale był tam jeszcze jeden chłopak i druga dziewczyna.

I kiedy Bart podbiegł bliżej, chłopak wyskoczył do przodu i dobył rapiera.

Bart wznosił swój pałasz i ciął w klingę przeciwnika.

- Nie! - krzyknęła zaskoczona Grace. - Connorze, powstrzymaj go, powstrzymaj! Lorcan nie mi nie zrobił!

- Lorcan, schowaj się! - wołała w panice panna Flotsam.

Ale Lorcan zignorował ją, koncentrując uwagę na broni napastnika. To rzeczywiście musiał być jakiś wybieg... Ktokolwiek dostarczył brata Grace na pokład, zjawił się przygotowany do walki z wampiratami.

Światło zaczynało ranić Lorcanowi oczy, ale był dobrym szermierzem i zdołał sięgnąć klingą do ramienia przeciwnika.

Bart odskoczył. Nie był przyzwyczajony do takich bezpośrednich ataków. Zwykle spotykał tylko ludzi uzbrojonych w pałasze, nie w śmiertcionośne rapiery.

Connor odepchnął Grace i skoczył przed Barta, klingą rapiera zataczając kręgi przed twarzą Lorcana.

- Connorze! - krzyknęła Grace. - Nie! Lorcan jest moim przyjacielem!

- A Bart moim - odpowiedział chłopak. Nie odważył się odwrócić głowy, by sprawdzić, czy Bart jest ciężko ranny.

- Lorcanie! - zawołała panna Flotsam. - Zejdź z pokładu! Muszę już zająć swoje miejsce!

- Idź, Darcy - odpowiedział Lorcan. - Idź na swoje miejsce i nie przejmuj się mną. Powiedziałem, że będę bronił Grace i to właśnie mam zamiar robić.

Szlochając, panna Flotsam przebiegła po pokładzie i skoczyła na dziób. Grace widziała, jak szybko jej żywe ciało zmienia się w malowaną figurę.

Connor także to widział i nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Lorcanie, schowaj się.

Teraz to Grace musiała go prosić. Światło dnia padało już na pokład i działało na niego. Oczy miał zamknięte i na ślepo wymachiwał rapierelem.

- Jest ich cały statek, Grace! - zawołał zdyszany. - Wysłali twojego brata, żeby cię zabrał, a cała horda czeka, by się tu wdrzeć! Tak jak ten!

Wymierzył ostrze w Barta.

- Nieprawda - zaprotestował Connor. - Jestem tylko ja. Przy płynęliśmy po Grace, ale to wszystko. Nie chcemy was krzywdzić.

- A on? - Lorcan wskazał Barta.

- Przybiegłem, kiedy usłyszałem dzwon - wyjaśnił Bart. - Myślałem, że coś grozi Connorowi. Wydawało mi się, że podniosłeś alarm.

- I nie wezwiecie innych? - upewnił się Lorcan.

- Nie, nie ma mowy. Przyszedłem na pomoc przyjacielowi.

- Schowaj się, Lorcanie - prosiła Grace. - Wejdź do środka.

Światło padało mu teraz prosto na twarz. Zamachał rękami i niemal upuścił broń.

- Skąd mogę wiedzieć, że to nie pułapka? - zapytał.

- Nie - zapewnił Connor. - Przybyłem tu tylko po Grace.

- Proszę cię, Lorcanie! Ja ci zaufałam. Teraz ty musisz mi zaufać.

- Dobrze, Grace. Dobrze.

Wreszcie, zataczając się, wrócił do jej kajuty. Upadając, pociągnął za sobą drzwi. Rapiert wysunął mu się z dłoni.

- To ja wrócę do reszty i powiem im, że wszystko w porządku - zaproponował Bart. - Dobrze?

Connor przytaknął.

Kiedy przyjaciel odszedł, znowu spojrzał na siostrę z czułością.

- Mam ci tyle do opowiedzenia - rzekł.

- Ja również - odparła Grace.

- I mam coś dla ciebie - dodał Connor.

Wsunął dłoń pod koszulę, wyjął medalion i podał jej na dłoni.

Lorcan wiedział, że powinien zamknąć drzwi, ale tak długo przebywał już w pełnym świetle dnia, że ta odrobina więcej nie powinna mu zaszkodzić o wiele bardziej.

Przez wąską szczelinę przyglądał się Grace i jej bratu. Właściwie powinien się cieszyć, że po tym wszystkim, co przeszła, wreszcie spotkała znowu bliźniaka. Wyglądała na naprawdę szczęśliwą, kiedy wzięła od niego medalion i założyła go sobie na szyję.

Patrzeć sprawiało Lorcanowi ból. Nie chciał tego. Bardziej niż cegokolwiek na świecie pragnął czuć w sercu radość z powodu szczęścia Grace. A jednak, kiedy zapięła na szyi łańcuszek medalionu, ogarnął go smutek, jakiego nie odczuwał już od bardzo dawna.

Oczy go piekły. Z początku myślał, że to łzy i otarł je ręką. Ale palce pozostały suche, choć oczy piekły nadal.

Grace była bezpieczna - tylko to się liczyło. Przysiągł, że będzie jej bronił i teraz jego praca dobiegła końca. Teraz musiał odpocząć.

Raz jeszcze spojrzął na rodzeństwo, ale coraz trudniej było mu widzieć ich wyraźnie. Mgła na pokładzie tak zgęstniała, że stworzyła zasłonę między nim i bliźniakami.

Ale to nie była tylko mgła, uświadomił sobie, kiedy w końcu zamknął drzwi kajuty. Nawet w zamkniętym pomieszczeniu nie widział dobrze. Zdawało mu się, że światło na zawsze uszkodziło mu wzrok.

Dziwna mgła całkowicie otuliła Grace i Connora, aż wreszcie mogli widzieć tylko siebie nawzajem. Grace wciąż nie mogła uwierzyć, że brat jest obok. Całkiem jakby to wszystko działo się we śnie... No, raczej w połączeniu sennego marzenia i koszmaru.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała.

- Ja też tęskniłem.

- Za tatą też tęskniłam.

- I ja.

Rozłożył ramiona i uścisnął ją mocno. Przez jedną chwilę oboje czuli się tak, jakby znów znaleźli się w latarni. I byli bezpieczni.

Jak ją odnalazł, zastanawiała się Grace. I co teraz zrobią? Czy przyłączy się do niej na statku wampirów, czy ona pójdzie za nim na jego statek? A może nadszedł czas, by mimo wszystko powrócić do Zatoki Księżycowej?

Ale teraz wszystko to nie ma znaczenia, myślała, zapominając o tych pytaniach. Objęła go mocno.

I zdała sobie sprawę z tego, że od początku miała rację. Teraz wiedziała, co to znaczy dom. Nie tylko wiedziała, ale i czuła.

I kiedy obejmowała Connora, a Connor ją obejmował, usłyszała w myślach szept kapitana.

- Tak to się kończy. I tak się zaczyna.